

FINALISTA BOOKER PRIZE 2016

The book cover features a dark, moody illustration of a three-masted sailing ship on a turbulent sea. The ship is positioned in the lower right quadrant, with its white sails partially unfurled. The sea is rendered in deep, dark blues and blacks, with white foam from the waves. The background is a light, textured beige color, suggesting a parchment or aged paper surface. The overall composition is dramatic and evocative.

# NA WODACH PÓŁNOCY

IAN MCGUIRE

Wyskokowa,  
wzrostka, przysięga  
Majestatem iudicium  
supplicia, osławowa  
rekonstrukcja  
nieznanego świata.

Hilary Mantel

Wydawnictwo i B&K

Ian McGuire

Na wodach północy

*Dla Abigail, Grace i Eve*

Oto widzicie mężczyznę.

Z podwórca Clappisonów wychodzi na Sykes Street i węszy w nasyconym powietrzu – terpentyna, mączka rybna, gorczyca, grafit, smołowane jak co dzień dna statków, poranny odór szczyń po świeżo opróżnionych nocnikach. Mężczyzna jednokrotnie prychnie, drapie się po porastającej głowę szczecinie, poprawia spodnie w kroku. Obwąchuje sobie palce, a potem kolejno niespiesznie wkłada je do ust, ssąc najostatniejsze resztki, by w pełni wykorzystać to, za co zapłacił. U wylotu Charterhouse Lane skręca na północ, w Wincolmllee, mija tawernę De La Pole, mija wytwórnię świec z olbrotu, tłocznnię oleju lnianego. Nad dachami magazynów widzi kołyszące się grotmaszty i bezanmaszty, słyszy pokrzykiwania dokerów i łomoczące u pobliskiego bednarza pobijaki. Jego ramię ociera się o wygładzoną czerwoną cegłę, mimo przebiega pies, przejeżdża wóz wysoko załadowany nieobrobionym drewnem. On zaś ponownie wciąga powietrze, przesuwa językiem po nierównym obmurowaniu zębów. Wyczuwa nowe prag-nienie, nikłe, acz uporczywe, narastający wymóg, który, świerzbiąc, domaga się spełnienia. Jego okręt wypływa o brzasku, ale przedtem zostało jeszcze coś do zrobienia. Wodzi dookoła wzrokiem, zastanawiając się przez chwilę, co też może to być. Rejestruje różowy zapach krwi dochodzący z masarni, plugawe rozkołysanie kobiecych spódnic. Myśli o mięsie – zwierzęcym, ludzkim – lecz pomyślawszy raz jeszcze, decyduje, że to nie ten rodzaj udręki, jeszcze nie, ten jest łagodniejszy, nie nęka aż tak dotkliwie.

Odwraca się i rusza w drogę powrotną do tawerny. O tak wczesnej porze knajpa jest prawie pusta. W palenisku gore słaby ogień, czuć zapach smażenia. Mężczyzna przetrząsa kieszenie, ale znajduje tylko chlebowe okruchy, nóż bosmański i półpensową monetę.

– Rum – życzy sobie.

Przesuwa samotną półpensówkę po kontuarze. Spojrzawszy na nią, szynkarz kręci głową.

– Wypływam z samego rana – wyjaśnia mężczyzna. – Na „Ochotniku”. Skrypt dłużny wam wystawię.

Szynkarz prychnie.

– Wyglądam wam na idiotę? – pyta.

Przybyły wzrusza ramionami i myśli przez chwilę.

– No to orzeł albo reszka. Ten oto solidny nóż za kapkę waszego rumu.

Kładzie na kontuarze nóż bosmański, który szynkarz podnosi i uważnie ogląda. Otwiera ostrze i sprawdza je opuszką kciuka.

– Lepszego nie znajdziecie – zachwala mężczyzna. – Ni razu żem się na nim nie zawiódł.

Szynkarz wyjmując z kieszeni szyling. Pokazuje go. Rzuca monetą i mocno ją przyklepuje. Obaj się przyglądają. Szynkarz kiwa głową, zabiera nóż i chowa go do kieszeni kamizelki.

– A teraz, z łaski swojej, wypierdalajcie.

Oblicze mężczyzny ani drgnie. Nie widać po nim złości ani zaskoczenia. Jakby utrata noża była częścią szerszego, bardziej złożonego planu, wiadomego jemu i tylko jemu. Po chwili klient się pochyła, zzuwa marynarskie buty i stawia je na kontuarze jeden obok drugiego.

– Rzućcie jeszcze raz – mówi.

Szynkarz przewraca oczami i się odwraca.

– Na chuj mi wasze buciory – odpowiada.

– Nóż żeście wzięli – przypomina mężczyzna. – Za późno, by się wycofać.

– Na chuj mi jakieś buciory – powtarza szynkarz.

– Nie możecie się wycofać.

– Mogę, kurwa, robić, co mi się żywnie podoba – ucina szynkarz.

Z drugiego końca lady obserwuje ich oparty o kontuar Szetlandczyk. Ma na sobie wełnianą czapczkę i płócienne, lepiące się od brudu spodnie. Jego oczy są przekrwione, rozbiegane i pijane.

– Ja wam postawię – mówi – tylko weźcie, kurwa, zawrzyjcie jadaczkę.

Mężczyzna mierzy go wzrokiem. Walczył ongiś z Szetlandczykami pod Warwick i Peterhead. Jako wojacy bystrością nie grzeszyli, ale upór mieli i niełatwo szło jednego z drugim wykończyć. Ten tutaj ma wciśnięty za pas pordzewiały wielorybiczny nóż, a w sobie jakąś nieugiętość i irytację. Po chwili przybyły kiwa głową.

– Wdzięczny będę niezmiernie – oświadcza. – Cała noc na dziwkach, to i w gardle zaschło.

Szetlandczyk daje znać barmanowi, a ów z demonstracyjną niechęcią nalewa drugiego drinka. Mężczyzna zdejmuje z kontuaru marynarskie buty, zabiera alkohol i przenosi się na ławę przy ogniu. Po kilku minutach kładzie się, podciąga kolana pod brodę i zasypia. Gdy ponownie się budzi, Szetlandczyk siedzi przy narożnym stole i rozmawia z dziwką. Jest ciemnowłosa, tłusta, ma plamistą twarz i zielonkawę zęby. Mężczyzna ją rozpoznaje, lecz nie może sobie przypomnieć jej imienia. Betty? – zastanawia się. A może Hatty? Albo Esther?

Szetlandczyk woła kucającego w drzwiach chłopca, wręcza mu monetę i każe sobie przynieść tacę małży od handlarza rybami na Bourne Street. Chłopak jest szczupły, ma dziewięć albo dziesięć lat, ciemne oczy i jasnobrażową skórę. Mężczyzna prostuje się na ławce i nabija fajkę ostatnimi okruchami tytoniu. Zapaliwszy ją, rozgląda się wokół. Obudził się wypoczęty i gotów. Czuje rozluźnione mięśnie pod skórą, zaciskające się i rozkurczające w piersi serce. Szetlandczyk usiłuje kobietę pocałować, ale zostaje odtrącony pazernym piskiem. Hester, przypomina sobie mężczyzna. Kobieta ma na imię Hester, mieszka w bezokiennym pokoju na James Square, w którym znajduje się łóżko z żelazną ramą, a poza nim dzbanek, miednica i gumowa gruszka do wypłukiwania spermy. Mężczyzna dźwiga się i podchodzi do stołu, przy którym oboje siedzą.

– Postawcie jeszcze jednego – namawia.

Szetlandczyk obrzuca go przelotnym spojrzeniem zmrużonych oczu, po czym kręci głową i powraca do Hester.

– Jednego jedyne i tyleście mnie widzieli.

Choć Szetlandczyk nie zwraca na niego uwagi, mężczyzna nie rusza się z miejsca. Wyczekuje z cierpliwością człowieka tępawego i niemającego wstydu. Czuje, jak jego serce nabrzmiwia i się kurczy, wdycha normalny smród tawerny: pierdnięcia, dym fajkowy, woń rozlanego piwa. Hester podnosi na niego wzrok i chichocze. Zęby ma bardziej szare niż zielone, język barwy świńskiej wątroby. Szetlandczyk wyjmuje zza pasa wielorybiczny nóż i kładzie go na blacie. Wstaje.

– Prędej weznię i ci jaja urznę, niż coś jeszcze postawię – mówi.

Szetlandczyk jest chudy jak tyczka i gibki. Włosy i brodę wysmarowane ma foczym łojem, jedzie od niego kubrykiem. Mężczyzna zaczyna pojmować, co będzie musiał uczynić – z wolna rozpoznaje charakter bieżących żądź i formę, jaką powinno przybrać ich zaspokojenie. Hester znowu chichocze. Szetlandczyk podnosi nóż i przykłada chłodne ostrze do kości jarzmowej mężczyzny.

– Mogę ci też urznąć kinola i rzucić go, kurwa, wieprzkom na dworze.

Rozbawia go ten pomysł, a Hester śmieje się razem z nim.

Spokój mężczyzny jest niezmacony. Wyczekiwana chwila jeszcze nie nadeszła. To jedynie nudne, ale konieczne interludium, pauza. Szynek sięga po drewnianą łagę i skrzypli zawiasami szynkwasu.

– Jesteś pan – mówi, pokazując palcem – jebanym bumelantem, a do tego kłamliwą pizdą. Wynocha mi stąd.

Mężczyzna spogląda na zegar ścienny. Ledwie minęło południe. Zostało mu szesnaście godzin na zrobienie tego, co musi zrobić – cokolwiek to jest. Na ponowne zaspokojenie. Tym świerzbującym łaknieniem wyraża swe pragnienia ciało, ono przemawia do niego to szeptem, to mamrotaniem, to krzykiem. Zew, który nigdy nie milknie, a gdy w końcu ucichnie, on będzie wiedział, że nareszcie umarł, że jakiś chuj koniec końców go ukatrupił, i taki będzie kres.

Daje nagły krok ku Szetlandczykowi, by tamten poznał, że się go nie boi, po czym znów się odsuwa. Zwraca spojrzenie na szynkarza i unosi podbródek.

– Wsadźcie se tę pałę w przeruchany odbył – proponuje.

Szynkarz pokazuje mu drzwi. W progu mężczyzna mija chłopca niosącego cynową tacę z małżami, wonnymi i parującymi. Przez chwilę na siebie patrzą, a on czuje żywszy puls nieuniknionego.

Wraca wzdłuż Sykes Street. Nie myśli o „Ochotniku”, który stoi teraz w doku i na którym przez ostatni tydzień harował, ładując go i trymując, ani o czekającym go pieprzonym sześciomiesięcznym rejsie. Skupia się wyłącznie na chwili obecnej – Grotto Square, łaźnie tureckie, dom aukcyjny, powozownia, kocie łby pod stopami, agnostyczne yorkshirskie niebiosy. Natura nie poskąpiła mu cierpliwości i opanowania. Będzie czekał, skoro trzeba zaczekać. Natrafia na murek i na nim siada. Gdy głodnieje, ssie kamyk. Upływa godzina. Przechodnie go zauważają, ale nie próbują nawiązać rozmowy. Wkrótce nadejdzie czas. Mężczyzna obserwuje, a cienie się wydłużają. Przelotny deszcz pada i ustaje, gdy chmury jak dreszcze suną po zwilgotniałym niebie. Dostrzega ich wreszcie, już prawie o zmierzchu. Hester śpiewa balladę, Szetlandczyk w jednej ręce niesie butlę grogu, a drugą niezgrabnie prowadzi kobietę. Patrzy, jak skręcają w Hodgson’s Square. Odczekuje chwilę, po czym obiega róg i dostaje się na Caro-line Street. Uznaje, że zrobiło się wystarczająco ciemno, choć noc jeszcze nie zapadła. Okna Tabernacle się jarzą, w powietrzu czuć zapach pyłu węglowego i podrobów. Pierwszy dociera do Fiche’s Alley i kryje się w niej. Podwórzec jest pusty, nie licząc sznura z pokrytym kopciem praniem i ostrego amoniakowego zapachu końskich szczyń. Mężczyzna stoi w ciemnym otworze drzwiowym, w ręce ściska pół cegłówki. Gdy Hester i Szetlandczyk wkraczają na dziedziniec, dla pewności chwilę odczekuje, po czym wyłania się i mocno wali cegłówką w tył głowy marynarza.

Kość miękko ustępuje. Tryska cienki strumyk krwi i rozlega się dźwięk, jakby pękł mokry kij. Szetlandczyk bez zmysłów wali się na twarz, łamiąc zęby i nos na kocich łbach. Zanim Hester ma szansę wrzasnąć, mężczyzna przykładą jej do gardła wielorybiczny nóż.

– Wypatroszę cię, kurwa twoja mać, jak dorsza – obiecuje.

Kobieta spogląda na niego dzikim wzrokiem i unosi utyłane ręce w geście poddania.

Mężczyzna przeszukuje kieszenie Szetlandczyka, zabiera pieniądze i tytoń, a resztę wyrzuca. Leżący jeszcze słabo oddycha, choć wokół jego twarzy i głowy powiększa się aureola krwi.

– Trzeba ścierwo stąd zabrać, i to już – mówi Hester – albo znajdę się po uszy w gównie.

– To zabieraj – odpowiada mężczyzna. Czuje nieobecny jeszcze przed chwilą lekkość, jak gdyby świat wokół niego otworzył się na oścież.

Dziwka próbuje wlec Szetlandczyka za ramię, ale ten okazuje się zbyt ciężki.

Pośliznąwszy się we krwi, kobieta upada na bruk. Śmieje się sama z siebie, a następnie zaczyna

jęczeć. Mężczyzna otwiera drzwi do szopy na węgiel i za piętę wciąga Szetlandczyka do środka.

– Jutro mogą go sobie znaleźć – powiada. – Ja będę już daleko.

Hester wstaje chwiejnie, wciąż pijana, i podejmuje się niemożliwego zadania wytarcia spódnic z błota. Mężczyzna odwraca się, by odejść.

– Dajże szylinga lub dwa, co, złociutki? – woła za nim Hester. – Za te kłopoty, coś mnie ich narobił.

Wytropienie dzieciaka zajmuje mu godzinę. Nazywa się Albert Stubbs, sypia w ceglany m przepuście pod mostem północnym, żyje na ościach i obierkach, a także z okazjonalnych miedziaków, które zarabia jako chłopiec na posyłki dla moczymordów, w oczekiwaniu na zaokrętowanie zabijających czas w obskurnych tawernach.

Mężczyzna proponuje mu posiłek. Pokazuje ukradzione Szetlandczykowi pieniądze.

– Powiedz, na co masz ochotę – zachęca. – Kupię ci.

Chłopiec niczym zwierzę zaskoczone w leżu niemo odpowiada spojrzeniem. Mężczyzna zauważa, że dzieciak wcale nie cuchnie – pośród całego tego brudu udało mu się pozostać czystym, niezbrukanym, jakby naturalnie ciemna pigmentacja chroniła go przed grzechem, a nie – jak sądzą niektórzy – była tego grzechu świadectwem.

– Trudno się na ciebie napatrzeć – mówi mu.

Chłopiec prosi o rum, więc mężczyzna wręcza mu wyjętą z kieszeni śliską, w połowie pustą butelkę. W miarę picia oczy młodego stają się z lekka szkliste, znika też gdzieś jego czupurna rezerwa.

– Nazywam się Henry Drax – klaruje mu mężczyzna najłagodniej, jak umie. – Jestem harpunnikiem. Z pierwszym brzaskiem wypływam na „Ochotniku”.

Chłopiec kiwa głową bez zainteresowania, jakby wszystko to było mu wiadome od dawien dawna. Włosy ma matowe i bure, lecz skórę nadzwyczaj czystą – lśni w bladej poświacie księżycyca niczym wypolerowane drewno tekowe. Ponieważ chłopak nie nosi butów, podeszwy stóp ma szerniałe i zrogowaciałe. Draxa ogarnia potrzeba dotknięcia go – może policzka, może szczytu ramienia. Myśli, że byłby to sygnał, sposób na rozpoczęcie.

– Widziałem was wcześniej w tawernie – przypomina sobie chłopak. – Wtedyście nie mieli pieniędzy.

– Poprawiło mi się w życiu – wyjaśnia Drax.

Chłopak ponownie kiwa głową i wypija jeszcze trochę rumu. Może bliżej mu do dwunastej wiosny, myśli Drax, jeno nie wyrósł, zresztą jak wielu z nich. Wyciąga rękę i odejmuje butelkę od ust młodego.

– Powinieneś coś zjeść – oświadcza. – Chodź ze mną.

Bez słów podążają Wincolmlee i Sculcoates, mijają gospodę Whalebone, składowisko drewna. Zachodzą do piekarni Fletchera, po czym Drax czeka, aż chłopak łapczywie pochłonie mięso w cieście.

Skończywszy, młodzik wyciera usta, odcharkuje flegmę z głębi gardła i wypłuwa ją do rynsztoka. Nagle wydaje się starszy niż przedtem.

– Znam miejsce, do którego możemy pójść – mówi, wskazując drugą stronę drogi. – O tam, spojrzycie, zara za skutnikiem.

Drax z miejsca pojmuje, że musi to być zasadzka. Jeśli pójdzie z ciemnoskórym chłopakiem za warsztat skutniczy, zostanie obity do krwi i obrabowany ze wszystkiego jak ostatnia pizza. Dziwi się, że młody aż tak się na nim nie poznał. W pierwszej chwili czuje do niego pogardę za tę chybioną ocenę, ale zaraz potem o wiele przyjemniejszą, jakby wzbierał w nim i budził dreszcz nowy koncept, rodzącą się wściekłość.

- Dymać to my. My – podkreśla łagodnie. – Ale nigdy, przenigdy nas.
- Wiem o tym – odpowiada tamten. – Rozumiem.

Drugą stroną drogi spowija głęboki cień. Stoją tam wysokie na dziesięć stóp drewniane wieże, z których obłazi zielona farba, stoi ceglany mur, a dalej widnieje usłane gruzem przejście. Jest nieoświetlone i poza chrześzczeniem buciorów Draxa oraz sporadycznym gruźliczym pokastywaniem chłopaka nie towarzyszą im tu żadne dźwięki. Żółty księżyc niczym przeżuty kęs tkwi w zwężonym gardle nieba. Minutę później otwiera się przed nimi dziedziniec w połowie zawalony połamanymi beczkami i przerdzewiałymi obręczami.

- Tamtędy – wskazuje drogę chłopak. – To już niedaleko.

Na jego twarzy maluje się wiele mówiąca skwapliwość. Jeśli Drax miał przedtem jakieś wątpliwości, to właśnie się rozwiały.

- Chodź no tu – każe chłopakowi.

Ów marszczy brwi i raz jeszcze pokazuje, że właśnie tędy chce go poprowadzić. Drax zastanawia się, ilu kompanów młodego czeka pod pracownią skutnika i jakiej broni zamierzają przeciw niemu dobyć. Ciekawi go, czy rzeczywiście wygląda na skończonego fiuta, który pozwoli się okraść dzieciarni. Czy właśnie takie wrażenie robi obecnie na wyczekującym świecie?

- Podejdź no – nakazuje ponownie.
- Chłopak wzrusza ramionami i idzie przed siebie.
- Zrobimy to teraz – zarządza Drax. – Tu i teraz. Nie będę czekał.
- Chłopak przystaje i kręci głową.
- Nie – oponuje. – Lepiej na podwórzu skutnika.

Mrok wokół warsztatu czyni dzieciaka nieskazitelnym, myśli Drax, przekształca jego urodę w posągowe piękno. Gdy tam stoi, nie wygląda jak zwykły chłopiec, ale jak pogański bożek, wykuty w hebanie totem. Zdaje się nieziszczalnym ideałem chłopiństwa.

- Masz mnie za jakąś pizdę czy co? – pyta Drax.

Chłopiec marszczy czoło, ale już po chwili obdarza go zwodniczym, obłudnym uśmiechem. Żadna nowość, myśli Drax, bywało tak wcześniej, będzie jeszcze nieraz, w innych miejscach, o innych porach. Ciało ma swoje monotonne prawidła, regularne potrzeby: trzeba je żywić, obmywać, opróżniać kiszki.

Chłopak muska jego łokieć i ponownie wskazuje tę samą drogę. Do skutnika. W zasadkę. Drax słyszy skrzeczenie przelatującej mewy, rejestruje intensywne zapachy smoły i farby olejnej, gwiazdźte skupisko Wielkiego Wozu. Chwyta małego czarnucha za włosy, uderza go, potem jeszcze raz i znów – dwu-, trzy-, czterokrotnie, szybko, bez wahania czy skrupułów – aż jego knykcie stają się ciepłe i ciemniej od krwi, a bezwładny chłopak wiotczeje i traci przytomność. Jest chudy, kościsty, waży nie więcej od teriera. Drax go obraca i ściąga mu portki. Dokonywany akt nie niesie przyjemności ani ulgi, co tylko zwiększa zjadłość mężczyzny. Podstępnie odebrano mu coś żywego, nienazwanego wprawdzie, lecz nie mniej przez to rzeczywistego.

Ołowiane i grafitowe chmury przesłaniają tarczę księżycy w pełni, słysząc turkot żelaznych obręczy na kołach wozu, dziecięce kwilenie kota w rui. Drax wykonuje prędkie ruchy, jeden poprzedza kolejny, są beznamiętne i precyzyjne, automatyczne, ale nie mechaniczne. Chwyta się świata niczym pies wbijający zęby w kość – wszystko jest przed nim odsłonięte, nie ma rzeczy odrębnych od jego niepohamowanych plebejskich łaknień. To, czym był mały czarnuch, już nie istnieje, przepadło z kretesem, a powstałą pustkę zapełniło coś zupełnie innego, całkowicie odmiennego. Podwórzec stał się ołtarzem nikczemnej magii, przesiąkniętych krwią transmutacji, a oto Henry Drax: ich nieokiełznany, bezbożny animator.





Po trzydziestu latach przemierzania pokładu rufowego Brownlee uważa się za niezłego znawcę ludzkich charakterów, ale ten nowy typek, Sumner, irlandzki lekarz pokładowy przybyły prosto z buntowniczego Pendżabu, to doprawdy złożony przypadek. Jest niski, wątlej postury, ma irytująco kpiarski wyraz twarzy, do którego dochodzi to nieszczęsne chromanie, no i mówi jakąś barbarzyńsko pokręconą angielszczyzną rodem z krainy torfowisk. Ale Brownlee czuje, że mimo rozlicznych, oczywistych wad facet się nada. Już w samej niezgrabności i obojętności tego młodego człowieka, w przyjętym przez niego nastawieniu, by nie zadowalać, jest coś, co Brownleego – który być może widzi w nim siebie młodszego i uboższego o troski życia – dziwnie przyciąga.

– To jaka historia wiąże się z tą nogą? – pyta, na zachętę kiwając własną stopą.

Siedzą w kajucie kapitańskiej „Ochotnika”, piją brandy i omawiają zbliżający się rejs.

– Kula z muszkietu sipaja – wyjaśnia Sumner. – Cały jej impet wzięła na siebie moja kość piszczelowa.

– W Delhi to było? Po oblężeniu?

Sumner kiwa głową.

– Pierwszego dnia ataku, nieopodal Bramy Kaszmirskiej.

Brownlee przewraca oczami i cicho gwizdże z uznaniem.

– Widzieliście, jak zginął Nicholson?

– Nie, ale potem, kiedy już nie żył, widziałem jego ciało. Na wzgórzu.

– Niezwykły był to mąż, Nicholson. Wielki bohater. Ponoć czarnuchy czciły go jak Boga. Sumner wzrusza ramionami.

– Miał pasztuńskiego strażnika przybocznego. Kawał chłopca imieniem Khan. Sypiał przed namiotem, żeby Nicholsona chronić. Fama głosiła, że się pieścili.

Brownlee kręci głową i się uśmiecha. W londyńskim „The Times” przeczytał o Nicholsonie wszystko: jak przeprowadził swoich ludzi przez skwierczący upał, ani razu się nie spociwszy i nie poprosiwszy o wodę, jak ongiś rozciął zbuntowanego sipaja na dwoje jednym czystym ciosem swej potężnej szabli. Zdaniem Brownleego bez ludzi takich jak Nicholson – nieugiętych, surowych, w razie konieczności okrutnych – Imperium szczyłoby dawno temu. A gdyby nie było Imperium, kto kupowałby olej? Kto kupowałby fiszbin?

– Zazdrość – odpowiada. – Zwykła zawiść ludzka. Nicholson to wielki bohater. Z tego, co słyszałem, czasami może zbyt srogi. No ale czego innego się spodziewać?

– Widziałem, jak raz powiesił człowieka tylko za to, że ten się do niego uśmiechnął, a nieszczęsnemu draniowi nawet wargi nie drgnęły.

– Trzeba wytyczać granice, Sumner – stwierdza Brownlee. – Dbać o utrzymanie cywilizacyjnych standardów. Bywa, że ogień musimy zwalczać ogniem. Czarnuchy w końcu zabijały kobiety i dzieci, gwałciły je, podrzynały gardziółka. Coś takiego wymaga słusznej pomsty.

Sumner kiwa głową i przelotnie zerka w dół, na swoje czarne spodnie poszarzałe na nakolannikach, na niewypastowane, sięgające za kostkę buty. Brownlee zastanawia się, czy jego nowy lekarz pokładowy jest cynikiem, czy sentymentalistą, a może nawet (czy to w ogóle możliwe?) po trosze jednym i drugim.

– O, tego to było pod dostatkiem – odpowiada Sumner, podnosząc na niego wzrok i szczerząc zęby. – Pod dostatkiem słusznej pomsty. Tak, tak, w rzeczy samej.

– Zatem... czemuście wyjechali z Indii? – pyta Brownlee, wierząc się lekko na wyciąlanej ławie. – Czemu odeszli z Sześćdziesiątego Pierwszego? Nie chodziło o nogę?

– O nogę? Nie, broń Boże. Nogą byli zachwyceni.

– Więc o co?

– Los się do mnie uśmiechnął. Pół roku temu nieoczekiwanie zszedł mój wuj Donal i pozostawił mi gospodarstwo mleczne w Mayo – pięćdziesiąt akrów, krowy, mleczarnia. Warte nie mniej niż tysiąc gwinei, więcej zapewne, a bez wątpienia dość, żebym kupił sobie śliczny mały domek w środkowej części kraju i otworzył wygodną, szanowaną praktykę w spokojnym a zamożnym miejscu – Bognor, Hastings, może Scarborough. Cieszy mnie oddychanie słonym powietrzem, lubię też przechadzki.

Brownlee ma poważne wątpliwości, czy cnotliwe wdowy ze Scarborough, Bognor lub Hastings życzyłyby sobie, by ich schorzeniami zajmował się nikczemnego wzrostu kuternoga z nieobjętego panowaniem Korony rejonu Irlandii, ale tej akurat opinii nie wymawia głośno.

– To jakim cudem siedzicie ze mną – pyta zamiast tego – na statku wielorybniczym wpływającym na Grenlandię? Znaczy, taki sławny irlandzki obszarnik jak wy...

Sumner uśmiecha się, słysząc sarkazm, drapie się po nosie, ale odpuszcza.

– Są pewne komplikacje prawne związane z posiadłością. Znikąd pojawili się tajemniczy krewni z roszczeniami do majątku.

Brownlee wzdycha współczująco.

– Jak zawsze, jak zawsze... – komentuje.

– Powiedziano mi, że sprawa nie zostanie rozstrzygnięta przed upływem roku, a ja przez ten czas nie bardzo mam co z sobą począć, a gdybym nawet miał, nie byłoby mnie na to stać. Wracając od prawników z Dublina, przejeżdżałem przez Liverpool i wtedy w barze hotelu Adelphi wpadłem na waszego pana Baxtera. Nawiązaliśmy rozmowę, a kiedy dowiedział się, że byłem lekarzem wojskowym, a teraz poszukuję intratnego zajęcia, dodał dwa do dwóch i wyszło mu cztery.

– Piekielnie bystry kombinator z tego Baxtera – powiada Brownlee z błyskiem w oku. – Osobiście mu nie ufam. Podejrzewam, że w jego wysychających żyłach płynie jakaś porcja żydowskiej krwi.

– Warunki zaoferował przyzwoite. Nie spodziewam się, kapitanie, że wielorybnictwo zrobi ze mnie bogacza, ale zyskam zajęcie przynajmniej do czasu, aż obróć się tryby sprawiedliwości.

Brownlee pociąga nosem.

– Och, znajdziemy dla was taką czy inną robotę – oświadcza. – Dla chętnych zawsze pracy w bród.

Sumner kiwa głową, dopija brandy i z cichym stuknięciem odstawia szklankę na stół. Zwisająca z powały z ciemnego drewna lampa olejna pozostaje niezapalona i cienie w kątach kajuty pogłębiają się i wydłużają, w miarę jak światło dzienne przygasa, a słońce znika z widoku za żelaznym i czerwonocegłym rozgardiaszem kominów i dachów.

– Do usług, kapitanie – mówi Sumner.

Brownlee przez chwilę usiłuje dociec, cóż to dokładnie może znaczyć, ale dochodzi do wniosku, że absolutnie nic. Baxter nie należy do ludzi, którzy zwierzają się z tajemnic. Jeśli wybrał Sumnera z jakiegoś powodu (poza oczywistymi: taniością i dostępnością), to zapewne tylko dlatego, że Irlandczyk jest spokojny, uległy, a myśli ewidentnie zaprzęta mu coś innego.

– Powiem wam, że na statku wielorybniczym lekarz z zasady nie ma dużo roboty. Jak ktoś zachoruje, to albo wydobrzeje sam z siebie, albo się gdzieś zaszyje, by skonać. Tak przynajmniej mówi mi doświadczenie. Mikstury nie robią wielkiej różnicy.

Sumner unosi brwi, ale wydaje się nieporuszony tym zdawkowym lekceważeniem jego profesji.

– Powiniennem sprawdzić apteczkę – oznajmia bez większego entuzjazmu. – Może przed postawieniem żagli trzeba będzie ją uzupełnić albo coś wymienić.

– Znajdziecie ją w swojej kajucie. Na Clifford Street, przy Freemason's Hall jest apteka. Kupcie, co wam po-trzebne, a rachunek każcie przesłać panu Baxterowi.

Obaj mężczyźni wstają od stołu. Sumner wyciąga rękę, a Brownlee krótko ją ściska. Przez chwilę spoglądają na siebie, jak gdyby w nadziei, że uzyskają odpowiedź na jakieś tajemne pytanie, którego trwoga lub nieufność nie pozwalają zadać głośno.

– Domyślam się, że Baxter nie będzie zachwycony – mówi wreszcie Sumner.

– Chuj z Baxterem – odpowiada mu Brownlee.

Pół godziny później Sumner siedzi zgarbiony na swojej koi i ślini czubkiem języka ogryzek ołówka. Jego kajuta ma rozmiary dziecięcego grobowca i – choć rejs jeszcze się nie rozpoczął – już unosi się w niej skisły i odrobinę fekalny zapach. Sumner sceptycznie zagląda do apteczki i zaczyna sporządzać listę zakupów: „woda amoniakalna”, notuje, „sól glauberska”, „wyciąg z ckwicy”. Co jakiś czas odkorkowuje którąś butelkę i wącha jej zaschnięte wnętrze. O połowie zgromadzonych tu specyfików nigdy nie słyszał. Traganek? Gwajakol? Londyński spirytus? Nie dziwota, że zdaniem Brownleego „mikstury” nie działają. Większość tego chlamu jest, kurwa, szeks-pirowska. „Laudanum”, zapisuje przy jajecznym blasku lampy tranowej, „piołun”, „pigułki opium”, „kalomel”. Czy wielorybnicy często będą łapać trypra? Możliwe, że nie, w końcu na północnym kole podbiegunowym wielu dziwek raczej nie uświadczysz. Sądząc jednak po przechowywanych w apteczce zasobach soli gorzkiej i oleju rycynowego, zaparcia okażą się niebłahym problemem. Lancety, jak spostrzega, mają swoje lata, co do jednego są porzewiałe i stępione. Będzie musiał kazać je naostrzyć, zanim zabierze się do upuszczania krwi. Chyba dobrze, że zabrał własne skalpele i nowiutką piłę do kości.

Po chwili zamyka apteczkę i z powrotem wpycha ją pod koję, obok poobijanego cynowego kufra, który przytachał z sobą aż z Indii. Z przyzwyczajenia, odruchowo i nie spoglądając w dół, kołaczę zabezpieczającą go kłódką, klepie się też po kieszeni kamizelki, by sprawdzić, czy nadal ma klucz. Uspokojony wstaje, opuszcza kajutę i wąską zejściówką wydostaje się na pokład. Czuje zapach pokostu, strużyn z drewna, dymu fajkowego. Do dziobowej części ładowni transportowane są na linach beczki z wołowiną i wiązki klepek, ktoś wbija młotkiem gwoździe w dach kambuza, a na górze, na takielunku, zwisa kilku mężczyzn z rozkołtysanymi garncami smoły. Obok przebiega gończy, mieszaniec charta z owczarkiem szkockim, i przystaje raptownie, by się wylizać. Sumner zatrzymuje się przy bezanmaszcie i przesuwając spojrzeniem po kei. Nikogo nie rozpoznaje. Świat jest przeogromny, powiada sobie, on zaś, Sumner, to jedynie drobniutki, niewart zapamiętania punkcik w tym bezmiarze. Z jakąż łatwością może w nim przepaść i ulecieć z pamięci! Myśl ta, zwykle dla każdego mało radosna, jakoś go cieszy. Zaplanował wszak, że się rozplynie, zagubi, i dopiero później, po dłuższym czasie odtworzy. Schodzi po trapie, odnajduje drogę do apteki na Clifford Street, wręcza listę. Właściciel – łysy, o ziemistej cerze, z widocznymi brakami w uzębieniu – studiuje spis, a następnie podnosi wzrok.

– Toż to się kupy nie trzyma – mówi. – Nie na rejs wielorybiczny. Za dużo tego.

– Za wszystko płaci Baxter. Możecie przesłać rachunek bezpośrednio do niego.

– A widział tę listę?

Wewnątrz sklepu panuje mrok. Brązowawe siarkowe powietrze jest gęste od woni

mazideł. Opuszki palców łysiego aptekarza poplamiła jakaś jaskrawopomarańczowa substancja chemiczna, a jego paznokcie są powykrzywiane i zrogowaciałe. Pod podwiniętymi rękawami koszuli Sumner dostrzega błękitny zarys starego tatuażu.

– Jasne, jeszcze będę zwracał Baxterowi dupę takimi pierdołami – odpowiada.

– Dupę to on wam obrobi, jak tylko, kurwa, zobaczy ten rachunek. Znam Baxtera i wiem, jaki z piździelca kutwa.

– Po prostu zrealizujcie zamówienie – mówi Sumner.

Mężczyzna kręci głową i wyciera ręce w pstry fartuch.

– Tyle tego nie mogę wam dać – mówi, wskazując kartkę na ladzie. – Ani tego. Jeśli pójdę wam na rękę, nikt mi za to nie zapłaci. Dostaniecie ode mnie standardowy przydział, to wszystko.

Sumner się pochyła, przyciskając brzuch do wypolerowanej lady.

– Dopiero co wróciłem z kolonii – wyjaśnia. – Z Delhi.

Łysy facet wzrusza ramionami na tę wieść. Wsadza w prawe ucho palec wskazujący i hałaśliwie w nim wierci.

– Mogę wam, wiecie, sprzedać ładną laskę z brzeziny na to chromanie – proponuje. –

Główka może być z kości słoniowej albo z kła kaszalota, wybór należy do was.

Nie odpowiedział mu, Sumner odsuwa się od lady i rozpoczyna oględziny sklepiku, jakby nagle znalazł mnóstwo wolnego czasu i nie wiedział, jak go spożytkować. Ściany boczne zastawione są wszelkimi rodzajami bani, butelek i tantalusów, wypełnionych cieciami, maściami i proszkami. W dużym żółciejącym lustrze za kontuarem odbija się bezwłose verso głowy łysielca. Po jednej stronie zwierciadła ciągnie się szereg drewnianych kwadratowych szuflad, każda z pojedynczą mosiężną gałką na środku i opatrzona plakietką, po drugiej – rząd półek podpierających cykl scen przedstawianych przez wypchane zwierzęta, upozowane melodramatycznie i bojowo. Są między nimi sowa płomykówka, zamarła w akcie pożerania myszy polnej, jaźwiec toczący nieustającą wojnę z fretką, laokoński gibbon duszony przez pończosznika.

– Samiście je zrobili? – pyta Sumner.

Odczekawszy chwilę, mężczyzna potakuje ruchem głowy.

– Jestem najlepszym wypychaczem w mieście – oznajmia. – Każdy wam to powie.

– A co największego zdarzyło wam się wypchać? Ale to takiego największego? Tylko prawdę mówcie.

– Morsa robiłem – rzuca łysy od niechcenia. – Niedźwiedzia polarnego. Statki przywożą je z Grenlandii.

– Wypchaliście niedźwiedzia polarnego? – upewnia się Sumner.

– Ano wypchałem.

– Niedźwiedzia... Kurwa mać! – zdumiewa się Sumner z uśmiechem. – To dopiero warto by było zobaczyć!

– Zrobiłem go stojącego na tylnych nogach – opowiada łysy – z okrutnymi pazurami drapiącymi polarne powietrze, o tak. – Unosi upomarańczowione ręce, a rysy twarzy marszczy w zastygłe warczenie. – Na zamówienie Firbanka, bogatego drania, co mieszka w tym wielkim domu na Charlotte Street. Wciąż powinien go mieć w swojej ogromnej sieni, zaraz obok stojaka z kła kaszalota na kapelusze.

– A wieloryba, na ten przykład, byście wypchali? – pyta Sumner.

Łysy mężczyzna kręci głową i śmieje się z tego pomysłu.

– Wieloryba nie da się wypchać – odpowiada. – Już sam rozmiar czyni to niemożliwym, a poza tym za szybko się rozkłada. Zresztą, co zdrowy na umyśle człowiek robiłby, kurwa,

z wypchanym wielorybem?

Sumner kiwa głową i znowu się uśmiecha. Łysy chichocze z własnego konceptu.

– Zrobiłem mnóstwo szczupaków – kontynuuje chełpliwie. – Wydrozwierzy na masę, a raz ktoś mi przyniósł dziobaka.

– Co wy na to, żebyśmy pozmieniali nazwy? – proponuje Sumner. – Na rachunku?

Zapiszcie to jako piołun. Albo kalomel, jeśli wolicie.

– Kalomel już jest na liście.

– No to niech będzie piołun, dajmy piołun.

– Możemy wpisać siny kamień – sugeruje mężczyzna. – Niektórzy lekarze okrętowi biorą tego niezły zapas.

– To z jednego zrobmy siny kamień, a z drugiego piołun.

Mężczyzna krótko kiwa głową i dokonuje w myślach błyskawicznych obliczeń.

– Butelka nalewki piołunowej – powiada – i trzy uncje sinego kamienia. Powinno się wyrównać.

Odwraca się, zaczyna otwierać szuflady i zdejmować flaszki z półek. Sumner opiera się o ladę i obserwuje go przy pracy – ważącego, odsypującego, rozdrabniającego, korkującego.

– A samiście kiedyś wypłynęli? – pyta. – Na połów wielorybów.

Nie podnosząc wzroku znad swojego zajęcia, aptekarz kręci głową.

– Niebezpieczne to grenlandzkie rzemiosło – mówi. – Wolę siedzieć w domu, gdzie jest ciepło, sucho, a ryzyko gwałtownej śmierci o wiele mniejsze.

– Rozsądny z was człek, jak widzę.

– Tylko ostrożny. To i owo w życiu widziałem.

– Powiedziałbym, że także szczęśliwy – dodaje Sumner, ponownie rozglądając się po zapyziałym sklepiku. – Bo szczęśliwi, którzy tyle mają do stracenia.

Mężczyzna podnosi wzrok, by sprawdzić, czy z niego nie zadrwiono, ale na twarzy Sumnera maluje się szczerść i tylko szczerść.

– Wiele to nie jest – mówi – jakby porównać z niektórymi.

– Ale zawsze coś.

Aptekarz kiwa głową, zabezpiecza paczkę kawałkiem szpagatu i przesuwają ją po kontuarze.

– Solidna stara łajba ten „Ochotnik” – powiada. – Pola lodowe zna jak własną kieszeń.

– A Brownlee? Słyszałem, że jest na bakier z fortuną.

– Baxter mu ufa.

– W rzeczy samej – przytakuje Sumner, podnosi pakunek, wciska go pod pachę i schyla się, by pokwitować. – A jakie mamy zdanie o panu Baxterze?

– Naszym zdaniem jest bogaty – odpowiada aptekarz. – Gdzie jak gdzie, ale w tych okolicach głupi się nie bo-gacą.

Sumner uśmiecha się i żegna oszczędnym skinieniem głowy.

– Święte słowa – potwierdza.

Rozpadało się. Poprzez wciąż wyczuwalne wonie końskiego nawozu i ubojni przedziera się miłosierny akcent świeżości. Sumner, miast wracać na „Ochotnika”, skręca w lewo i znajduje tawernę. Zamówiwszy rum, udaje się ze szklanką do obskurnej bocznej izby z wygasłym paleniskiem i nie najprzyjemniejszym widokiem na przylegający podwórzec. Jest w niej sam. Rozsupełuje sznurek na paczce od aptekarza, wyjmując jedną z buteleczek i połowę jej zawartości wlewa do szklanki. Ciemny rum jeszcze bardziej ciemnieje. Sumner wciąż zapach do płuc

i wychyla mieszankę jednym długim łykiem.

Siedząc i czekając, aż narkotyki zadziała, myśli sobie, że być może jest wolny. Że kto wie, czy to nie najlepszy sposób, by doszedł do ładu ze swym obecnym stanem. Zdrada, upokorzenie, ubóstwo, niełaska – wszystko to jednak go dręczy. Śmierć rodziców na tyfus, śmierć Williama Harpera z przepicia. Tak wiele źle ukierunkowanych starań, tak wiele zarzuconych. Tyle straconych szans, tyle planów, które nie wypaliły. Ale przynajmniej po tym – po tym wszystkim – wciąż żyje. Zdarzyło się najgorsze – czyż nie? – a on wyszedł z tego bez szwanku. Ciało nadal jest ciepłe i nadal oddycha. Owszem, stał się nikim (lekarz okrętowy na yorkshirskim statku wielorybniczym? Też mi nagroda za cały ten znój!), ale jeśli spojrzeć z innej perspektywy, bycie nikim to zawsze bycie czymś. Czyż nie tak to właśnie wygląda? Nie przegrany tedy, ale oswobodzony? Wolny? A strach, który obecnie odczuwa, to wrażenie ciągłej niepewności, musi być, uznaje Sumner, po prostu zaskakującym skutkiem ubocznym obecnego stanu wyzwolenia.

Doszedłszy do tego wniosku, przez chwilę doznaje bezbrzeżnej ulgi, jakże klarownej i racjonalnej, tak łatwo i szybko osiągniętej, lecz niemalże w tym samym momencie, zanim dana mu jest szansa nacieszenia się tym nowym doświadczeniem, uderza go, że jest to nader czcza odmiana wolności, że wolnością taką radować się może włączyć najwyżej, ewentualnie dziki zwierz. Skoro on w swym obecnym położeniu jest wolny, wolny jest również ten drewniany stół, przy którym siedzi, wolna jest również ta oto pusta szklanka. A co w ogóle znaczy słowo „wolny”? Określenia takie cienkie są jak papier, mną się i drą pod naporem najmniejszej siły. Liczą się tylko czyny, myśli Sumner po raz dziesięciotysięczny, wyłącznie fakty. Wszystko inne chimerą jest i mgłą. Wypija kolejnego drinka i oblizuje usta. Za dużo myśleć to błąd śmiertelny, upomina się, śmiertelny błąd. Życia nie rozwiążesz jak zagadki, nie skłonisz gadaniem do uległości. Trzeba przez nie przejść, przetrwać je w taki sposób, na jaki człowieka stać.

Odchyła głowę, opiera ją o pobieloną ścianę i kieruje otumaniony wzrok ku wejściu naprzeciwko. Widzi tam stojącego za barem właściciela, słyszy pobrzękiwanie cynowych naczyń, trzask zamykającej się kłapy w podłodze. Czuje, jak w jego piersi wzbiera kolejna ciepła fala przejrzystości i ukojenia. To ciało, myśli, nie duch. To krew, jedyna chemia, która się liczy. Po upływie kolejnych kilku minut o wiele pogodniej postrzega i siebie, i świat. Kapitan Brownlee jest mężczyzną, jakich ze świecą szukać. W tej samej kategorii – na swój sposób – mieści się Baxter. Ludzie sumienni, jeden i drugi. Wyznają wiarę w czyn i jego konsekwencje, w schwywanie i nagrodę, w prostą geometrię przyczyny i skutku. Komu dano prawo twierdzić, że są w błędzie? Sumner wbija wzrok w opróżnioną szklankę i rozważa sens ponownego jej napełnienia. Wstać wstanę, myśli, ale czy dam radę się odezwać? Język ma jakiś sflaczały i obcy. Czym więc może się skończyć próba przemówienia? W jakim odezwie się języku, jakie dźwięki wyda? Właściciel, jakby odgadł targające nim rozterki, spogląda w jego kierunku, on zaś saltuje mu pustym naczyniem.

– Natychmiast – mówi szynkarz.

Prosta elegancja tego porozumienia wywołuje na twarzy Sumnera uśmiech – potrzeba odczytana, zaspokojenie zaoferowane. Właściciel wchodzi do bocznej izby z w połowie pełną butelką rumu i nalewa do szklanki po brzegi. Sumner kiwa głową w podziękę i wszystko jest tak, jak powinno być.

Na zewnątrz zrobiło się ciemno, a deszcz ustał. Podwórce emanuje żółtawą poświatą wzbogaconą mętnym gazowym światłem. Spoza ściany dobiegają głośnie kobiece śmiechy. Jak długo tu siedziałem? – zastanawia się nagle Sumner. Godzinę? Dwie? Dopija drinka, na powrót supła szpagat na paczce od aptekarza, wreszcie wstaje. Izba jak gdyby znacznie zmalęła, od kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. W palenisku nadal nie rozpalono, ale ktoś postawił lampę olejną na stołku przy drzwiach. Sumner ostrożnie przechodzi do sąsiedniego pomieszczenia, rozgląda się

przez chwilę, chyli czapkę przed paniami i wraca na ulicę.

Nocne niebo upstrzone jest gwiazdami – bezmierny zodiakalny rozsiew, wypełniony gęsto cętkowanymi punkcikami nienazwanych światełek. „Gwiazdziste niebo nade mną, prawo moralne we mnie”. Idąc, wspomina prosektorium w Belfaście, gdzie obserwował, jak ten odrażający bluźnierca Slattery radośnie rozkrawał zwłoki. „Na razie żadnego śladu duszy nieśmiertelnej w tym jegomościu, młodzi dżentelmeni – zwykł żartować, ryjąc i szarpiąc, wyciągając wnętrzności, jak sztukmistrz wyciąga chorągiewki – ani jego wybornych talentów umysłowych, ale będę szukał dalej”. Wspomina słoje z wypreparowanymi mózgami, pływającymi bezradnie, bezcelowo niczym marynowane kalafiory – gąbczaste półkule odarte z wszelkich myśli i pożądań. Zbyteczność ciała, przechodzi mu przez myśl, bezsilność mięsa. Jakże mielibyśmy wywołać duszę z kości? A mimo to ulica jest prześliczna: zamokłe cegły jarzące się czerwienią w poświęcie księżycy, rozchodzący się echem stukot obcasów na kamieniu, marszczenie się i napinanie popeliny na męskich plecach, flaneli otaczającej kobiece biodra. Krążenie i nawoływania mew, skrzypienie kół wozu, śmiechy, przekleństwa, wszystko współbrzmiające – harmonia nocy, wiążąca się w coś na podobieństwo prymitywnej symfonii. Po opium to właśnie lubi najbardziej: te zapachy, dźwięki i wizje, natłok i napór ich krótkotrwałego piękna. Wszędzie nagła zwawość, której brak codziennemu światu, nagłe natarcie i wigor.

Kroczy placykami i bocznymi uliczkami, mija chałupy na podwórzach i domy bogaczy. Nie ma pojęcia, gdzie jest północ ani którędy do doku, ale wie, że prędzej czy później zwęszy właściwą drogę. Nauczył się wyłączać w takich chwilach rozum i ufać instynktowi. Dlaczego Hull, na ten przykład? Dlaczego, kurwa, wielorybnictwo? Nie ma to najmniejszego sensu i w tym cała genialność. W nielogiczności, w głupocie niemalże. Mądrość, myśli, donikąd nie prowadzi. To głupi, wybitnie głupi odziedziczają ten świat. Wszedłszy na plac u zbiegu ulic, spostrzega beznogiego, obszarpanego żebraka, pogwizdującego *Nancy Dawson* i na pięściach pokonującego pociemniały bruk. Mężczyźni przystają, żeby porozmawiać.

– Którędy do Queen’s Dock? – pyta Sumner, a beznogi żebrak wskazuje kierunek oblepioną brudem pięścią.

– Tamtędy – odpowiada. – Jaki statek?

– „Ochotnik”.

Żebrak, którego twarz zryta jest bliznami po ospie i którego okrojone ciało urywa się raptownie tuż pod pachwiną, kręci głową i chichocze z rzężeniem.

– Jeśli zdecydowaliście się na rejs pod Brownleem, toście się sami w dupę wyruchali – powiada. – I to wprost królewsko.

Po chwili zastanowienia Sumner potrząsa głową.

– Brownlee może być – ocenia.

– Może być, jeśli chcecie, by wszystko się spierdoliło – odpowiada mu żebrak. – „Percewal”. Obiło się wam o uszy? Musieliście, kurwa, słyszeć o „Percewalu”.

Żebrak nosi utyłany i bezkształtny tam-o’-shanter, zszyty z licznych podartych szczątków starszych i elegantszych nakryć głowy.

– Byłem w Indiach – wyjaśnia Sumner.

– No to zapytajcie kogo bądź o „Percewala” – radzi żebrak. – Po prostu wymówcie to słowo i zobaczcie, czym do was wróci.

– Opowiedzcie tedy – mówi Sumner.

Żebrak zaczyna dopiero po chwili, jak gdyby musiał dokładniej zmierzyć zakres przekomicznej naiwności Sumnera.

– Rozwalony w drzazgi przez górę lodową – relacjonuje. – Będzie już trzy lata. Ładownie miał wówczas po brzegi wypełnione wielorybim tłuszczem. Nie uratowali ani baryłki. Ani



krztyny. Ośmiu chłopą poszło było na dno, kolejnych dziesięciu skonało z zimna, a z tych, co ocaleli, żaden nie zarobił nawet sześciu pensów.

– Wygląda mi to na zły los. Mogło spotkać każdego.

– Ale zdarzyło się Brownleemu, nikomu innemu. A tak kurewsko pechowemu kapitanowi rzadko trafia się kolejny okręt.

– Najwyraźniej Baxter ma do niego zaufanie.

– Baxter jest, kurwa, kuty na cztery nogi. To wszystko, co mam do powiedzenia o jebanym Baxterze. Na cztery nogi jest kuty i tyle.

Sumner wzrusza ramionami i spogląda na księżyc.

– Co się stało z waszymi nogami? – pyta.

Żebrak opuszcza wzrok i – jakby zadziwiony, że ich tam nie ma – marszczy czoło.

– O to zapytajcie kapitana Brownleego – proponuje. – Rzeknijcie, że przysłał was Ort Caper. Przekażcie mu, że pewnego pięknego wieczora żeśmy liczyli moje nogi i wyszło, że ze dwóch brakuje. Przekonajcie się, co na to powie.

– Czemuż miałbym go o to pytać?

– Bo komuś takiemu jak ja raczej nie uwierzycie, weźmiecie prawdę za majaczenia szaleńca. Ale Brownlee, do cholery, zna tę prawdę równie dobrze, jak ja. Zapytajcie, co zaszło na „Percewale”. Przekażcie najserdeczniejsze pozdrowienia od Orta Capera, sprawdźcie, jak to wpłynie na jego trawienie.

Sumner wyjmuje z kieszeni monetę i upuszcza ją na wyciągniętą dłoń żebraka.

– Ort Caper się nazywam! – niesie się za nim głos. – Zapytajcie Brownleego, co się stało z moimi, kurwa, nogami!

Uszedłszy nieco dalej, zaczyna czuć zapach Queen’s Dock – nadgniły, zarazem wzniosły i przyziemny, jak gdyby mięso zaczynało się psuć. Poprzez luki między magazynami, pomiędzy stertami desek w składach drewna widzi cienko zarysowaną linię okrętów wielorybicznych i słupów. Minęła już północ i na ulicach zrobiło się spokojniej. Rozlegają się stłumione odgłosy pijaństwa z tawern – Penny Bank, Seaman’s Molly – od czasu do czasu słychać też pusty zaprzężony wóz bądź dudnienie śmieciarki. Nieboskłon się obrócił, nabrzmiały księżyc w połowie zakryła ławica niklowanych chmur. Nieco dalej, w głębi doku widnieje ciemna sylwetka „Ochotnika” ze swym szerokim śród-okręciem i bujnym takielunkiem. Po pokładzie nikt się nie przechadza, a przynajmniej nikogo nie widać, co oznacza, że załadunek musiał dobiec końca. Pozostało tylko czekać na odpływ i holownik parowy, który przeciągnie okręt przez Humber.

Myśli Sumnera biegną ku polom lodowym północy i dziwom, jakich bez wątpienia na nich uświadczy – narwał i lampart morski, mors i albatros, fulmar i niedźwiedź polarny. Wyobraża sobie stada waleni niczym ołowiane burzowe chmury sunące pod cichymi połąciami lodu. Postanawia, że naszkicuje je wszystkie węglem, że będzie malował akwarelowe pejzaże, być może nawet zacznie prowadzić dziennik. Bo czemuż by nie? Będzie dysponował mnóstwem wolnego czasu, na ten temat Brownlee wyraził się wystarczająco jasno. Namiętnie odda się lekturze (zabrał z sobą swojego Homera z oślimi uszami), poćwiczy zardzewiałą grekę. Czemu, kurwa, nie? Wszak niewiele więcej będzie miał na głowie – ot, raz na jakiś czas da na przeczyszczenie, okazjonalnie stwierdzi zgon, ale poza tym właściwie czeka go wypoczynek. W każdym razie to sugerował Baxter. Dał do zrozumienia, że stanowisko lekarza na statku wielorybicznym to detal prawny, wymóg, który należy spełnić, ale w praktyce Sumner gównie będzie miał do roboty – stąd, oczywiście, te śmieszne pobory. Zatem tak, myśli, będzie czytał

i pisał, spał i – zaproszony – toczył dysputy z kapitanem. Generalnie zapowiada się spokojny, choć może nieco nużący okres, ale Bóg jeden wie, że tego mu trzeba po szaleństwie Indii: paskudnym upale, barbarzyństwie, feterze. Jakkolwiek wyglądają połowy wielorybów na Grenlandii, myśli, na pewno okażą się skrajnie odmiennym doświadczeniem.

Wiatr się wzmaga – zauważa Baxter. – Idę o zakład, że dopłyniesz do Lerwick w try miga.

Brownlee opiera się o pomost sternika i nad relingiem rufowym posyła grudkę zielonej flegmy w rozległą brązową mętność Humber. Na północy i południu spaw skąpej linii brzegowej wiąże rdzawą stal estuarium i nieba. Przed nimi z marudnym uporem posuwa się parowy holownik, zostawiając za sobą podskakujące mewy i kilwater wrzącej wody.

– Naprawdę nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jakąż to zbieraninę zakutych łbów załatwiłeś mi w Lerwick – odpowiada Brownlee.

Baxter się uśmiecha.

– Jeden w drugiego swoje chłopy – mówi. – Prawdziwi Szetlandczycy: pracują ciężko, z zapalem i wykonują rozkazy.

– Chyba wiesz, że gdy dotrzemy na Wody Północy, zamierzam wypełnić główną ładownię po brzegi.

– Czym konkretnie?

– Wielorybim tłuszczem.

Baxter kręci głową.

– Nie musisz się przede mną wykazywać, Arthurze – odpowiada. – Wiem, kim jesteś.

– Jestem wielorybnikiem.

– Jesteś, zaiste, i do tego przednim. Nasz problem nie wiąże się z tobą, Arthurze, a także nie ze mną. Naszym problemem jest historia. Trzydzieści lat temu każdy półgłówek z łodzią i harpunem mógł się wzbogacić. Pamiętasz te czasy. A „Aurorę” w dwudziestym ósmym pamiętasz? Wróciła w czerwcu – kurwa, w czerwcu! – z przywiązanymi do okrężnic stosami fiszbinu sięgającymi mojej głowy. Nie twierdzę, że wtedy było łatwiej, bo – jak wiesz – nigdy nie było łatwo. Ale szło tego dokonać. Teraz potrzeba ni mniej, ni więcej tylko silnika parowego o mocy dwustu koni, działa harpunniczego i mnóstwa szczęścia. A nawet wtedy są spore szanse na powrót z pustymi rękami.

– Napelnę ładownię – upiera się Brownlee spokojnie. – Popędzę hołotę na kopach i napelnę ładownię. Zobaczysz.

Baxter do niego podchodzi. Ubrany jest jak prawnik, nie jak marynarz: czarne buty z cielęcej skóry, nankinowa kamizelka, purpurowy fular, granatowa jaskółka z wełny czesankowej. Włosy ma siwe i przeredzone, policzki – czerwone i pożyłkowane, oczy zaś – kaprawe. Od lat wygląda na kogoś śmiertelnie chorego, ale nie opuścił ani dnia pracy. Trudno o drugiego takiego faryzeusza, myśli Brownlee, ale, mój Boże, gadane to on ma. Mówi, mówi i mówi... Niekończący się, kurwa, niepowstrzymany potok słów. Jak już będzie wachał kwiatki od spodu, zagada je na śmierć.

– Zabiliśmy je wszystkie, Arthurze – ciągnie Baxter. – Było to czymś wspaniałym, gdy jeszcze trwało, a przy tym niezmiernie dochodowym. Mieliliśmy, kurwa, dwadzieścia pięć tłustych lat. Ale świat nie przestaje się kręcić, a my wchodzimy w nowy rozdział. Popatrz na to w ten sposób. Nie, że coś się kończy, ale że zaczyna się coś lepszego. Poza tym nikt już nie potrzebuje wielorybiego tranu. Króluje nafta, gaz węglowy, sam dobrze wiesz.

– Nafta się nie przyjmie – odpowiada Brownlee. – To tylko krótkotrwały szal. A wieloryby wciąż tam są. Wystarczy kapitan, który ma do nich nosa, i załoga potrafiąca wykonywać polecenia.

Baxter kręci głową i nachyla się konspiracyjnie. Brownlee wdycha zapach pomady, musztardy, laku do pieczętowania i goździków.

– Nie spierdol tego, Arthurze – słyszy. – Dobrze wbij sobie do głowy, cośmy zaplanowali. To nie jest kwestia twojej czy mojej dumy. A już najmniej chodzi w tym o jebane ryby.

Brownlee odwraca się bez odpowiedzi. Spogląda w dal, ku przygnębiającej jednostajności lincolnshirskiego wybrzeża. Dochodzi do wniosku, że nigdy nie lubił tej ziemi. Znadto jest konkretna, zbyt stała, przesadnie pewna siebie.

– Daleś kogoś do sprawdzenia pomp? – pyta go Baxter.

– Draxa – odpowiada Brownlee.

– Drax jest w porządku. Nie poskapiłem na harpunników, co? Chybaś to zauważył. Załatwiłem ci trzech najlepszych. Draxa, Walenia Jonesa i... no, jak mu tam... Ottona. Każdy kapitan byłby szczęśliwy, mając tych trzech.

– Zdadzą się – przyznaje Brownlee. – Zdadzą się wszyscy, ale i tak nie zrekompensują posunięcia z Cavendishem.

– Cavendish jest niezbędny, Arthurze. Cavendish ma sens. Już wielokrotnie przerabialiśmy ten temat.

– Załoga szemrze. Sam słyszałem.

– Przeciw Cavendishowi?

Brownlee kiwa głową.

– Mianowanie go pierwszym oficerem to kiepski pomysł. Dał się ludziom poznać jako kawał bezwartościowej pizdy.

– Zgoda, że Cavendish to skończony dupek, a przy tym kurwiarz, ale wykona wszystko, co mu polecić. A kiedy dopłyniesz na Wody Północy, ostatnie, czego będziesz potrzebował, to jakiś sukinsyn chcący wykazać się inicjatywą. Masz zresztą drugiego oficera, młodego pana Blacka, który pomoże ci, jeśli pojawią się jakieś trudności. Głowę ma nie od parady.

– A co sądzisz o naszym irlandzkim lekarzu?

– O Sumnerze? – Baxter wzrusza ramionami, następnie chichocze. – Widziałeś, za ile go zamustrowałem? Dwa funty miesięcznie plus szyling za tonę! Rekord niemalże. Nie ulega wątpliwości, że jest jakiś trefny, oczywiście, że jest, ale moim zdaniem nie warto zwracać sobie tym głowy. Woli nie mieć z naszej strony żadnych kłopotów, to pewne jak amen w pacierzu.

– Wierzysz w świętej pamięci wujka?

– Jezu, gdzieżby! Ty wierzysz?

– Sądzisz zatem, że wyrzucili go z armii?

– Najprawdopodobniej. Ale jeśli nawet, to co? Za co teraz wojskowi wyrzucają ludzi? Za szachrowanie w brydżu? Posuwanie trębacza gołowąsa? Według mnie się nada.

– Wiesz chyba, że był w Delhi, na wzgórzu. I widział Nicholsona, zanim ten skonał.

Baxter unosi brwi i potwierdza skinieniem głowy. Chyba jest pod wrażeniem.

– Ten Nicholson to dopiero cholerny bohater – konstatuje. – Gdybyśmy mieli więcej takich jak on, co to wieszają sukinkotów, a mniej cykorów pokroju gówna wartego Canninga, który szasta ułaskawieniami na lewo i prawo, Imperium znajdowałoby się w pewniejszych rękach.

Brownlee kiwa głową na znak, że się pod tym podpisuje.

– Słyszałem, że potrafił przeciąć pandy'ego na pół jednym ciosem szabli – dodaje. – Znaczy Nicholson. Jakby ogórka ciachał.

– Jak ogórka! – śmieje się Baxter. – To dopiero byłby widok, no nie?

Za sterburtą przesuwają się Grimsby, a przed nimi w zasięg wzroku dźwiga się cienka żółta

linia Spurt Point. Baxter sprawdza godzinę na zegarku kieszonkowym.

– Szybko nam poszło – komentuje. – Same dobre znaki.

Brownlee woła do Cavendisha, żeby dał sygnał holownikowi. Po mniej więcej minucie parowiec zwalnia, a lina łącząca statki wiotczeje. Gdy zostaje odwiązana, Brownlee krzykiem nakazuje postawić grotzagle. Z południowego zachodu dmie stały wiatr, a wskazania barometru są stabilne. Na wschodnim horyzoncie tłoczą się szare chmury. Brownlee spogląda na Baxtera, który się do niego uśmiecha.

– Ostatnie słowo, zanim cię opuszczę, Arthurze – mówi, wskazując głową w dół.

– Zwinąć mi, kurwa, tę linę! – woła Brownlee do Cavendisha. – I płynąć równo, więcej żagli nie stawiamy!

Obaj mężczyźni udają się zejściówką do kajuty kapitana.

– Brandy? – proponuje Brownlee.

– Skoro za nią zapłaciłem – odpowiada Baxter – to czemu by nie?

Siadają po przeciwnych stronach stołu i piją.

– Przyniosłem papiery – mówi Baxter. – Pomyślałem, że będziesz chciał je zobaczyć.

Wyciąga dwa arkusze pergaminu, rozwija je i przesuwając po blacie. Brownlee na chwilę opuszcza na nie wzrok.

– Dwanaście tysięcy funtów podzielone na trzy... Sumka nie do pogardzenia, Arthurze – kontynuuje Baxter. – Przede wszystkim to powinienś mieć na uwadze. W najśmielszych marzeniach nie zarobisz tyle na zabijaniu wielorybów.

Brownlee potakuje skinieniem głowy.

– Lepiej, żeby Campbell był na miejscu – odpowiada. – Tylko tyle mam do powiedzenia. Jeśli się nie pojawi, kiedy będę go potrzebował, zawracam i płynę, kurwa, do domu.

– Pojawi się – uspokaja go Baxter. – Campbell nie jest takim durniem, na jakiego wygląda. Wie, że jeśli to wypali, będzie następny w kolejce.

– Oto, na co nam przyszło – wzdycha Brownlee.

– To pieniądze, Arthurze, nic więcej. A pieniądze robią, co im się podoba. Mają gdzieś, co byśmy woleli. Zablokuj jedno przejście, a wykują drugie. Nie jestem w stanie kontrolować pieniędzy, kazać im, co mają robić lub dokąd trafić. Chciałbym, ale, kurwa, nie jestem.

– Módl się, żeby nie zabrakło tam lodu.

Baxter dopija drinka i wstaje, gotów do wyjścia.

– Och, tam nigdy go nie brakuje – mówi, uśmiechając się lekko. – Obaj o tym wiemy.

A jeśli istnieje na tym świecie człowiek, który ma prawdziwą smykałkę do znajdowania go, to moim zdaniem jesteś nim ty.

Do portu w Lerwick zawijają pierwszego dnia kwietnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Popielate niebo grozi deszczem, a otaczające miasto niskie bezdrzewne wzgórza mają barwę zawilgotniałych trocin. Dwa okręty z Peterhead, „Zembla” i „Mary-Anne”, stoją już bezpiecznie na kotwicy, a „Najmilejszy” z Dundee oczekiwany jest nazajutrz. Zaraz po śniadaniu kapitan Brownlee udaje się do miasta, by odwiedzić Samuela Taita, swojego miejscowego agenta morskiego, i zebrać szetlandzką część załogi. Sumnerowi poranek mija na wydzielaniu racji tytoniu i doglądaniu Thomasa Andersona, majtka z bolesną stenozą. Po południu lekarz okrętowy wyciąga się na koi i zapada w drzemkę podczas lektury Homera. Pukaniem do drzwi budzi go Cavendish. Wyjaśnia, że gromadzi małą ekipę oddanych swej profesji marynarzy w celu przetestowania osiągnięć miejscowej gorzelni.

– Obecnie w skład oddziału ekspedycyjnego wchodzimy ja – mówi – Drax, w którym, muszę przyznać, po alkoholu budzi się barbarzyńca, Black, równy gość, który twierdzi, że pija wyłącznie piwo imbirowe i mleko, ale to się jeszcze zobaczy, no i Waleń Jones, jak wiadomo, obłąkany Walińczyk, a co za tym idzie, jebana nieodgadniona tajemnica. Podsumowując, ośmielę się stwierdzić, że wieczór zapowiada się nader interesująco.

Płyną na ląd z Draxem i Jonesem u wiosła. Cavendishowi nie zamykają się usta, opowiada o okrutnych walkach na noże, których był świadkiem, i o szkaradnych kobietach z Lerwick, które wyruchał.

– Chrystusie, niemożliwie jebało jej z pizdy – mówi. – Musielibyście tam być, żeby w to, kurwa, uwierzyć.

Sumner siedzi obok Blacka na rufie. Przed opuszczeniem kajuty zażył osiem granów laudanum (czyli, na podstawie wcześniejszych doświadczeń, wystarczającą ilość, żeby jakoś znieść tę eskapadę, ale nie aż tyle, żeby zrobić z siebie kompletnego błazna) i raduje się odgłosami wody rozchlapywanej przez wiosła i ich skrzypieniem w dulkach (na Cavendisha z dziką rozkoszą nie zwraca uwagi). Black dopytuje, czy to jego pierwsza wizyta w Lerwick, a Sumner potwierdza, że w istocie, pierwsza.

– Jak zobaczycie, miasto jest cokolwiek zacofane – zdradza mu Black. – Biedna to kraina, a tutejszych Szetlandczyków nie interesują zmiany na lepsze. To wieś-niacy, więc, jak mniemam, mają przymioty wieśniaków, ale na tym koniec. Jak przespacerujecie się kawałek po wyspie i zobaczycie żałosny stan gospodarstw i zabudowań, od razu pojmiecie, co mam na myśli.

– A mieszczanie? Branża wielorybnicza przynosi im jakieś dochody?

– Wybrany owszem, ale większość wielorybnictwo zwyczajnie zdeprawowało. Miasto jako całość jest równie plugawe i niegodziwe, jak każdy inny port. Zapewne nie gorsze od większości, ale też z pewnością nie lepsze.

– I dzięki za to Panu, kurwa, Bogu! – odkrzykuje w odpowiedzi Cavendish. – Porządny drink i kawał mokrej cipy – oto, czego trzeba mężczyźnie, zanim weźmie się do cholerniej wielorybniczej roboty, a Lerwick szczęśliwie przoduje tylko w tych dwóch dziedzinach.

– Szczera to prawda – potwierdza Black. – Jeśli szukacie, panie Sumner, szkockiej whisky i tanich zdzir, bez wątpienia znaleźliście się we właściwym miejscu.

– To chyba prawdziwy łut szczęścia, że trafili mi się tacy doświadczeni przewodnicy.

– A prawdziwy, prawdziwy – przytakuje Cavendish. – We wszystko was wtajemniczymy. Prawdę mówię, co, Drax? Wprowadzimy w najważniejsze miejscowe dziury, możecie być tego pewni.

Cavendish wybucha śmiechem. Drax, który słowem się nie odezwał, od kiedy opuścili statek, podnosi wzrok znad wiosła i wpatruje się w Sumnera przez chwilę, jak gdyby oceniając, kto zaczął i z jakiej gliny ulepiony.

– W Lerwick – powiada – za szklanicę najtańszej whisky dacie sześć pensiaków, a nieźła kurwa będzie was kosztować szylinga, no, może dwa, jeśli macie szczególne wymagania. Głębszego wtajemniczenia w zasadzie nikomu nie potrzeba.

– Drax, jak widzicie, jest oszczędny w słowach – mówi Cavendish – za to ja gadam jak najęty, więc tworzymy idealny zespół.

– A ten tutaj Jones? – chce wiedzieć Sumner.

– Jones to Walijczyk z Pontypool, więc za chuja nie idzie go zrozumieć.

Jones się obraca i radzi Cavendishowi, żeby poszedł się pierdolić.

– Sami słyszycie – komentuje Cavendish. – Bełkot jak chuj.

Zaczynają w hotelu Queen's, potem przenoszą się do Commercial, a jeszcze później do Edinburgh Arms. Po Edinburgh Arms udają się do przybytku pani Brown na Charlotte Street, gdzie Drax, Cavendish i Jones wybierają sobie po dziewczynie i idą z nimi na górę, podczas gdy Sumner (który nigdy nie mógł przejść do akcji po laudanum, wymówił się więc, że właśnie leczy się z trypra) oraz Black (który z kamienną twarzą upiera się, że obiecał wierność swojej narzeczonej Bercie) zostają na parterze i raczą się porterem.

– Mogę was, Sumner, o coś zapytać? – zagaduje Black.

Sumner, wpatrując się w niego przez gęstniejącą mgiełkę upojenia alkoholowego, kiwa głową. Black jest młody i pełen entuzjazmu, ale też – myśli Sumner – bardziej niż trochę arogancki. Nie żeby wprost był ordynusem bądź okazywał pogardę, ale chwilami wyczuwa się w nim wiarę w siebie doprawdy nieproporcjonalną do stanowiska.

– Owszem – odpowiada. – Jak najbardziej możecie.

– Co wy tu w ogóle robicie?

– W Lerwick?

– Na „Ochotniku”. Co ktoś taki jak wy robi na pokładzie wpływającego na Grenlandię wielorybnika?

– Zdaje się, że swoją sytuację przedstawiłem zeszłego wieczoru w mesie oficerskiej.

Testament wuja, gospodarstwo mleczne...

– Ale czy nie lepiej było poszukać pracy w szpitalu miejskim? Albo na pewien czas zająć się jakąś inną praktyką? Bez wątplenia znacie ludzi, którzy mogliby wam pomóc. Robota lekarza na statku wielorybniczym jest męcząca, nieprzyjemna, a do tego kiepsko płatna. Najczęściej łapią się na nią splukani studenci medycyny, a nie ludzie w waszym wieku i z waszym doświadczeniem.

Sumner wydmuchuje z nozdrzy bliźniacze rurki cygarowego dymu i mruga.

– Może nieuleczalny ze mnie ekscentryk – podsuwa – albo skończony, kurwa, kretyn.

Przyszło wam to do głowy?

Black się uśmiecha.

– Po mojemu ani jedno, ani drugie nie jest prawdą – odpowiada. – Widziałem, jak czytaliście Homera.

Sumner wzrusza ramionami. Jest zdeterminowany, by siedzieć cicho, by słowem nikomu nie podsunąć, jak wygląda prawda o odziedziczonym gospodarstwie.

– Baxter złożył mi propozycję, a ja ją przyjąłem. Może i pochopnie, ale teraz, gdy już się zaczęło, niecierpliwie wyglądam nowych doświadczeń. Zamierzam prowadzić dziennik,

szkicować, czytać.

– Rejs może być mniej sielankowy, niż wam się wydaje. Wiecie, że Brownlee musi się szczególnie wykazać. Nie wątpię, żeście słyszeli o „Percewalu”. Miał szczęście, że dostał po tym kolejny statek. Jeśli tym razem zawali, będzie skończony. Jesteście oczywiście lekarzem okrętowym, ale widywałem już, jak zmuszano lekarzy do polowań. Nie byłibyście pierwsi.

– Nie boję się pracy, jeśli o to wam chodzi. Swoje zrobię.

– O, w to nie wątpię.

– A co z wami? Dlaczego „Ochotnik”?

– Jestem młody, nie mam rodziny ani wysoko postawionych przyjaciół. Jak nie zaryzykuję, nie wyjdę na swoje. Brownlee słynie z lekkomyślności, ale jeśli mu się powiedzie, zarobię ładną sumkę, a jeśli da ciała, nikt nie będzie mnie winił i wciąż będę miał czas po swojej stronie.

– Jak na młodzieńca toście nie w ciemną bici.

– Nie zamierzam skończyć jak tamci, Drax, Cavendish, Jones. Wszyscy przestali myśleć. Nie wiedzą już, co ani dlaczego robią. Ale ja mam plan. Za pięć lat, albo i wcześniej, jeśli mi się poszczęści, będę miał własną załogę.

– Macie plan? Plan??? – pyta Sumner. – I sądzicie, że to w czymś pomoże?

– O, tak – odpowiada Black z szerokim uśmiechem błakającym się między szacunkiem a butą. – Spodziewam się, że jak najbardziej.

Drax wraca na dół pierwszy. Opada na krzesło obok Blacka i wydaje z siebie przeciągłe, cuchnące pierdnięcie. Dwaj mężczyźni na niego spoglądają. Harpunnik puszcza oczko, po czym macha na barmankę, że chce kolejnego drinka.

– Za szylinga miewałem gorsze – powiada.

Dwóch skrzypków w rogu zaczyna grać, niektóre dziewczęta puszczają się w tany. Nadciąga grupa majtków z „Zembli” i Black się oddala, by z nimi porozmawiać. Zbliża się Cavendish, zapinający po drodze spodnie, ale Walenia Jonesa wciąż ani śladu.

– Ten nasz pan Black wygląda na zarozumiałego chujka, nie? – odzywa się Cavendish.

– Powiedział mi, że ma plan.

– Jebać jego jebany plan – wtrąca Drax.

– Chciałby mieć własny statek – mówi Cavendish – ale go nie dostanie. Nie ma skurwiel pojęcia, co się tutaj dzieje.

– A co takiego się tutaj dzieje? – pyta Sumner.

– Nic wielkiego – odpowiada Cavendish. – Rutyna.

Mężczyźni z „Zembli” tańczą z dziewczynkami, pokrzykują i tupią w podłogę. W powietrzu pełno jest trocin i torfowego dymu. Niesie się ciepła, smrodliwa woń tytoniu, popiołów i zwietrzałego piwa. Drax obrzuca tancerzy wzgardliwym spojrzeniem, a następnie prosi Sumnera, żeby postawił mu jeszcze jedną whisky.

– Skrypt dłużny wam wystawię – proponuje.

Sumner zbywa go machnięciem ręki i zamawia następną kolejkę.

– Wiecie co? Dużo słyszałem o Delhi – mówi do niego Cavendish, nachylając się.

– Coście takiego słyszeli?

– Że można się tam wzbogacić. I to niezgorzej. Trafiło wam się co?

Sumner zaprzecza ruchem głowy.

– Miasto zostało wyczyszczone przez pandych, zanim się do niego wdarliśmy. Wszystko splądrowali, dla nas zostały tylko bezpańskie kundły i połamane meble.



– Czyli żadnego złota? – upewnia się Drax. – Żadnych drogich kamieni?

– Myślicie, że bogaty siedziałby tu z takimi dwoma sukinkotami?

Drax mierzy go wzrokiem przez kilka sekund, jakby pytanie było zbyt złożone, by od razu na nie odpowiedzieć.

– Bogaty bogatemu nierówny – powiada wreszcie.

– Tak czy inaczej, to nie ja.

– Ale idę o zakład, żeście się napatrzyli na wyśmienite jatki – zmienia temat Cavendish. –

Na kurewsko potworną przemoc.

– Jestem lekarzem – przypomina Sumner. – Rozlew krwi nie robi na mnie wrażenia.

– Nie robi wra-że-nia? – powtarza Drax z drwiącą starannością, jakby słowo to samo w sobie było dziewczyńskie i z lekka absurdalne.

– Nie zaskakuje mnie, jeśli wolicie – dodaje Sumner szybko. – Rozlew krwi mnie nie zaskakuje. Już nie.

Drax kręci głową i przenosi wzrok na Cavendisha.

– Mnie też nie zaskakuje rozlew krwi. Was zaskakuje, panie Cavendish?

– Nie, niezbyt często, panie Drax. Z reguły spokojnie znoszę rozlew krwi, byle niewielki.

Dopiwszy drinka, Drax udaje się na górę poszukać Jonesa, ale go nie znajduje. Wracając do stołu, zamienia kilka słów z jednym z ludzi z „Zembli”. Gdy siada, mężczyzna coś do niego odkrzykuje, ale Drax nie zwraca na niego uwagi.

– O nie, nie znowu – jęczy Cavendish.

Drax wzrusza ramionami.

Skrzypkowie grają *Monymusk*. Sumner obserwuje, jak niechlujni, niedobrani tancerze kręcą się i przytupują. Przypomina sobie, jak tańczył polkę w Firozpurze krótko przed wybuchem buntu, wspomina wilgotne gorąco sali balowej pułkownika i zmieszane zapachy birmańskich cygar, pudru ryżowego, wypacanej różanej wody. Melodia się zmienia i niektóre dziwki siadają, żeby odpocząć, lub pochylają się z rękami na kolanach, by złapać oddech.

Drax oblizuje wargi, wstaje z krzesła i przechodzi na drugi koniec izby. Sunie powoli między stołami, aż wreszcie staje naprzeciwko mężczyzny, z którym przed kilkoma minutami wdał się w spór. Nachyla się i szepcze mu do ucha wiązkę starannie dobranych plugastw. Mężczyzna się okręca, a Drax dwukrotnie go uderza. Unosi pięść po raz trzeci, ale zanim udaje mu się wyprowadzić cios, odciągają go i atakują pozostali członkowie załogi.

Muzyka cichnie. Niosą się krzyki, przekleństwa, odgłosy gruchotanych mebli i tłuczonego szkła. Cavendish rusza na pomoc, ale natychmiast zostaje powalony na ziemię. Zostało dwóch przeciwko sześciu. Obserwujący to Sumner wolałby pozostać neutralny – w końcu jest lekarzem, nie hałaburdą – ale wystarczająco dobrze potrafi liczyć i ma świadomość swych zobowiązań. Odstawia szklanicę portera i rusza wskroś sali.

Godzinę później Drax, cuchnący whisky, z otartymi do żywego mięsa knykciami i obolałym kutasem, wiosłuje ze zdekompletowaną ekipą na „Ochotnika”. Jones i Black są nieobecni, Sumner zwinął się w kłębek na rufie i jęczy, a Cavendish leży obok niego i donośnie chrapie. Niebo nad nimi jest bezksiężycowe, a woda wokół ma barwę atramentu. Gdyby nie latarnie okrętu wielorybniczego i cętki świateł na wybrzeżu, nie byłoby nic widać – otaczałaby ich pustka. Drax się zgina, a potem odchyła, ciągnąc za wiosła. Czuje ciężki opór wody i jego ustępowanie.

Gdy docierają do statku, Drax wybudza Cavendisha z pijackiego otępienia. We dwóch wciągają Sumnera na pokład, a potem taszczą na dół. Drzwi do kajuty lekarza są zamknięte;

muszą przetrząsnąć kieszenie jego kamizelki w poszukiwaniu klucza. Układają go na koi i ściągają mu buty.

– Oj, przydałaby się biedakowi pomoc lekarska – mówi Cavendish.

Drax nie zwraca na niego uwagi. Odkrył, że Sumner ma w kieszeni kamizelki dwa klucze, i zastanawia się teraz, jaki też zamek może otwierać ten drugi. Rozgląda się po kajucie i spostrzega zamknięty na kłódkę kufer, spoczywający pod koją obok apteczki. Kuca i dźga go palcem wskazującym.

– Co ty wyrabiasz? – pyta go Cavendish.

Drax pokazuje mu drugi klucz. Cavendish pociąga nosem i wyciera świeżą plamę krwi z rozciętej wargi.

– Pewnie nic tam nie ma – uznaje – poza zwyczajnym szajsem.

Drax wysuwa kufer, otwiera kłódkę drugim kluczem i zabiera się do przeglądania zawartości. Wyjmuje parę płóciennych spodni, kominiarkę, tanio oprawiony egzemplarz *Iliady*. Znajduje wąską mahoniową szkatułkę i unosi jej wieko.

Cavendish gwizdże z cicha.

– Fajka do opium – komentuje. – No, no.

Drax ją wyjmuje, bada przez chwilę wzrokiem, wacha główkę, po czym odkłada fajkę z powrotem.

– To nie to – mówi.

– Nie co?

Drax wyciąga parę marynarskich butów, pudełko z akwarelami, komplet pościeli, wełniany bezrękawnik, trzy flanelowe koszule, przybory do golenia. Sumner przekręca się na bok i stęka. Obaj mężczyźni nieruchomieją i spoglądają na niego.

– Sprawdź na samym dnie – radzi Cavendish. – Coś może być ukryte na samym dnie.

Drax wkłada rękę i grzebie. Cavendish, ziewnąwszy, zaczyna zdrapywać plamę po musztardzie z łokcia kurtki.

– Znalazłeś coś? – pyta.

Drax nie odpowiada. Zanurza drugą rękę głęboko do kufra i wyciąga brudną kopertę z pozaginanymi rogami. Wyjmuje z niej dokument i podaje Cavendishowi, żeby przeczytał.

– Zwolnienie ze służby wojskowej – oznajmia Cavendish i po chwili dodaje: – Sumnera postawiono przed sądem wojskowym, nie przyznano renty, wydano dyscyplinarnie.

– Za co?

Cavendish kręci głową.

Drax potrząsa kopertą, potem odwraca ją do góry nogami. Wypada pierścień. Jest złoty i wysadzany dwoma sporej wielkości kamieniami szlachetnymi.

– Stras – ocenia Cavendish. – Jak nic.

Na ścianie grodziowej nad głową Sumnera na mosiężnych narożnikach wisi prostokątne lustro ze ściętymi krawędziami, świadectwo próżności jakiegoś poprzedniego mieszkańca. Drax podnosi pierścień, oblizuje, a potem skrobie nim szkło zwierciadła. Cavendish go obserwuje, następnie pochyla się i bacznie wpatruje w powstałą kreskę – długą, szarą i falistą niczym pojedynczy włos wyrwany z czaszki staruchy. Liże palec wskazujący i wyciera kurz, by lepiej oszacować faktyczną głębokość nacięcia. Kiwa głową. Spoglądają na siebie uważnie, po czym opuszczają wzrok na Sumnera, który ciężko oddycha przez nos i wygląda na pogrążonego w głębokim śnie.

– Hinduski łup z Delhi – stwierdza Cavendish. – Kłamliwy sukinsyn. Ale dlaczego go nie sprzedał?

– Na wszelki wypadek – wyjaśnia Drax, jakby odpowiedź była oczywista. – Czuje się

z nim bezpiecznie.

Cavendish śmieje się i kręci głową, zadziwiony wariactwem takiego pomysłu.

– Rejs wielorybiczny jest pełen niebezpieczeństw – zauważa. – Są wśród nas nieszczęśnicy, którzy nie wrócą do domu żywi. To prosta prawda.

Drax potwierdza skinieniem głowy, a Cavendish kontynuuje:

– A jeśli zaokrętowany człek zginie, to, oczywiście, pierwszy oficer obarczony jest zadaniem zlicytowania jego dobytku na rzecz nieszczęsnej wdowy. Mylę się?

Drax kręci głową.

– Masz słusność – odpowiada. – Ale jeszcze nie teraz. Nie w Lerwick.

– No przecież, kurwa, że nie teraz. Nie chodziło mi o teraz.

Drax wsuwa pierścień i potwierdzenie zwolnienia ze służby z powrotem do koperty. Kopertę chowa na dnie kufra i układa na niej resztę zawartości tak, jak było poprzednio.

Z kliknięciem zamyka kłódkę i wpycha kufer na miejsce pod koją.

– Nie zapomnij o kluczach – zwraca mu uwagę Cavendish.

Drax umieszcza klucze w kieszeni kamizelki Sumnera i obaj mężczyźni wychodzą z kajuty. Przed rozejściem się na chwilę przystają w zejściówce.

– Myślisz, że Brownlee wie? – pyta Cavendish.

Drax zaprzecza ruchem głowy.

– Wiemy tylko my dwaj – odpowiada. – Ty i ja.

Z Lerwick żeglują na północ poprzez długie dni mgły, deszczu ze śniegiem i przenikliwego wiatru, dni bez odprężenia i wytchnienia, gdy niebiosa i morze stapiają się w namokłą przędzę zmaczonej, nieprzeniknionej szarzyzny. Sumner pozostaje w swojej kajucie. Rzyga nieustannie i, niezdolny czytać ani pisać, rozmyśla nad tym, co też sobie uczynił. Dwukrotnie atakują ich ciągnące ze wschodu sztormy. Liny trzeszczą, a statek zapada się i miota wśród kipiących gniewem wzniesień nieustępliwego morza. Jedenastego dnia pogoda łagodnieje, a oni napotykają lód morski – niskie bloki, szerokie na kilka jardów, unoszące się i opadające na umiarkowanych falach. Powietrze nasycił świeży chłód, ale niebo się oczyszcza, mogą więc dostrzec w dali biały wulkaniczny gruzel wyspy Jan Mayen. Torby z odpadkami zostają wytaszczone na pokład, ludzie otrzymują proch strzelniczy, pistony i strzelby. W ramach przygotowań do polowania na foki załoga zaczyna odlewać kule i ostrzyć noże. Dwie doby później po raz pierwszy widzą główne stado fok, a o świcie dnia następnego spuszczają łodzie.

Drax pracuje na łodzie samotnie. Cierpliwie i niestrudzenie przemieszcza się tam i z powrotem od jednej grupki do drugiej, strzela i tłucze pałką. Młode sztuki na niego skrzeczą i usiłują się od niego odkołysać, ale są zbyt powolne i głupie, by uciec. Starsze częstuje kulką. Po zabiciu fok odwraca ją, urzyna tylne płetwy, a następnie rozkłada zwierzę od szyi po narządy płciowe. Wciska krawędź noża między mięso a tłuszcz, zaczyna ciąć i odkrawać zewnętrzne warstwy. Skończywszy, nabija oddzielną skórę na sznur, by dało się ją ciągnąć razem z innymi, a skrawione, przegowane mięsem odtłuszczone ścierwo niczym makabryczny popiół porzuca na śniegu na pastwę mewich dziobów bądź kłów niedźwiedziątek. Po wielu godzinach takiej aktywności powierzchnia lodu jest schlapana i uświniona niczym fartuch rzeźnika, a każdą z pięciu łodzi wielorybicznych wypełnia cuchnący stos foczych skór. Brownlee daje sygnał do powrotu. Drax dotaszcza swój ostatni ładunek, przeciąga się, a potem pochyla i zanurza nóż do oprawiania oraz pałkę w słonej wodzie, by splukać nagromadzone skrzepy krwi i substancji mózgu.

Gdy kabestan wciąga przemoczone ludzkie grupki na pokład, Brownlee przelicza focze skóry i szacuje ich wartość. Czterysta skór powinno dać dziewięć ton oleju, ocenia, a przy odrobinie szczęścia każda sprzedana tona przyniesie jakieś czterdzieści funtów. Zaczęło się dobrze, ale nie mogą spocząć na laurach. Stado fok zaczyna się rozdzielać, rozpraszać, a jest jeszcze mała flotylla innych statków wielorybicznych. Holenderskie, norweskie, szkockie i brytyjskie, zgromadzone w szerokich interwałach wzdłuż krawędzi tafli lodowej, jeden w drugi rywalizujące o ochłapy tego samego łupu. Nim do reszty zanika światło, Brownlee wspina się z lunetą na bocianie gniazdo i ustala najbardziej obiecujące miejsce na jutrzejsze polowanie. Tego roku stado jest niezwykle duże, a przez lód, choć nierówny i miejscami cienki, da się nawigować. Gdyby dysponował sensowną załogą, dobiłby pięćdziesięciu ton, ale wierzy, że nawet z tą skąpą bandą obesrańców, których załatwił mu Baxter, bez kłopotu zgarnie ich trzydzieści, może nawet trzydzieści pięć. Postanawia, że jutro pošle dodatkową łódź, szóstą. Każdy piździelec, który oddycha i jest w stanie utrzymać strzelbę, popłynie zabijać fok.

O czwartej robi się widno, a oni ponownie spuszczają łodzie. Sumner siedzi w szóstej w towarzystwie Cavendisha, ochmistrza, chłopca okrętowego i kilku notorycznych symulantów. Na dworze jest osiemnaście stopni mrozu, wieje lekka bryza, a morze ma barwę i konsystencję londyńskiej chlapy. Sumner, który boi się odmrożeń, włożył kominiarkę i gruby dziany szal. Swoją strzelbę ścisną między kolanami. Po półgodzinie wiosłowania na południowy wschód

widzą w oddali ciemną łatę foczego stada. Zakotwiczą łądź o łąd i wysiadają z niej. Cavendish, pogwizdujący *The Lass of Richmond Hill*, prowadzi, a reszta podąża za nim łamanym pojedynczym szeregiem. Gdy znajdują się sześćdziesiąt jardów od fok, rozpraszają się i wszczynają palbę. Zabijają trzy dorosłe sztuki, pałkami tłuką na śmierć sześć młodych, ale reszta ucieka bez szwanku. Cavendish spluwa, przeladowuje strzelbę, po czym wchodzi na grzbiet ciśnieniowy i się rozgląda.

– Tam! – woła do pozostałych, wskazując różne kierunki. – Tam i tam!

Chłopiec okrętowy zostaje, by zdjąć z martwych fok skórę z warstwą tłuszczu, reszta się rozdziela. Sumner kieruje się na wschód. Nad niecichącym trzeszczeniem i pojękiwaniem ruchomego lodu co jakiś czas słyhać huk wystrzału z broni palnej. Sumner zabija jeszcze dwie foki i oprawia je najlepiej, jak umie. Wycina nożem oczka w skórze, przewleka przez nie sznur, wiąże skóry razem i zaczyna wracać z liną zarzuconą na ramię.

Do południa zabija kolejnych sześć fok, a że oddalił się przy tym od welbota na milę, taszczy teraz sto funtów poszarpanej skóry poprzez ciąg szerokich, dryfujących taflí lodu przybrzeżnego. Słania się ze zmęczenia. Ramiona ma poranione i obolałe od tarcia liny, a lodowate powietrze rozrywa mu płuca. Gdy unosi głowę, dostrzega sto jardów przed sobą Cavendisha, a dalej na prawo kolejnego marynarza, ciemno odzianego, podążającego w tym samym kierunku i także ciągnącego skóry. Sumner do nich krzyczy, ale wiatr porywa jego głos i żaden z mężczyzn ani nie przystaje, ani nie kieruje na niego wzroku. Sumner brnie dalej. Z mozołem stawiając krok za krokiem, myśli o ciepłó i zacisznósci swojej kajuty oraz o pięciu stojących w apteczce szeregiem – jak żołnierze na paradzie – butelkach z krótkimi szyjkami, zawierających laudanum. Obecnie każdego dnia po wieczery zażywa dwadzieścia jeden granów. Załóganci uważają, że cyzeluje grekę, i nabijają się z niego, ale w rzeczywistości, gdy oni rzną w karty albo rozmawiają o pogodzie, on leży wyciągnięty na koi w stanie chaotycznej i prawie niemożliwej do opisanía błógości. W godzinach tych może znaleźć się wszędzie i stać się kimkolwiek. Jego umysł ślizga się tam i z powrotem po zapętlonych zaułkach czasu i przestrzeni – Galway, Lucknow, Belfast, Londyn, Bombaj – minuta trwa godzinę, a dekada upływa niemalże w mgnieniu oka. Zastanawia się czasem, czy to opium jest kłamstwem, czy może jest nim raczej otaczający świat, świat krwi i cierpienia, beznadziei i trosk. Wie, nawet jeśli to jedyna dostępna mu wiedza, że jedno i drugie naraz prawdą być nie może.

Dociera do szerokiego na jard rozwarcia pomiędzy krami i na chwilę przystaje. Przerzuca koniec liny na drugą stronę, cofa się o krok i przygotowuje do krótkiego skoku. Zaczęło śnieżyć – płatki wypełniają całą przestrzeń wokół niego, zacinają w twarz i klatkę piersiową. Doświadczenie go nauczyło, że lepiej odbić się chorą nogą i wylądować na zdrowej. Daje mały krok, a zaraz po nim dłuższy, szybszy. Ugina kolano, wybija się, ale stopa ślizga mu się w bok na lodzie. Zamiast z łatwością przeskoczyć, daje nura – jak klaun ku uciesze gawiedzi, głową naprzód, machając ramionami – w czarną lodowatą wodę.

Przez długą dezorientującą chwilę przebywa ociemniały pod powierzchnią. Szarpie się, prostuje, po czym wyrzuca rękę i chwyta nią krawędź kry. Zabójczy ziaób przemoczenia wyparł mu dech z piersi. Zachłystuje się, rozpaczliwie wciągając powietrze, a krew huczy mu w uszach. Łapie się kry także drugą ręką, usiłuje wydobyć się z wody, ale nie daje rady. Łód jest zbyt śliski, a jego ramiona od rana zanadto osłabły. Woda sięga mu do szyi, padający śnieg zgęstniał. Słyszy trzeszczenie lodu, który rozstępuje się, niesiony niską falą. Wie, że jeśli taflé się zejda, zostanie między nimi zmiażdżony. A jeśli zbyt długo pozostanie w wodzie, straci przytomność i utonie.

Ponownie zaciska dłonie i spina się w drugiej próbie wynurzenia. Na jakiś czas zawisa w nieruchomych katuszach, ale ręce ześlizgują mu się z lodu i wali się plecami w dół. Jego usta i nozdrza wypełnia woda morska. Plując i charcząc, Sumner wybija się na powierzchnię.

Przemoczone ubranie ciągnie go w dół; siła ta wydaje się nagle kolosalna. Na brzuchu i w pachwinach czuje już dreszcze zimna, drętwieją mu nogi i stopy. Gdzie się, kurwa, podziewa Cavendish? – myśli. Przecież musiał widzieć jego upadek! Woła o ratunek, woła jeszcze raz, ale nikt nie nadchodzi. Jest sam. Linę ma w zasięgu ręki, lecz wie, że skóry na jej krańcu nie są wystarczająco ciężkie, by utrzymać jego wagę. Musi się wydostać samodzielnie.

Po raz trzeci zaciska dłonie na lodzie i, mocniej wierzgając nogami, usiłuje wywindować się z wody. Zahacza się o powierzchnię najpierw prawym łokciem, potem lewą dłonią. Wbija łokieć w lód, dysząc i stękając z nadludzkiego wysiłku, podciąga się jeszcze wyżej, aż wreszcie jego policzek, szyja, a potem mały fragment klatki piersiowej wynurzają się nad brzeg tafli. Wpiera w nią lewą rękę najmocniej, jak potrafi, wykorzystuje łokieć w charakterze dźwigni i zyskuje jeszcze cal czy dwa. Przez krótką chwilę wierzy, że równowaga ustala się na jego korzyść i że w zasadzie już mu się powiodło, ale gdy tylko nadchodzi go ta myśl, tafla, do której się przyciska, nagle ustępuje w bok, prawy łokieć się ześlizguje, a Sumner mocno uderza szczęką w ostrą lodową krawędź. Przelotnie obejmuje wzrokiem pobieląły, udręczony nieboskłon, potem zaś, zamroczony i bezsilny, osuwa się w ciemną toń i w dal.

Brownlee śni, że pije krew ze starego buta. To krew O'Neilla, ale O'Neill nie żyje, zabiły go mróz i picie morskiej wody. Mężczyźni podają sobie but i każdy z nich, trzęsąc się, po kolei z niego pije. Krew jest ciepła, plami ich usta i zęby niczym wino. Chuj z tym, myśli Brownlee, chuj z tym. Człowiek musi żyć, choćby jeszcze godzinę, choćby tylko minutę. Co innego pozostaje? Wie, że w ładowni pływają beczki z chlebem, a także baryłki piwa, lecz nikt nie ma dość sił ani sprytu, by do nich dotrzeć. Gdyby mieli wtedy więcej czasu... Ale w ciemnościach rozpełtało się pandemonium. Dwanaście stóp wody w ładowni i po kwadransie została im tylko prawa strona dziobu wystająca nad rozszalałe fale. O'Neill nie żyje, ale jego krew jeszcze nie wystygła. Ostatni w kolejce liże wkładkę buta, trze palcami wewnętrzną stronę obcasa. Kolor zadziwia. Wszystko inne na świecie jest szare, czarne lub bure, ale nie krew. To dar Boży, myśli Brownlee. „To dar Boży!” – powtarza na głos. Mężczyźni na niego spoglądają, a on zwraca się do lekarza pokładowego i wydaje mu polecenia. W gardle i w brzuchu czuje krew O'Neilla: rozprzestrzenia się w nim, obdarza go nowym życiem. Lekarz upuszcza krwi im wszystkim, a na końcu upuszcza krwi sobie. Niektórzy mieszają swoją krew z mąką, by powstała papka, inni, jak nałogowi pijacy, żłopiają ją prosto z butów. To nie grzech, tłumaczy sobie Brownlee, nie pozostał już żaden grzech, są tylko krew, woda i lód. Tylko życie i śmierć, i szarzielona przestrzeń pomiędzy. Przykazuje sobie w duchu, że nie umrze, ani teraz, ani nigdy. Gdy będzie spragniony, napije się własnej krwi, głód zaspokoi własnym ciałem. Rozrośnie się na takiej uczcie ponad wszelkie wyobrażenie, rozprzestrzeni się, by wypełnić puste niebo.

Sumnera, który wygląda, jakby już umarł, odnajduje Black. Ciało medyka zaklinowało się w wąskiej szczelinie między dwiema taflami lodu. Głowa i ramiona wystają nad wodę, ale cała reszta znajduje się pod powierzchnią. Twarz pobieliała mu jak kość, z wyjątkiem ust, ciemnych i nienaturalnie sinych. Oddycha w ogóle? Black schyla się, by to sprawdzić, ale niczego nie może ustalić – wiatr zbyt głośno dmie, wszędzie dookoła trzeszczy i zgrzyta unoszony na falach lód. Lekarz wydaje się bryłą, zamarznąłą i litą. Black sięga po swą marynarską linę i przewiązuje nią pierś Sumnera. Wątpi, żeby dał radę wyciągnąć go w pojedynkę, mimo to próbuje. Najpierw szarpie nim na boki, by uwolnić go ze szczeliny, a potem, zapałszy się obcasami w śniegu, z całych sił ciągnie w górę. Sztywne i nieruchome ciało unosi się z nadzwyczajną lekkością, jak gdyby morze zdecydowało, że jednak nie chce tego człowieka. Black puszcza linę, rzuca się do przodu, chwytając nasiąknięte epolety wojskowego płaszcza i wyciąga nieprzytomnego na lodową pokrywę. Odwraca go i dwukrotnie otwartą dłoń uderza w twarz. Sumner nie reaguje. Drugi oficer bije mocniej. Jedna powieka nagle się otwiera.

– Boże mój, wy żyjecie! – zdumiewa się Black.

Dwukrotnie strzela w powietrze. Dziesięć minut później przybywa Otto z jeszcze dwoma ludźmi z ekipy poszukiwawczej. Czterej mężczyźni ujmują po jednej kończynę i jak najszybciej niosą Sumnera na okręt. Jego mokre ubranie zamarzło w arktycznym powietrzu na kamień. Transport bardziej przypomina taszczenie po lodzie ciężkiego mebla niż istoty ludzkiej. Gdy docierają do statku, Sumner zostaje wciągnięty na pokład za pomocą wielokrążka i ułożony na deskach. Brownlee na niego spogląda.

– Czy ten nieszczęsny piździelec w ogóle oddycha? – pyta.

Black potwierdza skinieniem głowy. Kapitan kręci głową w zadziwieniu.

Przeciągają Sumnera przez luk zejściówki i zanoszą do mesy oficerskiej, gdzie rozcinają nożycami jego zamarznęte ubranie. Black dorzuca węgla do pieca i każe kukowi nagotować wody. Nacierają lekarza gęsim smalcem i owijają go parzącymi ręcznikami. Nie porusza się ani nie mówi – żyje wprawdzie, ale zapadł w śpiączkę. Black pozostaje u jego boku, inni zaglądają co jakiś czas, żeby popatrzeć lub wspomóc radą. Około północy oczy leżącego na krótko się otwierają, zostaje więc napojony brandy, którą wykasłuje wraz z ciemnobrązową krwią. Nikt nie daje mu szans na przetrwanie nocy. O świcie, gdy odkrywają, że wciąż jeszcze oddycha, przenoszą go z mesy do jego kajuty.

Gdy wracają mu zmysły, Sumner ma przez chwilę wrażenie, że znowu znajduje się w Indiach i leży w swoim parnym górskim namiocie na wzgórzu nad Delhi, a dźwięki lodowych bloków roztrzaskujących się o kil „Ochotnika” są w rzeczywistości odgłosami ciężkiej artylerii transportowanej tam i z powrotem między bastionami a pikietami. Jest to krótkotrwałe doznanie, jak gdyby jeszcze nie spotkało go nic strasznego ani nieodwracalnego, jakby jakimś niewiarygodnym sposobem dano mu drugą szansę. Zamyka oczy i zasypia ponownie. Gdy otwiera je godzinę później, spostrzega Blacka, który stoi przy łóżku i mu się przygląda.

– Możecie mówić? – pyta Black.

Sumner przez chwilę tylko na niego patrzy, ale w końcu kręci głową. Black pomaga mu się podźwignąć do pozycji siedzącej i zaczyna karmić go bulionem z filiżanki do herbaty. Zapach i gorąco wywaru obezwładniają. Po dwóch łyżeczkach Sumner zamyka usta, a płyn ścieka mu po brodzie i skapuje na pierś.

– Na zdrowy rozum powinniście być martwi – mówi mu Black. – Spędziliście w tej



wodzie trzy godziny. Ja pierdolę, żaden normalny człowiek nie przeżyłby takiej kąpieli.

Czubek nosa Sumnera i fragmenty obu policzków tuż pod oczami są czarne od odmrożeń. Medyk nie pamięta lodu, zimna ani upiornej zielonej wody, nie pamięta, co go spotkało, ale zostało w nim wspomnienie ostatniego spojrzenia w górę i nieba upstrzonego mrowiem płatków śniegu.

– Laudanum – szepcze.

Z nadzieją przenosi wzrok na Blacka.

– Mówiliście coś? – pyta Black, naginając ucho.

– Laudanum – powtarza Sumner. – Na ból.

Skinąwszy głową, Black udaje się do apteczki. Miesza laudanum z rumem i pomaga Sumnerowi je wypić. Ten czuje ogień w gardle i przez chwilę myśli, że zwymiotuje płyn, ale udaje mu się powstrzymać. Wysilek, jakim okazało się mówienie, wyczerpał go, nie wie też, gdzie jest ani kim jest, skoro z całą pewnością nie znajduje się w Indiach. Dostaje gwałtownych drgawek i zaczyna szlochać. Black z powrotem opuszcza go na koję i okrywa szorstkim wełnianym kocem.

Tego wieczoru w mesie oficerskiej podczas wieczerzy Black raportuje, że stan lekarza okrętowego się poprawia.

– I bardzo dobrze – komentuje Brownlee – ale od tej pory koniec z szóstą łodzią. Nie chcę mieć na sumieniu śmierci jeszcze jednego sukinsyna.

– To był zwykły pech i tyle – stwierdza Cavendish oschle. – Facet podczas zawiei śnieżnej pośliznął się na lodzie. Każdemu z nas mogło się zdarzyć.

– Jakby mnie kto pytał, nie wyszedł na tym źle – wtrąca Drax. – Normalnie by się chuj utopił albo by go zmiażdżyło. Dziesięć minut w takiej wodzie i krew w człowieku robi się kleista, serce mu wysiada. Ale łapiduch jakimś cudem wciąż żyje. Jest, kurwa, błogosławiony.

– Błogosławiony? – upewnia się Black.

Brownlee unosi rękę.

– Błogosławiony czy nie – powiada – szóstej łodzi nie będzie. I podczas gdy my, marynarze, będziemy się zajmowali rybołówstwem, pan doktor będzie sobie bezpiecznie czytał w kabinie Homera, tarosił kapucyna czy co tam, kurwa, zwykły robić.

Cavendish przewraca oczami.

– Niektórym skurczybykom to dobrze – ocenia.

Brownlee łypie na niego groźnie.

– Lekarz ma na tym statku swoją robotę, a wy, Cavendish, swoją. I, kurwa, koniec tematu.

O północy, podczas zmiany wachty Drax i Cavendish spotykają się ponownie. Cavendish odciąga harpunnika na bok i przed rozpoczęciem rozmowy wodzi dookoła wzrokiem.

– Wiesz, jeszcze może wyzionąć ducha – zaczyna. – Widziałeś, jak wygląda?

– Dla mnie wygląda na trudną do wykończenia pizdę.

– Nie powiem, impregnowany jest skurwysyn jak skóra.

– Powinieneś poczęstować go kulką, kiedy miałaś okazję.

Cavendish kręci głową i odczekuje, aż minie ich jeden z Szetlandczyków.

– Za nic by to nie przeszło – odpowiada. – Brownlee se go, kurwa, upodobał. Black zresztą też.

Drax zapala fajkę, odwracając wzrok. Niebo nad nimi ożywiają rozkołysane gwiazdy, warstwa niebieskoczarnego lodu przylega do takielunku i powleka pokład.

– Jak sądzisz, ile w ogóle wart jest ten pierścień? – pyta Cavendish. – Bo po mojemu ze dwadzieścia gwinei, może nawet dwadzieścia pięć.

Drax kręci głową i pociąga nosem, jakby pytanie uwłaczało jego godności.  
– Nie jest twój – wytyka.  
– Nie jest też Sumnera. Jak dla mnie należy do piździelca, któremu ongiś go zabrano.  
Drax znów się ku niemu obraca.  
– Tak to mniej więcej wygląda – podsumowuje.

W pociemniałej kajucie, opatulony grubą stertą koców i niedźwiedzich skór, słaby jak noworodek Sumner gorączkuje, zasypia, budzi się i ponownie zasypia. Gdy statek poprzez mgły i siąpawicę żegluje wzburzonym morzem na północny zachód, a ludzie pobijakami i marspiłkami odbijają z kadłuba i okrężnic dwustopową powłokę lodu, odurzony opium umysł Sumnera zrywa się z kotwicy i dryfuje w przeszłość, ucieka na boki w płynne oniryczne krainy, przerażające i gęste od nieopisanego życia niczym zielone wody Arktyki, które napierają i łamią się w odległości marnych dwunastu cali drewna od jego głowy. W dowolnej chwili mógłby znaleźć się gdziekolwiek, lecz jego myśli, niczym żelazo sunące ku magnesowi, powracają w jedno jedyne miejsce.

Duży żółty budynek za kortem do gry w rackets, niesłychany hałas, rzeźniczy odór mięsa i ekskrementów, sceny rodem z piekła. Co godzinę przybywa trzydzieści albo i więcej tragów, a na nich po trzech lub czterech rannych oraz martwych. Rozharatane i poszarpane wybuchami zwłoki młodych mężczyzn ciskane do cuchnącej rozkładem przybudówki. Machający ranni i krzyki konających. Amputowane kończyny grzechoczące w metalowych korytach. Ustawiczny, niczym w warsztacie bądź tartaku, odgłos stali wgryzającej się w kość. Mokra i lepka od utoczonej krwi podłoga, nieustający upał, łoskot ognia artyleryjskiego oraz powodowane nim wstrząsy, a także chmury czarnych much siadające wszędzie, na wszystkim, bez ustanku i dyskryminacji – wlatujące w oczy, uszy, rozchylone usta i otwarte rany. Gdziekolwiek spojrzeć, niewiarygodny brud, wszędzie wycia i błagania, krew i gówno, i niekończący się, niekończący ból.

Sumner pracuje przez cały ranek: bada, piłuje, zszywa, aż od chloroformu kręci mu się w głowie, a od wszechobecnej rzezi zbiera na wymioty. To przekracza jego wszelkie dotychczasowe doświadczenia i wyobrażenia. Mężczyzn, których kilka godzin temu widział na wzgórzu przechwalających się i roześmianych, przynoszą mu w kawałkach. Mówi sobie, że musi wypełniać swój obowiązek, sumiennie wykonywać swoją pracę. Tylko to jest w tej chwili możliwe, żaden człowiek nie dokonałby więcej. Pozostali felczerzy – Wilkie i O’Dowd – przemokli od potu i po łokcie ubabrali się krwią. Ledwie dobiegnie końca jedna operacja, zaczyna się kolejna. Price, sanitariusz, sprawdza każde pojawiające się nosze, odrzuca tych, którzy zdążyli umrzeć, a ciężko rannym znajduje miejsce w kolejce. Corbyn, lekarz sztabowy, decyduje, które kończyny należy amputować niezwłocznie, a które może da się uratować. Służył w Coldstream Guards w bitwie pod Inkermanem. Strzelba w jednej ręce, skalpel w drugiej, dwa tysiące zabitych w ciągu dziesięciu godzin. Na wąsach ma cętki krwi. Żeby przepędzić smród, żuje marantę. Zapewnia pozostałych, że to jeszcze nic – małe, kurwa, piwo. Kroją, piłują i zgłębnikują w poszukiwaniu muszkietowych kul. Pocą się, klną i o mało nie rzygają z gorąca. Ranni nieustannie wołają o wodę, ale nawet przez chwilę nie ma jej tyle, by zaspokoić ich pragnienie. A pragnienie to jest obsceniczne, ich potrzeby są nie do wytrzymania, lecz Sumner, chcąc nie chcąc, musi je zdzierżyć, musi robić to, co robi, dopóty, dopóki da radę. Nie ma czasu na złość, obrzydzenie czy strach, nie ma czasu ani energii na nic poza samą pracą.

Późnym popołudniem, o trzeciej czy czwartej, batalia traci na sile i napływ ofiar najpierw się zmniejsza, a potem całkiem ustaje. Plotka głosi, że oddziały brytyjskie natknęły się na

ogromny skład trunków przy Bramie Lahore i gremialnie spiły się w trupa. Niezależnie od powodu natarcie wstrzymano – przynajmniej na razie – i po raz pierwszy od wielu godzin Corbyn wraz ze swoimi asystentami ma możliwość oderwania się od harówki. Przynoszą im kosze z jedzeniem i gąsior z wodą, a część rannych zostaje przeniesiona do odpowiednich szpitali pułkowych na wzgórzu. Sumner po zmyciu z siebie krwi i zjedzeniu talerza zimnego mięsa z chlebem układa się na *charpai* i zasypia. Budzi go zażarta kłótnia. W drzwiach szpitala polowego pojawił się mężczyzna w turbanie. Na rękach trzyma ranne dziecko i prosi o pomoc, ale O’Dowd i Wilkie głośno mu odmawiają.

– Zabierzcie go stąd – mówi Wilkie – zanim osobiście wpakuję w niego kulkę.

O’Dowd wyciąga z kąta szablę i demonstracyjnie wyjmując ją z pochwy. Przybyły ani drgnie. Nadchodzi Corbyn i każe O’Dowdowi się uspokoić. Bada dziecko pobieżnie i kręci głową.

– Rana jest zbyt poważna – oznajmia. – Zgruchotana kość. Mały długo nie pożyje.

– Możecie obciąć mu nogę – nalega mężczyzna.

– Chcecie mieć jednonogiego syna? – pyta Wilkie.

Mężczyzna nie odpowiada. Corbyn ponownie kręci głową.

– Nie możemy wam pomóc – informuje. – Ten szpital przeznaczony jest dla żołnierzy.

– Brytyjskich żołnierzy – zaznacza Wilkie.

Mężczyzna się nie rusza. Ze strzaskanej nogi dziecka na świeżo umytą podłogę skapuje krew. Wokół ich głów wciąż bzyczą chmary much i co jakiś czas któryś z rannych żołnierzy jęczy albo woła pomocy.

– Nie pracujecie – powiada mężczyzna, rozejrzawszy się. – Macie teraz czas.

– Nie możemy wam pomóc – powtarza Corbyn. – Lepiej odejdźcie.

– Nie jestem sipajem – zapewnia mężczyzna. – Mam na imię Hamid. Jestem służącym u lichwiarza Faruka.

– Co wy jeszcze robicie w mieście? Czemuście nie uciekli ze wszystkimi, zanim zaczął się atak?

– Muszę pilnować domu i dobytku mojego pana.

O’Dowd potrząsa głową i wybucha śmiechem.

– To bezczelny łgarz – mówi. – Każdy, kto pozostał w mieście, z definicji jest zdrajcą i zasługuje na stryczek.

– A co z dzieckiem? – pyta Sumner.

Pozostali odwracają się i spoglądają na niego.

– Dziecko jest ofiarą wojny – odpowiada Corbyn. – A nam z pewnością nikt nie rozkazał ratować potomstwa wroga.

– Nie jestem waszym wrogiem – protestuje mężczyzna.

– To wy tak twierdzicie.

Mężczyzna z nadzieją obraca się ku Sumnerowi. On zaś ponownie siada i zapala fajkę. Krew dziecka miarowo skapuje na podłogę.

– Zaprowadzę was do skarbu – mówi mężczyzna. – Jeśli mi pomożecie, zaprowadzę was do skarbu.

– Jakiego skarbu? – pyta Wilkie. – Ile jest wart?

– Dwa lakhy – pada odpowiedź. – Złoto i drogie kamienie. Sami zobaczcie.

Delikatnie układa dziecko na drewnianym stole i wyjmując z tuniki mały woreczek z koźlęcej skóry. Oferuje go Corbynowi, który zagląda do środka i wysypuje sobie monety na dłoń. Przez chwilę im się przypatruje, przesuwając palcem wskazującym, a następnie podaje Wilkiemu.

– Dużo więcej tam takich – mówi mężczyzna. – Dużo więcej.

– Gdzie ten skarb? – dopytuje Corbyn. – Jak daleko?

– Niedaleko. Bliziućko. Mogę was od razu zaprowadzić.

Wilkie przekazuje monety O'Dowdowi, a ten z kolei wręcza je Sumnerowi. W dotyku są ciepłe i odrobinę tłustawe. Ranty są niemoletowane, a powierzchnie zdobią estetyczne wstęgi arabskiego pisma.

– Chyba mu nie wierzycie? – pyta Wilkie.

– O ile więcej? – docieka Corbyn. – Jest ich sto? Dwieście?

– Jak mówiłem, dwa tysiące – przypomina mężczyzna. – Mój pan to znany lichwiarz.

Zanim uciekł, własnoręcznie je zakopałem.

Corbyn podchodzi do chłopca i odwiją przesiąkniętą krwią chustę. Ogląda nogę, wacha ziejącą ranę.

– Możemy oddzielić nogę od biodra – stwierdza – ale mały i tak pewnie zemrze.

– Zrobicie to teraz?

– Teraz nie. Dopiero jak wrócicie tu z tym całym skarbem.

Mężczyzna nie wygląda na uszczęśliwionego. Kiwa głową, pochyla się i coś chłopcu szepcze.

– Wy trzej pójdzicie z nim – rozkazuje Corbyn. – Weźcie też Price'a. Zabierzcie broń, a jeśli coś wam zacznie śmierzcieć, zastrzelcie tego drania i natychmiast wracajcie. Ja zostanę z chłopcem.

Przez chwilę nikt się nie rusza. Corbyn bacznie im się przygląda.

– Cztery równe działki i każdy zrzuca się na dziesięć dla Price'a – mówi. – A jeśli martwi was, że oficjalnie nie rozliczycie się z łupów: czego oko nie zobaczy, tego sercu nie żal.

Opuszczają szpital polowy i wchodzą do miasta obyczajnie: przez dymiące ruiny Bramy Kaszmirskiej. Pną się na pagórki zwalonych murów, mijają sterty tłących się zwłok, obwąchiwanych i ogryzanych przez bezpańskie psy. Słyszą nad sobą lament sępów i łopot ich wystrzępionych skrzydeł, pociski moździerzowe świszczą i dudnią. Cuchnie kordytem i pieczonym mięsem, w oddali słyhać muszkietową palbę. Obierają drogę przez wąskie, zrujnowane wybuchami uliczki zawałone połamanymi meblami, wypatroszonymi zwierzętami i porzuconą bronią. Sumner wyobraża sobie, że za każdą barykadą i za każdym otworem w murze czai się gotowy do oddania strzału sipaj. Uważa, że za bardzo ryzykują, a skarb na pewno jest tylko wymysłem, ale głupotą byłoby odmówić komuś takiemu jak Corbyn. Armia brytyjska opiera się na wpływach, więc jeśli ktoś zamierza w niej awansować, musi dbać o odpowiednie znajomości. Corbyn ma przyjaciół w wojskowej komisji lekarskiej, a jego szwagier jest inspektorem szpitali. Nie ulega wątpliwości, że lekarz sztabowy to pyszałkowaty tępak, ale dzielenie z nim sekretu, jakim jest stos nielegalnego łupu, z pewnością by Sumnerowi nie zaszkodziło. Może nawet, myśli, uciekłby dzięki temu z Pieszej Sześćdziesiątej Pierwszej do jakiegoś bardziej uważanego regimentu. Ale oczywiście najpierw musi się okazać, że łup istnieje.

Skręcają za róg, za którym natrafiają na stanowisko ogniowe i stadko pijanych piechurów. Jeden gra na akordeonie, inny ze spuszczoneymi spodniami wypróżnia się do drewnianego kubła, a wokół walają się porozrzucone butelki po brandy.

– Kto idzie?! – woła któryś z nich.

– Medycy – odpowiada Wilkie. – Czy ktoś tu potrzebuje pomocy lekarskiej?

Żołnierze spoglądają po sobie i parszczą śmiechem.

– Cotteslowa, o, tego tam, wartałoby, kurwa, przebadać na głowę – mówi jeden.

– Gdzie wasi oficerowie?

Ich rozmówca podnosi się i mrużąc oczy, chwiejnie ku nim zmierza. Przystaje w odległości stopy czy dwóch, spluwa. Mundur ma obszarpany, brudny od krwi i dymu prochowego. Jedzie od niego wymiotami, szczynami i piwem.

– Nie żyją – informuje. – Wszyscy, co do jednego.

Wilkie wolno kiwa głową i kieruje wzrok za stanowisko ogniowe, w głąb ulicy.

– A gdzie wróg? – pyta. – Blisko, daleko?

– Ależ blisko, blisko – odpowiada żołnierz. – Wystawcież tam nos, może pośle wam całuska.

Pozostali znowu się śmieją. Wilkie nie zwraca na nich uwagi. Naradza się z resztą grupy.

– Toż to hańba jak chuj – podsumowuje. – Powinni zawisnąć za zaniedbanie obowiązków.

– Dalej się nie przedrzemy – stwierdza O’Dowd. – Tu zatrzymało się natarcie.

– Jesteśmy już bardzo blisko – nakłania Hamid. – Jeszcze góra dwie minutki.

– Zbyt niebezpiecznie – odpowiada O’Dowd.

Wilkie pociera podbródek i spluwa.

– Poślemy Price’a – decyduje. – Ruszy naprzód i wróci z meldunkiem. Jeśli uzna, że jest bezpiecznie, pójdziemy i my.

Wszyscy odwracają się ku Price’owi.

– Chybaście ochujali. Nie za dziesiątą część.

– A jak podwoimy? – proponuje Wilkie. Spogląda na pozostałych dwóch, a pozostali dwaj zgadzają się skinieniem głowy.

Price, który wcześniej przykucnął, podnosi się niespiesznie, zarzuca na ramię karabin i podchodzi do Ha-mida.

– Prowadź – rozkazuje.

Reszta siada tam, gdzie stała. Pijani żołnierze zachowują się, jakby nie było tu nikogo poza nimi. Sumner zapala fajkę.

– Chciwy z niego gnojek – odzywa się O’Dowd. – Z tego Price’a.

– Jak go ubiją, będziemy musieli wymyślić jakąś bajeczkę – uświadamia im Wilkie. – Corbyn nie będzie zado-wolony.

– Corbyn – powtarza za nim O’Dowd. – Zawsze, kurwa, ten Corbyn.

– A tamten to jego brat czy szwagier? – pyta Sumner. – Jakoś nie mogę zapamiętać.

O’Dowd wzrusza ramionami i kręci głową.

– Szwagier – odpowiada Wilkie. – Sir Barnabas Gordon. Bywałem na jego wykładach z chemii w Edynburgu.

– Corbyn gównu dla ciebie zrobi – oznajmia O’Dowd Sumnerowi. – Nawet na niego nie licz. Służył w Coastman Guards, a za żonę ma baronessę.

– Po tym będzie się czuł zobligowany – argumentuje Sumner.

– Ktoś taki jak Corbyn ma gdzieś zobowiązania. Dostaniemy naszą część łupu, jeśli w ogóle jest jakiś łup, ale uwierz mi, na tym się skończy.

Sumner zastanawia się przez chwilę.

– Już go sprawdził?

Wilkie reaguje uśmiechem, ale O’Dowd nie odpowiada.

Dziesięć minut później Price wraca i melduje, że odszukali dom i że droga wydaje się w miarę bezpieczna.

– Widziałeś skarb? – pyta go O’Dowd.

– Tamten mówi, że skarb został zakopany na podwórku w samym środku posiadłości.

Pokazał mi gdzie, a ja mu kazałem odkopywać.

Idą za Price'em płataniną wąskich pasaży, następnie wychodzą na szerszą ulicę; sklepy na niej zostały splądrowane, a domy z zatrzaśniętymi okiennicami spowijają cisza. W pobliżu nie ma żywej duszy, lecz Sumner jest pewien, że w tych budynkach muszą się znajdować jacyś ludzie – porażone strachem rodziny kulące się w ciepłym mroku, dżihadyści i *ghazi*, liżący rany i szycący się bez słów. Gdzieś blisko słychać odgłosy libacji, a o wiele dalej rozbrzmiewa ogień artyleryjski. Słońce chyli się ku zachodowi, ale upał pozostaje taki sam – bezlitosny. Przekraczają ulicę, lawirując między dymiącymi zwałami kości, łachmanów i strzaskanych mebli, aż wreszcie po kolejnych stu jardach Price zatrzymuje się przed otwartymi wierzejami i kiwa głową.

Niewielki podwórzec jest kwadratowy. Okopcone, pokryte brudem bielone ściany świecą łatami cegieł błotnych w miejscach, z których odpadł tynk. W każdą ścianę wpuszczono po dwa przejścia łukowe, nad nimi zaś biegnie ponadłamywana drewniana galeria. Hamid kuca na samym środku. Usunął jedną z kamiennych płyt i wygrzebuje sybką ziemię.

– Pomóżcie mi, proszę – mówi. – Musimy się spieszyć.

Price klęka obok niego i zaczyna kopać rękami.

– Widzę skrzynię – informuje po chwili. – Patrzcie, tutaj.

Pozostali zbierają się wokół. Price i Hamid wyciągają skrzynię z ziemi, a O'Dowd roztrzaskuje zamek kolbą strzelby. W środku znajduje się pięć szarych płóciennych worków.

Wilkie podnosi jeden z nich, zagląda do środka i zaczyna się śmiać.

– Jezu Przenajświętszy! – mówi.

– To naprawdę skarb? – pyta Price.

Wilkie pokazuje zawartość worka O'Dowdowi. O'Dowd najpierw się uśmiecha, a potem śmieje się w głos i wali Wilkiego w plecy.

Price wyciąga ze skrzyni pozostałe trzy worki. Gdy je otwiera, dwa okazują się wypełnione monetami, a trzeci – kolekcją bransoletek, pierścieni i kamieni szlachetnych.

– Niech mnie chuj... – szepcze Price pod nosem.

– Pokażcie no te śliczności – domaga się Wilkie.

Price podaje mu najmniejszy worek, a Wilkie wysypuje jego zawartość na pokryte pyłem kamienne płyty. Trzej felczerzy, niczym grająca w kulki grupka uczniów, gromadzą się na kolanach wokół połyskującego stosu.

– Kamienie wyłamiemy, a złoto przetopimy – mówi O'Dowd. – Im prościej, tym lepiej.

– Musimy już wracać – nagli ich Hamid. – Mój syn tam czeka.

Wciąż zaabsorbowani skarbem nawet go nie słyszą. Sumner się wychyla i podnosi jeden z pierścieni.

– Co to za kamienie? – pyta. – Diamenty? – Zwraca się do Hamida: – Czy to diamenty? – Pokazuje mu pierścień. – Są prawdziwe?

Hamid nie odpowiada.

– Myśli o swoim chłopcu – mówi O'Dowd.

– Chłopiec nie żyje – ucina Wilkie, nie podnosząc głowy. – Przyniósł nam go, kurwa, martwego.

Sumner przygląda się wciąż milczącemu Hamidowi. Hindus oczy ma wytrzeszczone ze strachu.

– O co chodzi? – pyta Sumner.

Hamid kręci głową, jak gdyby odpowiedź była zanadto skomplikowana, jakby czas na wyjaśnienia już minął, a oni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przeszli do mroczniejszego i bardziej brzemiennego w skutki etapu.

– Idźmy już – odzywa się. – Proszę.

Łapie Price'a za rękaw i usiłuje pociągnąć go w kierunku ulicy. Price wyrywa rękę i unosi pięść.

– Uważaj no! – ostrzega.

Hamid się cofa i wznosi ręce nad głowę, dłonie kierując w przód – gest niemej odmowy, lecz również, uświadamia sobie Sumner, poddania. Ale poddania się komu?

Z galerii nad nimi dochodzi trzask muszkietowego wystrzału. Tył głowy Price'a eksploduje różowym mgnieniem kości i krwi. Wilkie okręca się na pięcie, unosi strzelbę i strzela na oślep, ale w nic nie trafia, a zaraz potem sam dwukrotnie obrywa – pierwsza kula przeszywa mu szyję, druga wbija się wysoko w pierś. Zostali wciągnięci w zasadzkę; roi się tu od sipajów. O'Dowd chwytą Sumnera za ramię i ciągnie go tyłem ku bezpiecznej ciemności domostwa. Wilkie wije się na kamiennych płytach podwórca, z jego przestrelonego gardła karmazynowym tętnem tryska krew. Sumner kopie czubkiem buta drzwi wychodzące na ulicę. Otwierają się, ale w odpowiedzi w zewnętrzną część framugi z głuchym odgłosem wbija się kula. Jeden z napastników przesadza rozchybotaną barierkę galerii i szarżuje na nich z wrzaskiem. O'Dowd do niego strzela, ale chybia. Szabla sipaja wchodzi w brzuch O'Dowda i wynurza się, poczerwieniała i ociekająca, pośrodku pleców. O'Dowd kaszle krwią, zachłystuje się i sprawia wrażenie bezbrzeżnie zdziwionego tym, co mu uczyniono. Sipaj wypycha szablę jeszcze głębiej, a z jego twarzy biją gorliwość i zapamiętanie. Czarne jak smoła oczy ma obląkańczo wybałuszone, brązową skórę – śliską od potu. Sumner stoi dwie stopy od niego, nie więcej niż dwie. Przykłada strzelbę do ramienia i pociąga za spust. Twarz napastnika znika w mgnieniu oka. Zastępuje ją płytka niczym dno misy wklęsłość wypełniona mięsem i chrząstką, kawałkami strzaskanych zębów i języka. Sumner upuszcza karabin i kopniakiem rozwiera drzwi na oścież. Gdy wyskakuje na ulicę, kula kąsa go w łydkę, a druga roztrzaskuje się na ścianie kilka cali od jego głowy. Medyk chwieje się, jęczy, zatacza w tył, ale jakoś się prostuje i, spiesznie utykając, nadal szuka kryjówki. Nad jego głową świszcze kolejny pocisk. Czuje ciepły chlupot, gdy lewy but wypełnia się krwią. Za sobą słyszy krzyk. Ulica zaśmiecona jest gruzem, skorupami, jutą, kośćmi i pyłem. Sklepy i stoiska po obu stronach świecą pustymi półkami, obwisłe *shamiana* są podziurawione i butwieją. Porzuca drogę i nurkuje w bok, w oblędny labirynt zaułków i alejek.

Wysokie stiukowe ściany są spękane i upaprane tłustymi smugami. Czuć zapach nieczystości, słyhać buzowanie plujek. Sumner kuśtyka, szaleńczo i w żadnym konkretnym kierunku, aż wreszcie ból zmusza go do postoju. Kuca w otworze drzwiowym i z trudem zzuwa but. Rana jest w miarę czysta, ale kość piszczelowa została złamana. Sumner odrywa od poły koszuli pasek flaneli i tamuje krwawienie, jak najmocniej owijając ranę. Gdy to robi, przenika go gorąca fala mdłości i osłabienia. Zamyka oczy, a gdy otwiera je ponownie, widzi czarny wir gołębi, kołujących i gromadzących się na ciemniejącym niebie niczym unoszone przez wiatr zarodniki. Księżyc już wzeszedł, ze wszystkich stron dobiega stały, monotony huk dział artyleryjskich. Sumner myśli o Wilkiem, o O'Dowdzie i zaczyna się trząść. Robi głęboki wdech i nakazuje sobie wziąć się, kurwa, w garść, bo inaczej umrze tak jak oni. Miasto z pewnością jutro upadnie, powiada sobie w duchu. Wojska brytyjskie, jak już przetrzeźwieją, będą parły do przodu. Jeśli gdzieś się zaszyje i utrzyma przy życiu, znajdą go i zabiorą do domu.

Podnosi się na nogi i rozgląda za odpowiednią kryjówką. Drzwi naprzeciwko są półrozwarłe. Gdy do nich kuśtyka, kapie z niego krew. Za drzwiami znajduje się pomieszczenie z zakurzoną matą podłogową i uszkodzoną otomaną podsuniętą pod ścianę. W rogu stoi nieszkliwiony dzban na wodę – pusty – a na podłodze, pośród rozrzuconych szklanek, imbryk na herbatę. Jedyne wysokie okno wychodzi na zaułek i wpada przez nie niewiele światła. Ukryte za zasłoną łukowate przejście w najdalszej ścianie wiedzie do kolejnego pokoju, mniejszego, ze

światlikiem i piecem kuchennym. Jest tu również drewniany kredens, ale pusty. Pomieszczenie pachnie zjełczałym *ghi* oraz popiołem i dymem z palonego drewna. W jednym z kątów, zwinięty na brudnym kocu, leży mały chłopczyk.

Sumner przygląda mu się przez chwilę, usiłując ocenić, czy mały jest żywy, czy martwy. W pokoju panuje zbyt duży mrok, by stwierdzić, czy oddycha. Sumner pochyla się z trudnością i dotyka chłpięcego policzka. Pozostawia na nim słaby czerwony odcisk palca. Chłopiec się wierci, przesuwa dłonią po twarzy, jakby odganiał muchę, a następnie się budzi. Gdy dostrzega stojącego obok Sumnera, wystraszony krzyczy z trwogi.

– Ćśśś... – ucisza go Sumner.

Chłopiec przestaje krzyczeć, ale wciąż wygląda na wystraszzonego i podejrzliwego. Nie odrywając od niego oczu, Sumner wolno daje krok do tyłu i stopniowo opuszcza się na polepę.

– Potrzebuję wody – przemawia. – Zobacz. Jestem ranny. – Wskazuje nogę, z której uchodzi krew. – O, tutaj.

Sięga do kieszeni munduru po monetę i odkrywa, że wciąż ma przy sobie pierścień. Nie pamięta, żeby chował go do kieszeni, ale jakoś się w niej znalazł. Pokazuje kosztowność chłopcu i zachęca gestem, żeby mały ją sobie wziął.

– Potrzebuję wody – mówi jeszcze raz. – *Pani*.

Chłopiec przygląda się pierścieniowi, ale nie wykonuje żadnego ruchu. Ma około dziesięciu, jedenastu lat, szczupłą buzię, gołe stopy i nagą pierś. Ubrany jest w brudne *dhoti* i płócienną kamizelkę.

– *Pani* – powtarza jak echo.

– Właśnie – kiwa głową Sumner. – *Pani*, ale nikomu nie mów, że tu jestem. Jutro nadciągną brytyjscy żołnierze, a wtedy ci pomogę. Ze mną będziesz bezpieczny.

Po chwili ciszy chłopak odpowiada mu w hindustani: długi ciąg pustych, nieharmonijnych sylab, przypominający beczenie kozy. Sumner się zastanawia, dlaczego dziecko śpi w takim miejscu, w pustym pokoju w mieście, które stało się polem bitwy. Czyżby cała jego rodzina zginęła? Nie został nikt, kto mógłby je chronić? Wspomina, jak przed dwudziestu laty leżał w ciemnej opuszczonej chacie, gdy jego rodziców zabrano do Castlebar, do szpitala dla chorych na tyfus. Matka poprzysięgła mu, że wkrótce wrócą, mocno ścisnęła obie jego dłonie i solennie to przysięgła, ale nie wrócili. Tylko William Harper, doktor, jakoś przypomniał sobie o brakującym dziecku. Pojawił się następnego dnia i znalazł je wciąż leżące w tym samym miejscu, w którym je zostawili. Harper ubrany był w zielony tweedowy garnitur, a buty ze świnińskiej skóry miał zabłocone i mokre od jazdy. Podniósł chłopca z powalanego siennika i wyniósł go na zewnątrz. Sumner pamięta – nawet dziś – zapach wełny i skóry, wilgotne ciepło miarowego oddechu lekarza i jego ciche, spokojne przekleństwa niczym nowy rodzaj modlitwy.

– Gdy nadciągną brytyjscy żołnierze, będziesz ze mną bezpieczny – zaznacza Sumner ponownie. – Ochronię cię. Rozumiesz?

Chłopiec patrzy na niego jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową i wychodzi z pokoju. Sumner chowa pierścień do kieszeni, zamyka oczy, opiera głowę o ścianę i czeka. Ciało wokół rany ma rozpalone i fatalnie opuchłe. Noga pulsuje bólem, a pragnienie staje się nie do zniesienia. Sumner zastanawia się, czy chłopiec go zdradzi, czy następną osobą, którą ujrzy, będzie jego morderca. Nietrudno byłoby go zabić w tym stanie – nie ma broni, którą mógłby walczyć, a nawet gdyby miał, nie zostało mu wiele sił na potykanie się.

Chłopiec wraca z dzbanem wody. Sumner wypija połowę, a resztę zużywa na przepłukanie rany. Kość piszczelowa odstaje w tył pod kątem, tuż nad kostką. Poniżej bezużytecznie zwisa stopa. W porównaniu z okropnościami szpitala polowego jego przestrzelina jest niegroźnym przypadkiem, ale widok i tak napęnia go strachem. Wlecz się w stronę pieca,



a tam z leżącego obok stosu wybiera dwa długie kawałki drewna opałowego. Wyjmuje składany nóż z kieszeni bluzy mundurowej i otwiera ostrze, którym zaczyna ciosać i wygładzać drewno. Chłopiec obserwuje go beznamiętnie. Sumner umieszcza szczapy po obu stronach nogi, a potem gestem wskazuje koc, na którym spał chłopak. Gdy mały mu go przynosi, Sumner drze materiał na pasy. Chłopiec nie rusza się ani nie odzywa. Sumner się schyla i zaczyna obwiązywać łubki kawałkami brudnego koca. W miarę ściśle, mówi sobie, byle nie za ściśle.

Wkrótce jest mokry od potu i ciężko dyszy. Czuje kwaśny posmak podchodzących do gardła wymiocin. Pot szczypie go w oczy, palce mu drżą. Wpycha pod nogę drugi pas materiału z koca, a potem ściąga jego końce na górze. Usiłuje związać je w supeł, ale za bardzo doskwiera mu ból. Poddaje się, przerywa na chwilę, próbuje ponownie i ponownie ponosi porażkę. Otwiera usta w bezgłośnym krzyku, stęka i wali się plecami na podłogę. Zamyka oczy, czekając, aż wróci mu oddech. Serce się w nim tłucze, jakby ktoś gdzieś w oddali raz za razem trząskał ciężkimi drzwiami. Przeszywający ból wreszcie przygasa do budzącego mdłości rwania. Sumner się przekręca i odnajduje chłopca wzrokiem.

– Musisz mi pomóc – mówi.

Chłopiec nie odpowiada. Po jego ustach i brwiach łążą małe czarne muchy, ale on nawet nie stara się ich odgonić. Sumner pokazuje na swoją nogę.

– Przewiąż ją dla mnie – instruuje. – Mocno, ale bez przesady.

Chłopiec wstaje, patrzy na ranę i mówi coś w hindustani.

– Mocno, ale bez przesady – powtarza Sumner.

Chłopiec klęka, ujmuje brzegi bandaża i zaczyna je supłać. Końce kości o siebie zgrzytają. Sumner wrzeszczy. Mały Hindus przerywa, ale że medyk zniecierpliwionym gestem każe mu kontynuować, kończy wiązanie supła, a potem robi jeszcze jeden i kolejny. Gdy łubki są gotowe, chłopiec wychodzi do studni za domem, napełnia dzban i przynosi go z powrotem. Sumner wypija wodę, następnie zasypia. Obudziwszy się, widzi, że chłopiec leży tuż obok. Pachnie mokrymi trocinami i nie większy jest od psa, a oddycha wolno i płytko. W niemal pozbawionym światła pomieszczeniu jego wyciągnięte ciało wydaje się niczym więcej niż zgęstnieniem ogólnej ciemności. Nie poruszając uszkodzoną nogą, Sumner wyciąga rękę i jak najdelikatniej dotyka chłopca. Nie jest pewien, na którą część jego ciała natrafił. Na łopatkę chyba. A może na udo? Chłopiec nie wierci się ani nie budzi.

– Dobry z ciebie mały kumpel – szepcze mu Sumner. – Dobry mały kumpel, właśnie tak.

O pierwszym brzasku ogień zaporowy zaczyna się na nowo. Z początku wybuchy są odległe, ale potem, gdy działowi znajdują zasięg, a oddziały brytyjskie ulica po ulicy stopniowo postępują w głąb miasta, stają się głośniejsze i bliższe. Pokój się trzęsie, sufit rysuje świeże pęknięcia. Słyszą wściekły ryk przelatujących górą kul armatnich, a po nim głuchy basowy łoskot walących się ścian.

– Siedzimy cicho – mówi Sumner chłopcu – cicho jak myszy pod miotłą i czekamy.

Chłopiec potakuje ruchem głowy i się drapie. Znalazł kawałek kory do przeżuwania, a także coś, co wygląda na liście dyni. Sumner zapala fajkę i modli się w duchu, żeby piechurzy przybyli, zanim w dom trafi pocisk artyleryjski albo wpadnie do niego grupa wycofujących się pandych. Po niedługim czasie słyszą grzechot muszkietowych wystrzałów, a potem głosy. Ktoś na zewnątrz klnie i wyrzaskuje rozkazy. Nad głowami słyszą kroki i trzaskanie drzwiami. Sumnera ogarnia nagle, przerażające doznanie wtargnięcia i obnażenia. Najchętniej skuliłby się i ukrył. Chłopiec spogląda na niego wyczekująco. Sumner chwyta się pieca i podciąga do pozycji stojącej. Ból nogi przyprawia go o mdłości, ale jest do zniesienia. Wspiera się na chłopcu i we dwóch brną do wyjścia. Rozlega się huk armatniego wystrzału, po którym następują krzyki. Chłopiec przyciska się do boku Sumnera. Lekarz uchyla drzwi i wygląda na zewnątrz. Widzi

wspartego o ścianę martwego pandy'ego, a w prześwicie u krańca alejki miga mu brytyjski mundur. Powietrze jest rzeźwe od dymu prochowego, pełne żółtego pyłu. Rozbrzmiewa paniczną wrzawą i zajadłością bitwy.

– Szybko! – mówi Sumner do chłopca. – Zanim zostawią nas za sobą.

Kuśtykają alejką w kierunku krzyków i strzałów, ale odgłosy już zaczynają cichnąć. Bitwa się przesuwa. Gdy docierają do arterii, widzą jedynie roztrzaskane mury oraz porozrzucane skrwawione trupy. Z otworu wejściowego wylania się angielski żołnierz z pistoletem w jednej i workiem łupów w drugiej ręce. Sumner woła do niego o pomoc. Wojskowy gwałtownie się odwraca i kieruje na nich wzrok. Oczy ma szalone, a jego ongiś czerwony mundur zbrukały pot i brud. Na widok dziecka na sekundę sztywnieje, po czym unosi broń i strzela. Pocisk trafia chłopca w pierś i odrzuca go w tył. Sumner opada na ziemię, przyciska dłonie do tętniącej rany. Strzaskawszy mostek, pistoletowa kula przeszła prosto przez serce. Na szarych ustach chłopca pęcznią i pękają bańki krwi, jego ciemne oczy wywracają się w głąb czaszki i po minucie jest martwy.

Żołnierz spluwa, krzywi się i zaczyna przeladowywać pistolet. Uśmiecha się, spoglądając na Sumnera.

– Mam kurewsko dobre oko do strzelania – oznajmia. – Zawsze miałem.

– Jesteś jebanym imbecylem – odpowiada Sumner.

Żołnierz śmieje się i kręci głową.

– Jestem człowiekiem, który ocalił wasze drogocenne życie – mówi. – Przemyślcie to sobie.

Nadciągają tragi, niosący układają na nich Sumnera. Transportują go przez zrujnowane miasto do szpitala polowego za kortem. Z początku pozostaje nierozpoznany pośród legionu rannych, ale gdy tylko Corbyn go spostrzeża, szybko zabierają go na górę i umieszczają w osobnej izbie, którą ma tylko dla siebie.

Otrzymuje pożywienie, wodę i dawkę laudanum, przysłany też zostaje do niego pomocnik z zadaniem ponownego wzięcia w łubki i opatrzenia nogi. Sumner na przemian zapada w drzemkę i się z niej wybudza. Słyszy nieustanny huk dział i sporadyczne skowyty rannych piętro niżej. Gdy Corbyn przychodzi się z nim zobaczyć, jest już ciemno. Niesie lampę oliwną i pali birmańskie cygare. Podają sobie ręce, a Corbyn przez chwilę się w niego wpatruje z miną wyrażającą smutną konsternację, jak gdyby Sumner był starannie zaplanowanym eksperymentem, który nieoczekiwanie się nie powiódł.

– Więc pozostali nie żyją? – pyta.

Sumner potakuje.

– Wzięli nas z zaskoczenia.

– Zatem macie szczęście, żeście ocalili. – Podnosi koc i rzuca okiem na nogę Sumnera.

– Rana jest czysta, a złamanie niezbyt poważne. Może będę przez jakiś czas potrzebował laski, ale to wszystko.

Corbyn kiwa głową i się uśmiecha. Sumner spogląda na niego wyczekująco. Lada chwila, myśli, złoży mi ofertę, zaproponuje należytą nagrodę za moje cierpienia.

– Sądziście pewnie – odzywa się – że ja też nie żyję, skoro nikt nie wrócił.

– Istotnie – odpowiada Corbyn. – Wszyscy tak zakładali. – I po krótkiej przerwie dodaje:

– Cieszę się, że byliśmy w błędzie.

– Skarb okazał się prawdziwy, ale dom był pełen pandych.

– Czyli weszliście w pułapkę. Popelniliście poważny błąd.

– To nie była pułapka – prostuje Sumner – tylko przypadek. Kto by się domyślił, że tam są?

– Lekarz wojskowy opuszczający posterunek to poważna sprawa.

Corbyn uważnie przygląda się rannemu. Jego spojrzenie twardnieje. Sumner otwiera usta, by przemówić, ale się powstrzymuje.

– Mam nadzieję, że rozumiecie, co mam na myśli – kontynuuje Corbyn. – Cieszę się oczywiście, że uszliście z życiem, ale wasza obecna sytuacja i tak jest nie do pozazdroszczenia. Prawdopodobnie postawią wam zarzuty.

– Zarzuty?

Przez jedną zbijającą z tropu chwilę Sumner się zastanawia, czy nie jest to może element jakiegoś większego planu, uknutego przez Corbyna pod jego nieobecność. Jakiejś rozleglejszej strategii, mającej służyć ich obopólnemu dobru.

– To nieuniknione, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności – ciągnie Corbyn. – Szturm wszedł w decydującą fazę. Stracił trzech medyków w takim momencie... – Unosi brwi i leniwie wydmuchuje w atramentową ciemność chmurę szarobrazowego dymu.

Sumner czuje silny ucisk w piersi, a także początki dezorientacji, jakby pomieszczenie zaczęło się niespodziewanie, niemożliwie wokół niego przechylać.

– Jeśli mi je postawią – mówi – ufam, że mogę liczyć na wasze wsparcie, panie Corbyn. Corbyn marszczy brwi i odmownie kręci głową.

– Nie wyobrażam sobie, jakie wsparcie mógłbym wam zaoferować – rzuca niefrasobliwie. – Fakty w sprawie są jednoznaczne.

– Chodzi mi o wasz opis wczorajszych wydarzeń – precyzuje Sumner. – O szczegóły tego, co zaszło. Chłopczyk i tak dalej.

Corbyn odstawia lampę oliwną na stolik i wolno przechadza się tam i z powrotem u stóp łóżka. Przed udzieleniem odpowiedzi podchodzi do okna, otwiera je i stoi przy nim przez chwilę, jakby wyglądał gościa, który spóźnia się na obiad.

– Mało prawdopodobne, by generał zawracał sobie głowę detalami – mówi. – Byliście potrzebni tutaj, a opuściliście szpital w poszukiwaniu skarbu. Zginęło trzech ludzi, wyście wrócili z poważną raną. Gdy was nie było, wasi ranni towarzysze broni, w tym kilku oficerów, leżeli bez opieki i nierzadko w okrutnych męczarniach. Obawiam się, że to wszystko, co będzie skłonny zrozumieć. Niczego więcej się od niego nie wymaga.

– Oczekujecie więc, że będę trzymał język za zębami? Że przyjmę karę? Przecież najpewniej mnie wydalą.

– Radzę wam nie pogarszać i tak już złej sytuacji. Wplątanie w to mojego nazwiska nie wyjdzie wam na dobre. Gwarantuję.

Zapada cisza, w której obaj mężczyźni wytrzymują swoje spojrzenia. Corbyn minę ma nieugiętą, ale także spokojną i pewną siebie. Pod zwyczajową wojskową sztywnością tkwią nieprzebrane pokłady aroganckiej buty zrodzonej z bogactwa i próżniaczego życia, przekonanie, że świat jest plastyczny, że nagnie się wedle jego życzenia.

Sumnera rozboleła głowa. Nabrzmiwa w nim gorzka fala złości i żalu nad sobą.

– Więc nic mi nie zaoferujecie za cały mój trud?

– Oferuję wam radę: pogódźcie się z niefortunnymi konsekwencjami własnych poczynań. Nie dopisało wam szczęście, z tym się zgadzam, ale przecież żyjecie, a pozostali nie, więc może i macie powód do wdzięczności.

– Nadal mam skarb – oświadcza mu Sumner.

Corbyn krzywi się i potrząsa głową.

– Nie, teraz kłamiecie. Nic przy sobie nie mieliście, gdy was przynieśli.

– A więc sprawdziliście – stwierdza Sumner bezbarwnym głosem – zanim podjęliście decyzję, co dalej.

Corbyn zaciska szczęki i po raz pierwszy od początku tej rozmowy sprawia wrażenie zbitego z pantałyku.

– Nie prowokujcie mnie. Nie pomoże to waszej sprawie.

– Nie ma żadnej sprawy. Wiecie o tym równie dobrze, jak ja. Jeśli stanę przed generałem, moja kariera będzie skończona.

Corbyn wzrusza ramionami.

– Jeszcze tego wieczoru przeniosą was do szpitala pułkowego, a za dzień czy dwa zostaną wam oficjalnie postawione zarzuty. Zobaczymy się na rozprawie.

– Dlaczego mi to robicie? – pyta Sumner. – Jaki macie w tym cel?

– Cel?

– Niszczycie mnie. I za co?

Corbyn kręci głową i blade się uśmiecha.

– No tak, celtycka dusza ma w sobie domieszkę melancholii, czyniącej męczeństwo pociągającym. Ale do was, panie Sumner, nie bardzo to pasuje. Ja wykonuję jedynie swoje obowiązki, a wy wyszlibyście o wiele lepiej na wykonywaniu swoich.

Po tych słowach żegna się krótkim skinieniem głowy i rusza ku drzwiom. Sumner spogląda za nim, słyszy stukanie obcasów na drewnianych schodach i asonansowy bełkot angielszczyzny, gdy pada kolejny rozkaz. Z wolna osadza się w nim prawda o jego obecnej sytuacji, a wtedy czuje, jak definiujące go cechy charakteru – zapał, wiara, krnąbrność, jakaś desperacka, niedająca się wyrazić słowami duma – zaczynają się wymykać. William Harper zmarł, nic mu nie zostawiając – bo wszystko, co posiadał, zostało wcześniej sprzedane, zastawione bądź przepite – lecz on nawet wówczas wytrwał, jego determinacja nie osłabła. A skoro nie mógł już sobie pozwolić na wykłady i stancję w Belfaście, inną metodę wybicia się dostrzegł w armii. Owszem, wiedział, że potrwa to o wiele dłużej i będzie o wiele trudniejsze, ale nie niemożliwe. Wierzył, że wciąż może dać radę, że wciąż jakimś sposobem da radę. Ale teraz te długo przechowywane rezerwy odporności i wytrwałości zostały w mgnieniu oka wymazane. Lata starań, lata uporu, cierpliwości i sprytu. Czy to możliwe? A jeśli możliwe, co dla niego oznacza? Czuje gorące targnięcie gniewu za to, co uczynił mu Corbyn, a gniewowi temu zaraz odpowiada równie potężny, lecz rozlewniejszy i bardziej bezwzględny, przypominający długą szarą falę, która gromadziła moc, by wreszcie sięgnąć brzegu, lodowaty przyływ wstydu.

Trzy tygodnie od wyspy Jan Mayen do przylądka Farvel. W górze czyste błękitne niebo, ale wiatr jest okresowy i zmienny – w dobre dni dmie silnie i trwale z południa, lecz w inne staje się porywisty, anemiczny bądź zupełnie ustaje. Załozce czas mija na przewlekaniu sznurów przez talie łodziowe, splataniu lin wielorybnych, przeglądaniu lanc i harpunów. Po sukcesie, jakim okazało się polowanie na foki, morale jest wysokie. Brownlee wyczuwa u ludzi powszechny optymizm, wiarę, że tego roku towarzyszy im szczęście i że sezon będzie owocny. Niezadowolone szemranie, które słyszał w Hull, ucichło. Cavendish, choć nadal wkurzający z niego kutas, wykazuje się w pracy kompetencją, a Black, jego dubler, jest chwalebnie ambitny i lotny nad swoje lata. Po niemal śmiertelnej kąpeli lekarz okrętowy nadzwyczajnie wrócił do zdrowia. Odzyskuje kolory i energię, odzyskuje apetyt. Choć kwiaty odmrożeń na jego policzkach i czubku nosa kwitną żywym mięsem, niemal codziennie można go ujrzyć przechadzającego się po pokładzie lub szkicującego coś w dzienniku. Campbell na „Hastingsie” czeka na nich w cieśninie, do której zmierzają, gdzieś za wyspą Disko, ale oba statki ani się nie spotkają, ani nie będą próbowały nawiązać kontaktu, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila. W dzisiejszych czasach ubezpieczyciele są wyczuleni na najmniejsze oznaki knowań, a okręt tak wysoko i nieproporcjonalnie ubezpieczony jak „Ochotnik” automatycznie staje się podejrzany. Czyli to jego, Brownleego, ostatni rejs. Nie taki kres by sobie wybrał, ale z pewnością lepsze to niż kolejne pięć lat na węglowej barce wlokącej się jak kto głupi z Middlesbrough do Cleethorpes i z powrotem. Po „Percewalu” żaden z ocalałych nie wrócił na morze – pomieszane zmysły, brakujące kończyny, spazmy i napady strachu. On jeden tego dokonał. Jedyne wystarczająco uparty lub głupi, by nie ustawać. Człowiek powinien patrzeć przed siebie, nie w tył, bezustannie radzi mu Baxter. Liczy się tylko to, co dopiero się wydarzy. I choć Baxter bez wątplenia jest chujem, kanalią i zdegenerowanym do szpiku kości szarlatanem, zdaniem Brownleego kryje się w tym jakaś drobna niezaprzeczalna prawda.

Góry lodowe wokół przylądka jak zwykle są stłoczone i niebezpieczne. By nie narażać się na zderzenia, „Ochotnik” musi płynąć pod marsłami jeszcze jakieś sto mil na zachód, potem zaś skręcić na północ, północny wschód ku środkowej części Cieśniny Davis. Z pokładu dziobowego, na którym przesiaduje, gdy jest w miarę ciepło, Sumner wypatruje ptaków: kulików, pardw, alk, nurów, krzyżówek, edredonów. Gdy tylko jakiegoś spostrzeże, woła do sternika z pytaniem o przybliżoną szerokość geograficzną i robi zapisek w notatniku. Jeśli ptak podleci wystarczająco blisko, a pod ręką jest strzelba, Sumner czasem do niego wypali, ale częściej niż rzadziej chybia. Ten jego brak celności szybko staje się przedmiotem żartów wśród załogi. Sumnera przyrodznawstwo nie interesuje – po zakończeniu rejsu wyrzuci notatnik, nie zajrzawszy do niego ponownie. Obserwuje ptaki tylko po to, by szybciej upływał mu czas, by sprawiać wrażenie, że ma jakieś zajęcie, i uchodzić za normalnego.

Czasami, gdy nie ma żadnego ptaka do ustrzelenia ani opisanie, rozmawia z Ottonem, niemieckim harpunnikiem. Wbrew swej profesji Otto jest wnikliwym myślicielem z zacięciem do teoretyzowania i mistycyzmu. Uważa za prawdopodobne, że w ciągu kilku godzin, na które Sumner przepadł pod lodem, jego dusza opuściła materialne ciało i podróżowała przez odmienne, wyższe terytoria.

– Mistrz Swedenborg opisuje świat duchów – objaś-nia – rozległą zieloną dolinę okoloną

urwiskami i górami, w której gromadzą się dusze umarłych, nim dostąpią zbawienia lub zostaną potępione.

Sumner nie chce go rozczarować, ale pamięta tylko ból i strach, po nich zaś długie, mroczne i z gruntu nieprzyjemne nicestwo.

– Może i takowe fantastyczne miejsce gdzieś istnieje, ale mnie się nie objawiło – wyznaje.

– Bo mogliście pójść bezpośrednio do nieba. To także możliwe. Niebo w całości wykonane jest z blasku. Budowle, ogrody, ludzie – tworzywem wszystkiego jest boskie światło. Gdziekolwiek rzucić okiem – tęcze. Miriady tęcz.

– Znowu Swedenborg?

Otto przytakuje.

– Spotkalibyście się tam ze zmarłymi, porozmawiali z nimi. Może z waszymi rodzicami. Pamiętacie coś podobnego?

Sumner kręci głową, ale Ottona to nie zraża.

– W niebie prezentowaliby się zupełnie tak samo, jak wyglądali w tym życiu – powiada – z tym że materią ich ciał zamiast mięsa byłoby światło.

– Jakże ciało może być utworzone ze światła?

– Ponieważ to światłem w rzeczywistości jesteśmy, ono to nasza nieśmiertelna esencja.

Ale prawda przebłyskuje, dopiero gdy ciało zaniknie.

– W takim razie w ogóle nie opisujecie ciała – odpowiada Sumner – jeno duszę.

– Wszystko musi mieć własny kształt. Ciała umarłych w niebie są kształtami, które przybrały poszczególne dusze.

Sumner ponownie kręci głową. Otto jest zwałistym Germaninem z torsem atlety i toporną, mięsistą twarzą, a pięści ma jak bochny. Potrafi cisnąć harpunem na pięćdziesiąt jardów i nawet nie stęknie. Dziwnie słuchać, jak rozprawia o sprawach tak ulotnych.

– Czemuż wierzycie w takie rzeczy? – pyta. – Co z tego macie?

– Świat, który postrzegamy oczami, nie jest całą prawdą. Sny i wizje są równie rzeczywiste, jak materia. To, co jesteśmy w stanie sobie wyobrazić lub wymyślić, istnieje tak samo prawdziwie jak wszystko, czego możemy dotknąć. Jeśli nie od Boga, to skąd biorą się nasze myśli?

– Biorą się z naszego doświadczenia – argumentuje Sumner. – Z tego, cośmy słyszeli, widzieli czy przeczytali, z tego, co nam powiedziano.

Otto przeczy gestem.

– Gdyby tak przedstawiała się prawda, nie byłby możliwy ni rozwój, ni postęp.

Żylibyśmy w świecie stagnacji, znieruchomienia. Bylibyśmy skazani na życie aż po kres z twarzami zwróconymi w tył.

Sumner przenosi wzrok na odległe krenelaże gór lodowych i lodu przybrzeżnego, na mroczne i niecierpliwe rozkołysanie morza. Odzyskawszy przytomność, przez cały tydzień leżał na koi, ledwie się poruszając i mało co mówiąc. Ciało miał niczym zarys, szkic, który można wytrzeć i zacząć od początku, ból i pustka były jak ręce kształtujące go i znów odkształcające, ugniatające knykциями i rozciągające jego duszę.

– Nie umarłem tam, w wodzie – mówi. – Gdybym umarł, byłbym w jakiś sposób nowy, a nic nowego we mnie nie ma.

Tuż przed wyspą Disko statek klinuje się między krami. Mocują na najbliższej tafli kotwice lodowe i usiłują przeciągnąć statek w przód za pomocą grubych lin nawijanych na kabestany. Przy handszpakach stoi po dwóch ludzi, ale i tak jest to mozolna i wyczerpująca

praca. Pokonanie zaledwie trzydziestu stóp zajmuje im cały ranek, zatem po obiedzie Brownlee postanawia – choć niechętnie – odpuścić i poczekać, aż zmieni się wiatr i otworzy się nowe przejście.

Drax i Cavendish, uzbrojeni w oskardy, schodzą na lód, by odzyskać kotwice. Dzień jest ciepły i bezchmurny. Wiecznie obecne arktyczne słońce stoi wysoko i tępo pulsuje doskwierającym piecowym żarem. Obaj harpunnicy, już na nie uodpornieni, odrzucają liny cumownicze, rąbią oskardami mokry lód wokół kotwic i uwalniają je kopniakami. Cavendish zarzuca żelastwo na ramię i zaczyna gwizdać *Londonderry Air*. Nie zwracając na niego uwagi, Drax unosi prawą rękę, by osłonić oczy przed słońcem, a po upływie kolejnej chwili wskazuje w głąb lodu. Cavendish przestaje gwizdać.

– Co takiego?

– Niedźwiedź – wyjaśnia Drax. – Tam, na następnej krze.

Cavendish osłania oczy i kuca, żeby lepiej widzieć.

– Pójdę po łódź – mówi – i po strzelbę.

Opuszczają na lód welbota, a Drax i Cavendish z dwoma jeszcze ludźmi ciągną go ku otwartym wodom. Kra jest na ćwierć mili szeroka i pagórkowata. Niedźwiedź człapie jej północnym krańcem, kłapiąc zębami w powietrzu i wężąc za fokami.

Cavendish spostrzega przez lunetę wlokącego się z tyłu niedźwiadka.

– Matka z młodym – oznajmia. – Patrzaj no. – Podaje Draxowi lunetę. – Za żywego malucha sypną dwadzieścia funtów – stwierdza. – A z matki możemy ściągnąć skórę.

Czterej mężczyźni dyskutują przez chwilę o finansach, a później, po osiągnięciu satysfakcjonującej ugody, wolniutko podpływają do kry. Pięćdziesiąt jardów od niej przestają wiosłować i stabilizują łódź. Cavendish, zaparty kolanami o dziób, gotuje się do strzału.

– W bakiście mam gwineę, która twierdzi, że trafię prościusieńko w gałkę oczną – szepcze. – Ktoś chce sprawdzić, czy ma rację?

– Jak ty masz w bakiście gwineę, to mój kutas jest pizdą – odgryza się jeden z marynarzy.

Cavendish rzy.

– Brzydalek – mówi. – Oj, brzydaaaalek.

– Wpakuj jej kulkę w serce – podpowiada Drax.

– Jak w serce, to w serce – kiwa głową Cavendish. – No to sru.

Jeszcze raz patrzy spod zmarszczonych brwi wzdłuż lufy, a potem strzela. Kula trafia niedźwiedzicę wysoko w zad. Tryska krew, rozbrzmiewa ryk.

– Kurwa! – rzuca Cavendish, podejrzliwie przyglądając się strzelbie. – Musiał się spaczyć celownik.

Niedźwiedzica kręci się obłąkańczo, potrząsa kłębem, wyje i kąsa powietrze, jakby broniła się przed wymagowanym przeciwnikiem.

– Strzel do niej jeszcze raz – mówi Drax – bo ucieknie.

Nim Cavendish zdąży przeładować, niedźwiedzica ich zauważa. Zamiast uciec, przystaje na chwilę, jakby się zastanawiała, co ma dalej zrobić, a później zsuwa się z krawędzi kry i znika w morzu. Niedźwiadek idzie w jej ślady.

Mężczyźni wiosłują przed siebie, obserwując powierzchnię wody w oczekiwaniu, aż zwierzęta się wynurzą. Cavendish trzyma strzelbę w pogotowiu, Drax dzierży sznur z pętlą na końcu, by zarzucić ją na młodego.

– Mogła wrócić pod ten lód – zauważa Cavendish. – Od groma w nim szczelin i dziur.

Drax kiwa głową.

– Chcę małego – powiada. – Spokojnie pójdzie za dwadzieścia funtów. Znam jednego gościa z zoo.

Krążą niespiesznie. Wiatr cichnie, powietrze wokół nich spokojnie. Drax charka, następnie spluwa. Cavendish opiera się pokusie zagwizdania. Nic się nie porusza, wokół panuje cisza, i wtedy, dosłownie jard od rufy, niczym wyblakły archetyp pradawnego podmorskiego boga z mrocznych wód wylania się łeb niedźwiedzicy. Następuje chwila dzikiego zamieszania – przepychanie, pokrzykiwanie, przekleństwa – po czym Cavendish celuje i strzela po raz drugi. Kula bżyczy przy uchu jednego z wioślarzy i z plaśnięciem wbija się w pierś zwierzęcia. Niedźwiedzica, wyjąc, staje w wodzie dęba. Jej ogromna pazurzasta łapa, szeroka i chropawa jak pień drzewa, trzaska w okrężnicę welbota, orząc i rozdzierając deski w desperackiej próbie znalezienia uchwytu. Wściekle rozchybotana łódź jest o krok od wywrócenia się do góry dnem. Ciśnięty do przodu Cavendish upuszcza strzelbę, a jeden z wioślarzy wylatuje za burzę.

Drax odpycha Cavendisha z drogi i wyjmując z bocznego uchwytu ośmiocalowy wielorybiczy przecinak w kształcie wydłużonej łopatki. Niedźwiedzica, odpuściwszy sobie łódź, naciera na miotającego się w wodzie wioślarza. Wbija mu kły w łokieć, a następnie jednym niedbałym ruchem potężnej szyi odrywa marynarzowi większość prawego ramienia. Drax, stojący prosto w ciągle rozkołysanej łodzi, unosi przecinak i mocno wraża ostrze w niedźwiedzi grzbiet. Przez chwilę czuje opór, a po nim nieuniknione, nieodwracalne ustąpienie, gdy frezowana stalowa krawędź rozszczenia kręgosłup zwierzęcia na dwoje. Wyciąga przecinak i znów go opuszcza, i jeszcze raz, każdym kolejnym pchnięciem godząc głębiej. Trzecim ciosem przeszywa niedźwiedzicy serce i na powierzchnię, parując, wypływa wielka szkarłatna plama krwi, a także niczym tusz chiński rozlewa się na skołtunionej białej sierści. Powietrze wypełnia smrodliwa erupcja rzezi i ekskrementów. Drax czerpie przyjemność ze swojej pracy, czuje dumę rzemieślnika. Wierzy, że śmierć jest rodzajem czynienia, odmianą wytwarzania. Co było jednym, myśli, stało się czymś zupełnie innym.

Okaleczony wioślarz po kilku chwilach wrzeszczenia ucieka przed bólem w omdlenie i zaczyna tonąć. Krwawe szczątki jego utraconej ręki wciąż zwisają z kłów zabitej niedźwiedzicy. Cavendish sięga po bosak i wciąga go z powrotem na pokład. Ucinają kawałek liny wielorybiczej i zakładają mu krępulec na kikut.

– Oto, co nazywam totalnym zjebaniem sprawy – oświadcza Cavendish.

– Wciąż mamy małego – odpowiada Drax, wskazując palcem. – Dwadzieścia funtów na wyciągnięcie ręki.

Niedźwiedziątka pływa przy trupie matki, miaucząc i trącając zewłok nosem.

– Człowiek, kurwa, rękę stracił – przypomina mu Cavendish.

Drax bierze przygotowaną wcześniej linę, za pomocą bosaka nasuwa pętlę na łeb niedźwiadka i ciasno ją zaciąga. W szczęce martwej niedźwiedzicy wiercą dziurę, przewlekają przez nią powróż, a drugi koniec sznura przywiązują do poleru. Powolnie i z mordęgą odbywa się ten powrót na statek, a zanim docierają do celu, wioślarz kona z powodu odniesionych ran.

– Słyszałem o takich rzeczach – mówi Cavendish – alem do dziś dnia na własne oczy nic podobnego nie widział.

– Strzelałbyś celnie, to ciągle by żył – wytyka mu Drax.

– Wpakowałem w nią dwie solidne kule, a i tak zostało jej dość siły, żeby odjąć mężczyźnie rękę. Co to za niedźwiedź, pytam się?

– Niedźwiedź to niedźwiedź – kwituje Drax.

Cavendish kręci głową i pociąga nosem.

– Niedźwiedź to jebany niedźwiedź – wtóruje, jak gdyby ta myśl dotychczas nie przeszła mu przez głowę.

Powróciwszy na „Ochotnika”, mocują nieżywą niedźwiedzicę do wielokrążka i wyciągają z wody, aż wreszcie zawisa nad pokładem na noku rei, dyndająca, wyliniała i odarta z życia,



z pyskiem ociekającym krwią. Na dole, w wodzie, oddzielony od rodzicielki, mały się rozjusza, z obłędem w ślepiach pływa jak szalony w tę i we w tę, kęsając bosak i szarpiąc się w konopnej obroży. Stojący w welbocie Drax woła o pustą baryłkę na wielorybi tłuszcz, a potem przy pomocy Cavendisha, szarpiąc i szturchając, zagania niedźwiadka do środka. Pozostali zrzucają sieć i wciągają beczułkę, obecnie pełną drącego się i miotającego zwierzątka. Brownlee przygląda się z pokładu rufowego, jak niedźwiadek raz za razem usiłuje czmychnąć z wyprostowanej baryłki, a Drax, uzbrojony w klepkę beczki, ponownie strąca go na dno.

– Opuścić trupa matki! – woła Brownlee. – Tylko w ten sposób go uspokoiemy!

Rozpostarta na pokładzie niedźwiedzica, wzgórze skrwawionego futra, paruje niczym kolosalne danie główne na jakiejś trudnej do wyobrażenia uczcie. Brownlee kopie baryłkę, a niedźwiedziątko rzuca się do ucieczki, przebierając i drapiąc pazurami po deskach pokładu. Następuje chwila spanikowanego obracania się i dezorientacji (mężczyźni uciekają ze śmiechem, wdrapując się na olinowanie), ale potem mały spostrzega zwłoki matki i ku nim spieszy. Szturcha je nosem w bok i zaczyna bezradnie lizać brudne futro. Brownlee się przygląda. Niedźwiadek kwili, węszy, aż wreszcie układa się pod osłoną trupa matki bok przy boku.

– Ten misiek wart jest dwadzieścia funtów – mówi Drax. – Znam pewnego człowieka z zoo.

Brownlee przenosi na niego wzrok.

– Będziecie mogli go trzymać w beczce, kowal znituje wam kratownicę – mówi. – Najpewniej zdechnie, zanim wrócimy do domu, ale jeśli nie, każdy pens, jakiego przyniesie, trafi do rodziny zmarłego.

Drax przez chwilę odpowiada Brownleemu spojrzeniem, jakby gotował się do protestu, ale w końcu kiwa głową i odchodzi na bok.

Później, gdy martwy wioślarz został już zaszyty w płótno żaglowe, a potem szorstko i bez większych ceremonii zsunięty za burtę, Cavendish toporkiem i nożem do wykrawania tłuszczu skóruje niedźwiedzicę. Maluch, już zamknięty w baryłce, obserwuje rozdygotany, jak Cavendish sieka, tnie i wyszarpuje.

– Da się zjeść niedźwiedzica? – pyta Sumner.

Cavendish zaprzecza ruchem głowy.

– Niedźwiedzie mięso ma ohydny smak, a wątroba jest zwyczajnie trująca. Jedyne pożytek z tych stworzeń to skóra.

– Czyli ozdoba?

– Bawialni jakiegoś bogacza. Można by dostać lepszą cenę, gdyby Drax nie był taki gorliwy z przecinakiem, ale podejrzewam, że rozcięcie da się nareperować.

– A miś, jeśli przeżyje, zostanie sprzedany do ogrodu zoologicznego?

Cavendish kiwa głową.

– Dorosły niedźwiedź to widok piękny i straszny zarazem. Każdy zapłaci pół pensa, żeby zobaczyć taki okaz, i jeszcze się ucieszy, że to wcale niedrogo.

Sumner kuca i zagląda w wypełniającą baryłkę ciemność.

– Ten może paść z rozpaczy, zanim dowiedzimy go do domu – mówi.

Cavendish wzrusza ramionami i odrywa się od pracy. Patrzy na Sumnera, szczerzy zęby. Ręce aż po łokcie ma ubarwione na jasnoczerwono, a kamizelkę i spodnie pocętkowane skrzeplą krwią.

– Zapomni o nieżywej matce wystarczająco szybko – powiada. – Uczucia przemijają. Pod tym względem bestia niczym nie różni się od człowieka.

Przychodzą do niego z ranami i stłuczeniami, migrenami, kolką, hemoroidami oraz opuchniętymi jądrami. Traktuje ich kataplazmami i plastrami, maściami i balsamami: epsomitom, kalaminem, ipekakuaną. Jeśli nic nie pomaga, upuszcza im krwi lub stosuje wezykatorię, wywołuje bolesne wymioty lub wybuchową laksację. Są wdzięczni za tę uwagę, te oznaki troski, nawet gdy jego zabiegi są przyczyną innych mniej lub bardziej uciążliwych dolegliwości. Wierzą, że jest człowiekiem wykształconym, a co za tym idzie – że wie, co robi. Pokładają w nim pewien rodzaj wiary – głupiej być może i prymitywnej, ale prawdziwej.

Dla Sumnera ludzie, którzy do niego przychodzą, są jedynie ciałami: nogami, rękami, torsami, głowami. Jego uwagę zaprzęta wyłącznie ich forma cielesna. Na resztę – ich postawy moralne, ich dusze – pozostaje niezmiennie obojętny. Nie jest jego zadaniem, myśli, edukowanie ich bądź kierowanie na drogę cnoty, tak jak nie jest nim osądzanie ich, uspokajanie lub nawiązywanie przyjaźni. Jest konsyliarzem, nie księdzem, sędzią czy małżonkiem. Będzie kurował ich lezje, leczył ich, jeśli będzie to możliwe, z niedomagań i schorzeń, ale poza tym nie mają prawa niczego od niego żądać, zresztą on, ze swym obecnym nadwątłym nastrojem, nie doda nikomu otuchy, na której jemu samemu zbywa.

Pewnego wieczoru, gdy wieczerza dobiegła końca, Sumnera w jego kajucie odwiedza jeden z chłopców okrętowych. Nazywa się Joseph Hannah. Ma trzynaście lat, smukłą sylwetkę, ciemne włosy, szerokie blade czoło i ciemne wpadnięte oczy. Sumner zwrócił na niego uwagę już wcześniej i pamięta jego nazwisko. Jest brudny i potargany, jak to chłopcy okrętowi, a gdy tak stoi w drzwiach, sprawia wrażenie dotkniętego atakiem nieśmielenia. Wykręca w dłoniach czapkę i co chwila się krzywi, jakby sama myśl o zwróceniu się do lekarza była źródłem bólu.

– Chcesz ze mną porozmawiać, Josephie Hannah? – pyta go Sumner. – Żle się czujesz? Chłopiec dwukrotnie kiwa głową i mruga przed udzieleniem odpowiedzi.

– Brzuch mnie boli – wyznaje.

Sumner, który siedzi na wąskiej składanej półce służącej mu za biurko, podnosi się i gestem przywołuje chłopca bliżej.

– Kiedy zaczęły się te problemy? – chce wiedzieć.

– Wczoraj w nocy.

– Możesz mi opisać ten ból?

Joseph marszczy brwi i wygląda na skonsternowanego.

– Jakie to wrażenie? – dopytuje Sumner.

– Boli mnie – odpowiada chłopiec. – I to porządnie.

Sumner kiwa głową i drapie się po ciemnej grudce odmrożonej tkanki na czubku nosa.

– Wskakuj na koję – poleca. – Zbadam cię na niej.

Joseph się nie rusza. Opuszcza spojrzenie na stopy i nieznacznie drży.

– To proste badanie – objaśnia Sumner. – Muszę po prostu znaleźć ognisko bólu.

– Brzuch mnie boli – powtarza Joseph, znowu podnosząc wzrok. – Trzeba mi dawki peperyny.

Sumner prychnął, widząc tupet chłopaka, i kręci głową.

– Ja zdecyduję, czego ci trzeba lub nie – ucina. – A teraz bądź łaskaw położyć się na koi.

Joseph z ociąganiem wykonuje polecenie.

Sumner rozpina mu kaftan, koszulę i podciąga flanelowy podkoszulek. Brzuch, odnotowuje, nie jest wyдутy, nie ma też żadnych śladów przebarwienia ani opuchlizny.

– Teraz boli? – docieka. – A teraz?

Joseph kręci głową.

– To gdzie jest ten ból? – pyta Sumner.

– Wszędzie.

Sumner wzdycha.

– Skoro nie ma go tu, tu ani tu – mówi, niecierpliwie dźgając brzuch chłopca opuszkami palców – to niby jak może być wszędzie, Josephie?

Joseph nie odpowiada. Sumner węszy podejrzliwie.

– Wymioty? – pyta. – Laksacja?

Joseph kręci głową, ale wilgotna woń fekaliiów unosząca się z okolicy kościstych bioder chłopca sugeruje, że to kłamstwo. Sumner zastanawia się, czy Joseph ma nie po kolei w głowie, czy tylko jest ponadprzeciętnie głupi.

– Wiesz, co to laksacja? – pyta.

– Biegunka – odpowiada Joseph.

– Zdejmij, proszę, spodnie.

Joseph wstaje, rozsznurowuje i zzuwa buty, następnie rozpina pas i strząsa szare wełniane spodnie. Nieprzyjemny zapach przybiera na sile. Na zewnątrz kajuty pokrzykuje Black, na potęgę kaszle Brownlee. Sięgające kolana kalesony chłopca, jak Sumner natychmiast zauważa, są poplamione na pośladkach i sztywne od kleksów z krwi i gówna.

Na miłość boską, hemoroidy, myśli Sumner. Dzieciak najwyraźniej nie odróżnia swojego brzucha od odbytu.

– Je też zdejmij – wskazuje palcem – a robiąc to, postaraj się niczego nimi nie dotknąć.

Joseph niechętnie ściąga śmierdzące kalesony. Golenie ma cienkie, niemal pozbawione mięśni, a białą poza tym czystość jego fiuta i jaj okala łuk anemicznych ciemnych włosów.

Sumner każe mu się odwrócić i oprzeć łokciami o koję. Normalnie byłby za młody, żeby nabawić się hemoroidów, ale Sumner zakłada, że surowa dieta okrętowa, składająca się z solonego mięsa i biskwitów, zrobiła swoje.

– Dam ci maść – decyduje – i tabletkę. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Rozdziela półdupki chłopca i zagląda między nie, chcąc się upewnić. Wpatruje się przez kilka sekund, odsuwa się i spogląda jeszcze raz.

– Co to jest? – pyta.

Joseph nie rusza się ani nie odpowiada. Trzęsie się co trochę, jakby w kajucie (w której jest ciepło) panował przejmujący chłód. Po minucie namysłu Sumner wychodzi na schodnię i woła, żeby kuk przyniósł mu miskę z ciepłą wodą i szmatę. Otrzymałszy je, myje chłopca między pośladkami i smaruje lezje mieszanką kamfory i smalcu. Zwieracz jest odkształcony i miejscami porozrywany. Widać ślady owrzodzenia.

Osusza chłopca ręcznikiem i wręcza mu sztukę czystej bielizny z własnego zapasu. Myje ręce resztką wody.

– Możesz już się ubrać, Josephie – mówi.

Chłopiec robi to powoli, starannie unikając wzroku lekarza. Sumner podchodzi do apteczki, wybiera butelkę oznaczoną „Nr 44” i wytrząsa z niej małą niebieską tabletkę.

– Połknij ją od razu – nakazuje – i przyjdź jutro, dam ci kolejną.

Joseph krzywi się, czując smak, ale głośno przełyka pastylkę. Sumner uważnie mierzy wzrokiem jego zapadnięte policzki, cienką węźlastą szyję, zamglone i nieobecne spojrzenie.

– Kto ci to zrobił? – pyta.

– Nikt.

– Kto ci to zrobił, Josephie? – naciska Sumner.

– Nikt mi nic nie zrobił.

Sumner dwukrotnie kiwa głową, a potem mocno drapie się po kości policzkowej.

– Możesz już iść – mówi. – Masz się jutro zjawić po kolejną niebieską tabletkę.

Po wyjściu chłopca Sumner udaje się do pustej mesy, otwiera żelazny piecyk i wpycha poplamioną bieliznę głęboko między spiętrzone, żarzące się węgle. Patrzy, jak materiał zajmuje się ogniem, zamyka drzwiczki i wraca do swojej kajuty. Nalewa sobie dozę laudanum, ale jej nie wypija. Zamiast tego z półki nad biurkiem zdejmuje egzemplarz *Iliady* i próbuje czytać. Statkiem rzuca w górę, wręgi trzeszczą i pojękują. Sumner wbrew sobie czuje ucisk w gardle i ciepłe, płynne wzbieranie w piersi niczym zaczątki szlochu. Czeką jeszcze minutę, a po jej upływie zamyka książkę i wraca do mesy. Przy piecyku stoi pałacy fajkę Cavendish.

– Gdzie Brownlee? – pyta go Sumner.

Cavendish ruchem głowy wskazuje kajutę kapitańską.

– Najpewniej ucina sobie drzemkę – dodaje.

Sumner i tak puka. Po chwili Brownlee woła, żeby wejść.

Kapitan z piórem w dłoni pochyla się nad dziennikiem okrętowym. Ma rozpiętą kamizelkę, a siwe włosy stoją mu dęba. Podnosi wzrok na Sumnera i gestem zaprasza go do środka. Lekarz siada i czeka, aż Brownlee skreśli kilka ostatnich słów, a potem starannie osuszy swoje dzieło.

– Niewiele do zaraportowania, jak sądzę – zagaja.

Brownlee kiwa głową.

– Jak dotrzemy na Wody Północy, ujrzymy więcej wielorybów – mówi. – Możecie być tego pewni. I kilka zabijemy, jeśli mam coś do powiedzenia na ten temat.

– Wody Północy są na to miejscem jak znalazł.

– W dzisiejszych czasach – owszem. Dwadzieścia lat temu i tutaj roiło się od wielorybów, ale wszystkie przeniosły się na północ, byle dalej od harpunów. Trudno je winić. Wieloryby to rozumne stworzenia. Wiedzą, że najbezpieczniejsze są tam, gdzie najwięcej lodu i gdzie ściganie ich grozi nam największym niebezpieczeństwem. Para to przyszłość, oczywiście. Statkiem parowym o odpowiednio dużej mocy moglibyśmy na nie polować aż po krańce świata.

Sumner kiwa głową. Już słyszał te teorie Brownleego. Kapitan wierzy, że im dalej żeglować na północ, tym więcej wielorybów się napotka, i na tej podstawie doszedł do logicznego wniosku, że na szczycie świata musi istnieć ogromny, wolny od lodu ocean, do którego człowiek jeszcze nie dotarł, a w którym całkowicie swobodnie pływają nieprzeliczone ilości waleni. Kapitan, jak Sumner poważnie podejrzewa, musi być kimś w rodzaju optymisty.

– Przyszedł dziś do mnie Joseph Hannah. Skarżył się na schorzały brzuch.

– Chłopiec okrętowy Joseph Hannah?

Sumner kiwa głową.

– Zbadałem go i okazało się, że był sodomizowany.

Usłyszawszy tę wieść, Brownlee na chwilę sztywnieje. Następnie pociera nos i marszczy brwi.

– On wam o tym powiedział?

– Badanie wykazało to jednoznacznie.

– Jesteście pewni?

– Uszkodzenia były rozległe, wystąpiły też objawy choroby wenerycznej.

– A kto, proszę was, jest odpowiedzialny za tę potworność?

– Chłopak nie chce mówić. Jest wystraszony, jak mniemam. Może też być nieco głupkowaty.

– O, głupi jest jak trzeba – rzuca Brownlee cierpko. – Bez dwóch zdań. Znam zarówno

jego ojca, jak i wuja, też jebani z nich imbecyle. – Kapitan ściąga usta, a jego zmarszczka się pogłębia. – Jesteście przekonani, że zdarzyło się to na pokładzie tego statku? Że obrażenia są niedawne?

– Bez wątplenia. Lezje są w miarę świeże.

– Zatem skończony z tego chłopaka głupiec – ocenia Brownlee. – Czemu nie krzyczał ani się nie poskarżył, skoro uczyniono mu to wbrew jego woli?

– Może sami byście go o to zapytali? – proponuje Sumner. – Mnie nic nie powie, ale jeśli wy polecicie mu wskazać winowajcę, może się czuć zobligowany, by to zrobić.

Brownlee krótko kiwa głową, otwiera drzwi i woła do Cavendisha, który wciąż pali przy piecyku, żeby sprowadził chłopaka z kubryku.

– Co ten mały chujek znowu zmalował? – pyta Cavendish.

– Po prostu sprowadź go do mnie – ucina Brownlee.

Czekając, raczą się brandy. Gdy chłopiec nadchodzi, jest błąd z przerażenia, a Cavendish szczerzy zęby w uśmiechu.

– Nie masz się czego bać, Josephie – mówi Sumner. – Kapitan chce tylko zadać ci kilka pytań.

Brownlee i Sumner siedzą obok siebie. Joseph Hannah stoi w napięciu po drugiej stronie gerydonu, a Cavendish przystanął za nim.

– Mam zostać czy wyjść, kapitanie? – pyta.

Po chwili namysłu Brownlee gestem wskazuje mu miejsce.

– Nawyki i osobowości załogi znacie lepiej ode mnie – mówi. – Możemy skorzystać na waszej obecności.

– Czyją, jak czyją, ale osobowość tego małego dzikusa znam od podszewki – oświadcza Cavendish, ochoczo sadowiąc się na wyściełanej ławie.

– Josephie – zaczyna Brownlee, pochylając się i usiłując złagodzić zwykłą stanowczość swego głosu – pan Sumner, nasz lekarz pokładowy, poinformował mnie, że odniosłeś pewne obrażenia. Czy to prawda?

Przez długi czas wydaje się, że Joseph pytania albo nie usłyszał, albo nie zrozumiał, ale wreszcie, gdy Brownlee właśnie zamierza je powtórzyć, kiwa głową.

– Jakie obrażenia? – pyta Cavendish sceptycznie. – Nie słyszałem o żadnych obrażeniach.

– Wcześniej dzisiejszego wieczoru pan Sumner zbadał Josepha – wyjaśnia Brownlee – i odkrył dowody, jednoznaczne dowody, że młody człowiek został nienależycie potraktowany przez innego członka załogi.

– Nienależycie? – dziwi się Cavendish.

– Sodomia – precyzuje Brownlee.

Cavendish unosi brwi, ale poza tym nie wygląda na przejętego. Mina Josepha Hannah nie zmienia się wcale. Jego i tak już zapadłe oczy zdają się wycofywać w głąb czaszki, a oddech przybiera postać szybkiego, ale słyszalnego dyszenia.

– Jak do tego doszło, Josephie? – pyta go Brownlee. – Kto za to odpowiada?

Dolna warga Josepha zwisa, połyskująca i różowawa. Jej ewidentna zmysłowość kłopotliwie kontrastuje z pogrzebową szarością policzków i szczęki, z ciemną, bezradną recesją oczu. Ze strony chłopca nie ma żadnego odzewu.

– Kto za to odpowiada? – powtarza Brownlee.

– To był wypadek – szepcze Joseph w odpowiedzi.

Słyszając to, Cavendish się uśmiecha.

– W kubryku jest niemożliwie ciemno, panie Brownlee – zauważa. – Chyba możliwe, że chłopak którejś nocy zwyczajnie się pośliznął i niefortunnym trafem wylądował na dupie?

Brownlee zwraca wzrok ku Sumnerowi.

– Rozumiem, że to miał być żart – mówi Sumner.

Cavendish wzrusza ramionami.

– Ciasno tam, pełno gratów. Ledwie cal przestrzeni, żeby przejść. Nietrudno o potknięcie.

– To nie był wypadek – upiera się Sumner. – Sam pomysł jest groteskowy. Obrażenia, które widziałem, mogły powstać tylko w jeden sposób.

– Przewróciłeś się, Josephie? – pyta Brownlee. – Czy ktoś rozmyślnie zrobił ci krzywdę?

– Przewróciłem się – odpowiada Joseph.

– To nie był wypadek – powtarza Sumner. – W zupełności niemożliwe.

– Dziwne zatem, że chłopak twierdzi inaczej – wytyka Cavendish.

– To dlatego, że się boi.

Brownlee odpycha się od blatu i prostuje. Przez chwilę intensywnie wpatruje się w obu mężczyzn, a następnie w chłopca.

– Kogo się boisz, Josephie? – indaguje.

Sumnera zaskakuje głupota tego pytania.

– Wszystkich się boi – oznajmia. – Jakżeby miał się nie bać?

Brownlee wzdycha na te słowa, kręci głową i opuszcza wzrok na prostokąt wypolerowanego orzecha w obramowaniu swych rozcapierzonych dłoni.

– Raczej cierpliwy ze mnie osobnik – mówi – ale moja cierpliwość bezsprzecznie ma swoje granice. Jeśli ktoś źle cię potraktował, Josephie, poniesie za to karę. Ale musisz mi teraz powiedzieć całą prawdę. Zrozumiałeś?

Joseph kiwa głową.

– Kto ci to zrobił?

– Nikt.

– Ochronimy cię – dorzuca Sumner szybko. – Jeśli nie zdradzisz nam, kto za to odpowiada, sytuacja może się powtórzyć.

Podbródek Josepha styka się z jego piersią. Chłopak gorliwie wpatruje się w podłogę.

– Masz mi coś do powiedzenia, Josephie? – draży Brownlee. – Po raz kolejny nie zapytam.

Joseph kręci głową.

– Zapomniał języka w gębie, bo jest w kajucie kapitańskiej – wtrąca Cavendish. – To wszystko. Jak odszukałem go w kubryku, śmiał się i weselił z kolegami. Te obrażenia, jeśli w ogóle jakieś odniósł, nie miały większego wpływu na jego usposobienie, tyle wam mogę powiedzieć.

– Chłopak został dotkliwie poturbowany – stwierdza Sumner – a winny napaści znajduje się na tym statku.

– Jeśli chłopiec napastnika nie zidentyfikuje, jeśli wręcz będzie się upierał, że żadnej napaści nie było, tylko spotkał go jakiś wypadek, nic więcej nie da się zrobić – odpowiada Brownlee.

– Możemy poszukać świadków.

Cavendish prychnął.

– Jesteśmy na statku wielorybniczym – przypomina.

– Możesz odejść, Josephie – mówi Brownlee. – Poślę po ciebie, jeśli będę chciał ponownie z tobą pomówić.

Chłopiec opuszcza kabinę. Cavendish ziewa, przeciąga się, wstaje i podąża za nim.

– Nakazę załozie w przyszłości bardziej dbać o porządek – oświadcza, posyłając Sumnerowi rozbawione spojrzenie – żeby uniknąć kolejnych tego typu wypadków.

– Zabierzemy tego młodzieńca z kubryku – zapewnia Brownlee Sumnera, gdy Cavendisha już nie ma. – Przez jakiś czas może sypiać na dolnym pokładzie. Nieprzyjemna historia, ale jeśli nie wskaże winnego, sprawę trzeba będzie zarzucić.

– A jeśli winowajcą jest Cavendish? – pyta Sumner. – Wyjaśniałoby to milczenie chłopca.

– Cavendish ma wady, i to niemałe – odpowiada Brownlee – ale na pewno nie jest sodomitą.

– Sytuacja zdawała się go bawić.

– Kutas z niego i okrutnik, ale to samo można powiedzieć o połowie ludzi pod tymi żaglami. Jeśli szukacie, Sumner, person subtelnych i wyrafinowanych, to podczas rejsu wielorybniczego na Grenlandię na pewno ich nie znajdziecie.

– Porozmawiam z innymi chłopcami okrętowymi – proponuje Sumner. – Wywiem się, co jest im wiadome o Cavendishu i Josephie Hannah, i wrócę z tym do was.

– Nie, nie zrobicie tego – odpowiada Brownlee stanowczo. – Sprawa zostaje zarzucona, chyba że chłopak zacznie śpiewać na inną melodię. Jesteśmy tu po to, żeby zabijać wieloryby, nie plenić grzechy.

– Popelniono przestępstwo.

Brownlee kręci głową. Bezzasadny upór medyka zaczyna go denerwować.

– Jeden chłopak ma obolałe dupsko i tyle. Zgadzam się, że to przykre, ale niedługo dojdzie do siebie.

– Jego rany były o wiele poważniejsze. Opuchnięta odbytnica, objawy...

Brownlee wstaje, nawet nie próbując ukryć irytacji.

– Jakikolwiek konkretnie były te obrażenia, waszym obowiązkiem, Sumner, jako lekarza okrętowego jest ich wyleczenie – powiada. – Ufam, że macie kwalifikacje i akcesoria niezbędne, by z powodzeniem się z tego wywiązać.

Sumner patrzy na kapitana – na jego gęste brwi i srogie szare oczy, zgnieciony nos i ziemiste, pokryte kilkudniową szczeciną policzki – i po trwającym nie dłużej niż chwilę wahaniu postanawia na tym poprzestać. W końcu chłopiec przeżyje. W tej kwestii kapitan ma rację.

– Jeśli czegoś mi zabraknie, nie omieszkać was zawiadomić – mówi.

Wróciwszy do kajuty, wychyla laudanum i kładzie się na koi na wznak. Jest znużony wysiłkiem, jakiego wymagał spór, i rozgoryczony porażką. Dlaczego chłopak nie chce sobie pomóc? Jaką władzę ma nad nim sprawca? Pytanie się go czepia, nęka go, ale po minucie czy dwóch zaczyna działać opium i Sumner zsuwa się w łagodny, ciepły, znajomy stan beztróski. Jakie ma znaczenie, myśli, że otaczają go dzikusy, moralne pawiany? Świat i tak będzie toczył się dalej wedle własnej woli, wszak zawsze to robił, z aprobatą Sumnera czy bez niej. Złość i obrzydzenie, które jeszcze kilka minut temu budził w nim Cavendish, są teraz jak smugi na odległym horyzoncie – idee, sugestie jedynie, nic ważniejszego bądź bardziej wyrazistego. Do wszystkiego dojdę w swoim, odpowiednim czasie, myśli półprzytomnie, nie ma sensu naglić ani się spieszyć.

Jakiś czas później rozlega się pukanie do drzwi jego kajuty. To harpunnik Drax, skarżący się na rozcięcie na prawej ręce. Sumner, mrugając, zaprasza go do środka. Drax, przysadzisty i szeroki w barach, z brodą gęstą i rudawą, zdaje się niemal całkowicie wypełniać małą przestrzeń. Sumner, wciąż lekko zamroczone i nieprecyzyjny po laudanum, bada ranę, a następnie wyciera ją do czysta kawałkiem szarpi i zakłada opatrunek.

– Nie jest poważna – zapewnia. – Noście ten opatrunek dzień czy dwa. Potem już szybko się wygoi.

– Och, miewałem gorsze – odpowiada Drax. – Dużo, dużo gorsze.

W pomieszczeniu dominuje bijący od niego zapach obejścia, zawieszony i niemal jadalny. Jest jak zwierzę spoczywające w swej przegrodzie, myśli Sumner. Siła natury, chwilowo ujarzmiona i ułagodzona.

– Słyszałem, że jednemu z chłopców okrętowych stała się krzywda.

Sumner, skończywszy zwijać niewykorzystany bandaż, odkłada nożyczki i szarpie do apteczki. Lekko mu się rozmywa skraj pola widzenia, a usta i policzki ma chłodne i odrętwiałe.

– Od kogo o tym słyszeliście?

– Od Cavendisha. Powiedział, że macie swoje podejrzenia.

– To więcej niż podejrzenia.

Drax opuszcza wzrok na swoją owiniętą rękę, a potem unosi ją do nosa i wącha.

– Joseph Hannah to znany łgarz. Nie powinniście mu wierzyć.

– Jeszcze nic mi nie powiedział. Nie chce ze mną rozmawiać, w tym cały szkopuł.

Zanadto się boi.

– Chłopaczysko słabuje na umyśle.

– Jak dobrze go znacie?

– Znam jego ojca, Fredericka Hannah – odpowiada Drax. – Znam też jego brata

Henry'ego.

– Tak czy inaczej, kapitan Brownlee postanowił, że sprawa jest zamknięta. Nie będzie dalszych działań, chyba że chłopak zmieni zdanie.

– Więc na tym się skończyło?

– Zapewne.

Drax uważnie mu się przygląda.

– Dlaczego postanowiliście zostać lekarzem, panie Sumner? – pyta. – Taki Irlandczyk z krwi i kości jak pan. Ciekawym.

– Ponieważ chciałem się wybić. Wznieść ponad moje niskie pochodzenie.

– Chcieliście się wybić, a wylądowaliście na yorkshirskim wielorybniku i troszcycie się o chłopców okrętowych... Zastanawia mnie, gdzie się podziały te wielkie ambicje.

Sumner opuszcza wieko apteczki i ją zamyka. Chowa klucz do kieszeni i szybko obrzuca wzrokiem swoje odbicie w lustrze ściennym. Wygląda na o wiele więcej niż swoje dwadzieścia siedem lat. Ma pobrużdżone czoło, worki pod podkrążonymi oczyma.

– Uprościłem je, panie Drax – odpowiada.

Drax stęka z uciechy. Jego usta rozciągają się w mimodramicznej wersji szerokiego uśmiechu.

– Sądzę, że zrobiłem to samo – mówi. – O tak, sądzą, że jak najbardziej.



Na Wody Północy wpływają w ostatnim tygodniu czerwca, a tuż przed świtem dnia następnego Black spostrzega ich pierwszego wieloryba. Sumner, wyrwany z marzeń sennych pokrzykiwaniami i łomotaniem obcasów o pokład, śledzi postępy łowów z wysoka, z bocianiego gniazda. Obserwuje, jak wbija się pierwszy harpun, a raniony wieloryb zstępuje pod wodę. Dwadzieścia minut później ponownie wypływa, bliżej statku, ale niemalże milę od miejsca, w którym po raz pierwszy się zanurzył. Harpun Blacka, widzi Sumner przez lunetę, wciąż zwisa z szerokiego boku, a krew rzęsiście chluszcze z ołowistej skóry.

Teraz najbliższej wieloryba znajduje się łódź Ottona. Wioślarze wciągają wiosła, a sternik, rumplując, miarowo posuwa ją do przodu. Otto kuca na dziobie z drzewcem harpuna mocno zaciśniętym w dłoniach. Z potężnym, przypominającym końskie parsknięciem, słyszalnym nawet w punkcie obserwacyjnym Sumnera, wieloryb wyrzuca fontannę szarawych wyziewów w kształcie litery V. Łódź i jej załoga zostają chwilowo przesłonięte, ale gdy ponownie się pojawiają, Otto stoi wyprostowany, a harpun, którego grot mierzy w dół, a drzewce tworzy czarną przeciwprostokątną na tle zachmurzonego nieba, dzierży w gotowości nad głową. Z bocianiego gniazda grzbiet wieloryba wygląda jak zatopiona wyspa: chropowaty, wulkaniczny, skalisty garb wyzierający spod fal. Otto ciska harpun z całych sił. Ten pogrąża się głęboko – aż po linkę łączącą drzewce z linką wielorybniczą – a zwierzę natychmiast się skręca. Jego ciało wygina się, wpada w konwulsje, ośmiostopowe płetwy gigantycznego ogona wyłaniają się z wody i trzaskają o nią ponownie. Łodzią Ottona miota szaleńczo, a wioślarze zostają wyrzuceni ze swoich miejsc. Wieloryb znowu znika pod powierzchnią, ale tym razem tylko na chwilę. Gdy się wyłania, pozostałe łodzie już czekają wokół niego – jest tam Cavendish, są Black i Drax. W czarnym boku wieloryba głęboko toną jeszcze dwa harpuny, a potem w ruch idą lance. Olbrzymi ssak wciąż jeszcze żyje, ale Sumner widzi, że powstałe uszkodzenia są nieodwracalne. Czterej harpunnicy przebijają i zgłębiają. Stworzenie, wciąż stawiając beznadziejny opór, wydmuchuje słup gorących oparów zmieszanych z krwią i śluzem, a biczowane i skrwawione wody wokół niego pienia się i kipią.

Drax w trakcie rozgorączkowanego zabijania mocno napiera na drzewce lancy i wyszeptuje szereg sprośnych czułości.

– Daj mi jeszcze ten ostatni jęk – mówi. – Tylko tyle, najdroższa. Jedno ostatnie drzenie, bym znalazł właściwe miejsce. O tak, moja słodka. Jeszcze cał i po wszystkim.

Pochyla się bardziej, dociska, szuka żywotnych organów. Lanca wsuwa się o kolejną stopę głębiej. Chwilę później wieloryb z ostatnim rykiem wystrzeliwuje strumień czystej krwi pochodzącej prosto z serca, a następnie przekręca się na bok bez życia. Jego wielka płetwa unosi się niczym flaga kapitulacji. Czerwoni, cuchnący, przemoczeni parującą, wykrztuszoną przez zwierzę posoką mężczyźni wstają w swych kruchych łodziach i wiwatują triumfalnie. Brownlee na pokładzie rufowym zatacza kółka uniesionym nad głowę melonikiem. Ci, którzy pozostali na statku, ryczą i podskakują. Obserwujący to wszystko z góry Sumner także odczuwa przelotny dreszcz zwycięstwa, wrażenie nagłego, współdzielonego awantazu, przezwyciężenia przeszkód i dokonanego postępu.

Wiercą w ognie dwie dziury i mocują ubitego wieloryba do dziobu łodzi Cavendisha. Wiążą z sobą płetwy, odzyskują i zwijają liny wielorybnicze, po czym zaczynają holować zewłok na statek. Wiosłując, śpiewają. Sumner, który zszedł już na pokład, słyszy ich dobiegające poprzez wodę głosy – melodyjne, szorstkie, niesione zimnym, wilgotnym wiatrem. *Randy Dandy*

*O, Leave Her, Johnny.* Trzy dziesiątki ludzi w unisonie. Ponownie odczuwa, tym razem niemal wbrew swej woli, że jest częścią czegoś większego i potężniejszego niż on sam, częścią wspólnego przedsięwzięcia. Odwracając się, spostrzega Josepha Hannah, który przy forluku wesoło rozmawia z innymi chłopcami okrętowymi. Odgrywiają niedawne uśmiercanie: rzucają wyimaginowanymi harpunami, wbijają wyimaginowane lance. Jeden jest Draxem, drugi – Ottonem, trzeci – Cavendishem.

– Jak się miewasz, Josephie? – pyta chłopaka.

Chłopiec spogląda na niego bez wyrazu, jak gdyby nigdy wcześniej się nie spotkali.

– Dobrze, panie – odpowiada. – Dziękuję.

– Wieczorem masz przyjść do mojej kajuty po kolejną tabletkę – przypomina mu Sumner. Chłopiec posępnie kiwa głową.

Sumner się zastanawia, jak Joseph wytłumaczył się kolegom z obrażeń. Zmyślił coś? Czy może znają prawdę? Uświadamia sobie, że pozostałych chłopców także powinien wypytać. Ich też należałoby przebadać. Co, jeśli doznali takich samych cierpień? Jeśli nie jest to wyłącznie sekret Josepha, ale tajemnica, którą między sobą dzielą?

– Wy dwaj – odzywa się, wskazując jego kolegów – po wieczery zjawicie się z Josephem w mojej kajucie. Chcę zadać wam kilka pytań.

– Mam wachtę, panie – odpowiada jeden z nich.

– Więc powiedz oficerowi, który ci ją przydzielił, że pan Sumner, lekarz okrętowy, poprosił o możliwość rozmowy z tobą. On zrozumie.

Chłopiec kiwa głową. Sumner widzi, że wszyscy trzej woleliby, żeby zostawił ich teraz samych. W głowach mają ciągle świeży obraz łowów, a jego głos jest głosem codziennej szarzyzny i władzy.

– Wracajcie do swoich uciech – mówi im. – Chcę widzieć waszą trójkę po wieczery.

Prawa płetwa wieloryba zostaje przywiązana do okrężnicy bakburty w ten sposób, że łeb zwrócony jest ku rufie. Martwe oko, nie większe od krowiego, ślepo wpatruje się w sunące po niebie chmury. Do czubka nosa i zadu przytwierdzone zostają mocne liny, a brzuch dźwiga się z wody dzięki podczepionemu do grotmasztu blokowi oraz linie zahaczonej w okolicy wielorybiego karku i napinanej przez braszpil. Brownlee, zmierzwszy długość zwłok sznurkiem z supłami, szacuje, że dostarczą im dziesięć ton oleju i pół tony – lub więcej – fiszbinu. Wartość rynkowa to prawie dziewięćset funtów, jeśli tylko ceny się utrzymają.

– Może się jeszcze, panie Sumner, wzbogacimy – mówi, puszczając oko.

Odпочąwszy i napiwszy się czegoś, Otto i Black mocują rzemykami żelazne raki do swoich marynarskich butów, by zwiększyć ich czepliwość, i opuszczają się po brzuchu wieloryba. Nożami o długich trzonkach wykrawają pasy sadła, wyrzynają fiszbin i szczęki. Odcinają ogon i płetwy, następnie usuwają wielokrążki z zadu oraz nosa i pozwalają cielsku, poharatanemu teraz i szkarłatnemu, zatonać pod własnym ciężarem albo stać się pastwą rekinów. Pozyskiwanie tłuszczu zajmuje w sumie cztery godziny i od początku do końca towarzyszy mu fetor łoju i krwi, a także niekończące się krakanie fulmarów i innych padlinożernych ptaków. Gdy jest już po wszystkim, gdy półcie wielorybiego tłuszczu zostają złożone w specjalnie wydzielonej części ładowni i czekają na umieszczenie w beczkach, gdy pokład zostaje wyszorowany do matowej bieli, a noże i przecinaki opłukane do czysta i odłożone na swoje miejsce, Brownlee nakazuje wydać każdemu marynarzowi dodatkową porcję rumu. Na tę wieść z kubryku dochodzą wiwaty, a także – niedługo później – szkockie skrzypkowanie oraz przytupywania i pokrzykiwania mężczyzn tańczących gigę.

Mimo wyraźnego polecenia ani Joseph Hannah, ani jego koledzy nie pojawiają się po wieczery w kajucie Sumnera. Lekarz rozważa, czy nie poszukać ich w kubryku, ale ostatecznie

się na to nie decyduje. Wszystko może poczekać do rana, poza tym – jeśli ma być szczerzy – prostacza głupota Josepha zaczyna go drażnić. Dochodzi do wniosku, że chłopak jest beznadziejnym przypadkiem: słabuje na umyśle, notorycznie kłamie, jeśli wierzyć Draxowi, i bez wątpienia jest podatny na wszelkiego rodzaju choroby genetyczne, dotyczące zarówno umysłu, jak i ciała. Dowody wskazują, że padł ofiarą przestępstwa, ale nie nazwie tego, kto go wykorzystał, nie przyzna nawet, że został wykorzystany – może zapomniał, kto to był, może było zbyt ciemno, żeby tego kogoś zobaczyć, a może wcale nie uważa tego za przestępstwo, tylko za coś zupełnie innego. Sumner usiłuje sobie wyobrazić, jak by to było zamieszkać w umyśle takiego chłopca, stara się pojąć, jakie to uczucie patrzeć na świat zapadniętymi, niespokojnymi wiewiórczymi oczyma Josepha Hannah, ale wysiłek ten wydaje się zarówno absurdalny, jak i odrobinę przerażający – niczym koszmar o przemianie w chmurę bądź drzewo. Drży lekko na myśl o podobnych Owidiuszowych metamorfozach, a potem z ulgą ponownie otwiera *Iliadę* i sięga do kieszeni żakietu po mosiężny klucz, który włada apteczką.

Następnego dnia zabijają i sprawiają kolejne dwa wieloryby. Ponieważ Sumner nie ma innego zajęcia, wręczają mu przypominające bosak drzewce zakończone hakiem i długi skórzany fartuch. Gdy pasy wielorybiego tłuszczu zostają już wtaszczone na statek i pokrojone na półcie o bokach długości stopy, nowym zadaniem lekarza jest przeciąganie ich z pokładu dziobowego do luku ładowni i zrzucanie pracującym na dole ludziom, którzy ułożą je wraz z poprzednimi, by czekały, aż przyjdzie pora na końcowe ich oczyszczenie i złożenie w beczkach. Brudząca to i wyczerpująca praca. Każdy blok sadła waży dwadzieścia lub więcej funtów, a pokład statku szybko robi się śliski od krwi i tłuszczu. Sumnerowi kilkakrotnie zdarza się pośliznąć, a przy jednej okazji wpadłby do ładowni, gdyby w porę nie uratował go Otto. U schyłku dnia jest posiniaczony i obolały, mimo to niecodziennie usatysfakcjonowany: odczuwa prymitywną fizyczną przyjemność, jaką daje wykonanie zadania, poddanie ciała testowi, który udało się zdać. Choć raz zasypia bez pomocy laudanum, a o poranku, mimo nieludzkiej sztywności barków, szyi i ramion, zdrowo śniada przy jęczmiennej owsiance i solonej rybie.

– Jeszcze zrobimy z was wielorybnika, panie Sumner – żartuje Cavendish, gdy siedzą w mesie, ćmiąc fajki i ogrzewając stopy przy piecyku. – Niektórzy lekarze są zbyt wydelikaceni, by zgodzić się na tachanie kawałów sadła, ale wy, powiedziałbym, spisaliście się na medal.

– Pozyskiwanie tłuszczu w dużym stopniu przypomina cięcie darni – odpowiada Sumner – a z tym jako dzieciak często miałem do czynienia.

– To wszystko wyjaśnia – uznaje Cavendish. – Macie to we krwi.

– Uważacie, że mam we krwi wielorybnictwo?

– Harówkę – wyjaśnia Cavendish. – Każdy Irlandczyk jest w głębi duszy robotnikiem. To jego prawdziwe powołanie.

Sumner spluwa do piecyka i słucha syku plwociny. Zdążył poznać Cavendisha na tyle, by nie brać sobie jego prześmiewek do serca, w dodatku tego ranka ma zbyt dobry nastrój, żeby podpuszczanie traktować poważnie.

– A mnie zastanawia, panie Cavendish, co jest prawdziwym powołaniem Anglika? – ripostuje. – Tuczenie się na cudzej pracy być może?

– Jedni rodzą się do roboty, inni – by się bogacić – odpowiada Cavendish.

– Rozumiem. A do których wy należycie?

Pełen samozadowolenia mat odchyła się na krześle i błyska różowawą dolną wargą.

– Och, mój dzień wkrótce nadejdzie, panie Sumner – oświadcza. – Powiedziałbym, że nawet prędzej niż później.

Poranek jest spokojny. Kolejnych wielorybów nie widać i czas do południa mija na szorowaniu pokładu, przewlekaniu lin i uzupełnianiu zaopatrzenia welbotów. Sumner, który nie widział Josepha Hannah ani z nim nie rozmawiał, od kiedy ten wyglądał się z kolegami przy forluku, postanawia chłopaka odszukać. Zauważywszy na pokładzie jednego z chłopców okrętowych, pyta go o miejsce pobytu Josepha.

– Powiedziano nam, że od teraz będzie sypiał na między-pokładzie – informuje go chłopiec. – Nie widziałem go od wczoraj.

Sumner zapuszcza się do rufowej części międzypokładu, gdzie znajduje lepki od brudu koc umieszczony między kufrem marynarskim a stertą powiązanych klepek, ale poza tym chłopca ani śladu. Wspina się z powrotem i rozgląda po otoczeniu. Sprawdziwszy, czy Joseph nie schował się za zapasowymi łodziami, braszpilem albo pokładówką, zagląda do kubryku. Niektórzy marynarze śpią w swoich kojach, inni siedzą na kufrach z dobytkiem i palą, czytają albo rzeźbią w drewnie.

– Szukam Josepha Hannah – woła. – Jest tam gdzieś?

Siedzący odwracają się ku niemu. Kręcą głowami.

– Nie widzieliśmy go – odpowiada jeden z nich. – Myśleliśmy, że jest z wami na rufie, panie Sumner.

– Ze mną?

– W kwaterach oficerów. No bo chory.

– A kto wam to powiedział?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– To wszystko, co żem słyszał – kończy.

Sumner, w którym zaczyna budzić się zniecierpliwienie, wraca do swojej kajuty i z zamiarem przeszukania ładowni wynosi z niej świeczkę (choć powód, dla którego chłopak miałby się chować tam na dole, wykracza poza jego możliwości pojmwania). Spostrzega Blacka, który wychodzi z kapitańskiej kajuty, niosąc mosiężny sekstans.

– Szukam Josepha Hannah – oznajmia mu. – Widzieliście go gdzieś?

– Tego z obolałą dupą? – upewnia się Black. – Nie, nie mogę powiedzieć, bym widział.

Sumner kręci głową i wzdycha.

– „Ochotnik” nie jest takim znowu wielkim okrętem. Dziwne, że chłopak tak łatwo na nim przepadł.

– Na statkach takich jak ten znajdziecie całą masę zakamarków – zauważa Black. – A on prawdopodobnie w jednym z nich tarł sobie pyłę. Na co jest wam potrzebny?

Sumner się waha, świadomy, że jego troska o stan pośladków Josepha Hannah stała się pośród oficerów czymś w rodzaju dowcipu.

– Mam dla niego zadanie – mówi.

Black kiwa głową.

– Cóż, nie kłopotcie się, nieza długo wylezie. Skończony z tego młodziaka symulant, ale pory wydawania posiłku nie przegapi.

– Może i macie rację – mruczy Sumner. Patrzy przez chwilę na świeczkę, a potem wsuwa ją do kieszeni żakietu. – Po co mam się kłopotać szukaniem kogoś, kto nie chce, żeby go znalezione?

– Są przecież inni chłopcy okrętowi – zgadza się z nim Black. – Zlećcie pracę któremuś z nich.

Skoro wciąż nie ma śladu wielorybów, a pogoda jest w miarę łagodna, Brownlee nakazuje

ludziom rozpoczęcie oczyszczania i pakowania tłuszczu do beczek. Refują żagle i zaczynają sztauowanie w głównej ładowni. Osiem lub dziesięć baryłek, uprzednio napełnionych wodą, by stanowiły balast, zostaje wyniesionych na pokład. Odsłania się w ten sposób najniższa warstwa beczek, ta na samym dnie, która pierwsza zostanie napełniona pociętym wielorybim sadłem. Mężczyźni na pokładzie przygotowują sprzęt potrzebny do oddzielenia sadła od mięśni i skóry oraz rozdrobnienia go na kawałki tak małe, by dały się wcisnąć w otwór szpuntowy beczki. Na ów sprzęt składają się: specjalna prostokątna skrzynia, na której otwartym wieku będą krojone polcie, płócienny rękaw, przez który, gdy wsuną go w otwór w dnie skrzyni, będzie można sprawnie spuszczać gotowe kawałki do ładowni, pnie do rąbania i noże. Sumner wypatruje Josepha Hannah – zakłada, że chłopak wypłoszony z kryjówki całym tym zamieszaniem wkrótce się pojawi.

– Gdzie też przepadł ten gówniarz Hannah?! – wykrzykuje Cavendish. – Trzeba zanieść kilka noży do na-ostrzenia!

– Zniknął – odpowiada Sumner. – Szukałem go dziś rano.

– To dopiero mała gnuśna pizda – sarka Cavendish. – Jak na niego trafię, pokażę mu, co naprawdę znaczy mieć obolałą dupę.

Beczki na pokładzie są po kolei opróżniane z wody za pomocą żelaznej pompy ręcznej. Za tę operację odpowiedzialny jest Otto: wkłada końcówkę pompy do otworu szpuntowego, osusza każdą beczkę, a potem wyciera ją do sucha. Służąca za balast woda, która rozchlapuje się na pokładzie i wylewa przez ławy wantowe, wydziela toksyczny siarkowaty smród, efekt długiego kontaktu z resztkami tłuszczu gnijącymi w beczkach po poprzednich rejsach. Pozostali mężczyźni wspinają się na takielunek, żeby uciec przed tymi wyciskającymi łzy z oczu wyziewami, ewentualnie w trakcie pracy przewiązują nosy chustami, ale białogęby Otto o szerokich barach, powolny i rozważny w każdym działaniu, wydaje się odporny na odstręczający fetor. Opróżniwszy cztery baryłki, odkrywa, że piąta jest uszkodzona. Czop częściowo się wgniółł i większość wody najwyraźniej już wyciekła. Otto woła bednarza i pyta, czy beczkę da się naprawić. Ów się pochyła, wyciąga kawałek uszkodzonego czopa i ogląda go.

– Przegnić nie przegnił – mówi (jednocześnie zasłania dłonią nozdrza). – Nie miał powodu pęknąć sam z siebie.

– Ale pękł – zauważa Otto.

Bednarz kiwa głową.

– Najlepiej ją rozwalić i zacząć od początku – ocenia.

Odrzuca rozszczerzone drewno, a potem zerka bez zainteresowania i oczekiwań do w połowie pustej beczki. W środku, niczym jakieś skłębione grzybiszcze wyrosłe wśród cuchnących produktów ładownianego rozkładu i nimi wykarmione, gniecie się zwinięte, na pół zanurzone w resztkach balastowej wody, okaleczone, martwe i nagie ciało chłopca okrętowego Josepha Hannah.

Znoszą zwłoki Hannah do mesy i układają na stole, żeby Sumner mógł je zbadać. Pomieszczenie jest zatłoczone, ale ciche. Sumner, który czuje żar oddechu pozostałych i ponurą intensywność ich skupienia, zastanawia się, czego konkretnie od niego oczekują. Przywrócenia chłopca do życia? To, że jest lekarzem, nie robi już żadnej różnicy. Jest równie bezradny i bezużyteczny, jak oni. Z drzeniem ujmuje bezwłosy podbródek Josepha i delikatnie go unosi, chcąc lepiej przyjrzeć się ciemnemu łańcuchowi sińców otaczającemu szyję chłopaka.

– Uduşony – mówi. – Kurwa, to przechodzi ludzkie pojęcie.

W pomieszczeniu rozlega się szmer aprobaty. Sumner, do pewnego stopnia niechętnie i z niejakim zawstyżeniem, odwraca chłopca na bok i rozwiera jego blade pośladki. Niektórzy z obecnych nachylają się, żeby popatrzeć.

– Tak samo czy gorzej? – pyta Brownlee.

– Gorzej.

– Kurwa.

Sumner zerka na Cavendisha, który odwrócił wzrok i szepcze coś do Draxa, po czym obraca chłopca i uciska mu żebra, żeby policzyć złamania. Otwiera dzieciakowi usta i zauważa, że brakuje w nich dwóch zębów.

– Kiedy to się stało? – wyszczekuje Brownlee. – I jak to, na miłość boską, możliwe, że nikt niczego nie zauważył?

– Ostatni raz widziałem chłopaka dwa dni temu – oznajmia Sumner. – Tuż przed pierwszym wycinaniem tłuszczu.

Słysząc wartki strumień niezrozumiałych słów, gdy reszta mężczyzn wspomina swoje ostatnie spotkanie z martwym. Brownlee uciska ich krzykiem.

– Nie wszyscy naraz! – woła. – Na Boga!...

Jest blady i wściekły. Wzburzony do głębi jestestwa. Nigdy nawet nie obilo mu się o uszy, żeby na wielorybniku popełniono morderstwo. Marynarze toczą ze sobą bójki, to oczywiste, zdarza się ich całe mnóstwo, w rzadkich sytuacjach dochodzi też do pchnięć nożem, ale nie do jawnego zadania śmierci. I nie zabija się d z i e c i. Bulwersujący to czyn, myśli, czyn odrażający i przyprawiający o mdłości. I musiało do tego dojść właśnie teraz, podczas jego ostatniego rejsu, jak gdyby „Percewał” nie wystarczył, żeby na zawsze okryć jego reputację cieniem. Sunie wzrokiem po dwudziestu czy trzydziestu ściśniętych w mesie członkach załogi – jeden w drugiego brudni, brodaci, o twarzach spalonych i poczerniałych od arktycznego słońca, z dłońmi złożonymi przed sobą jak do modlitwy bądź wbitymi w kieszenie. To dzieło Jacoba Baxtera, powiada sobie w duchu, tego niecnego skurwiela. Wszak to on dobrał tę załogę kretynów, on wprawił w ruch ten urągający naturze plan. On jest więc odpowiedzialny za fatalne konsekwencje, nie ja.

– Winny, kimkolwiek jest, wróci do Anglii w kajdanach i zawiesznie – obwieszcza, lustrując bezmyślne drgające twarze. – Macie moje słowo.

– Szubienica to dla takiego chuja za mało – mówi ktoś z załogi. – Wprzód trza by mu jajca urznąć. Rozgrzany do czerwoności pogrzebacz w dupę wsadzić.

– Wybatożyć by go – proponuje ktoś inny. – Wybatożyć do jebanej kości.

– Kimkolwiek jest, czymkolwiek jest, karę wyznaczmy mu prawo – odpowiada Brownlee. – Gdzie żaglomistrz?

Niemłody ponury mężczyzna o mętnych niebieskich oczach, mnący w dłoni czapkę

z bobrzego futra, występuje z gromady.

– Zaszyjcie chłopca w całun – nakazuje mu Brownlee. – Pochowamy go jak najrychlej.

Żaglomistrz kiwa głową i pociąga nosem.

– Reszta wracać do swoich obowiązków!

– Czyli do krojenia tłuszczu, kapitanie? – upewnia się Cavendish.

– W rzeczy samej. Ta potworność to żadna wymówka dla obijania się.

Mężczyźni potulnie kiwają głowami. Jeden z nich, niejaki Roberts, sternik welbota, unosi rękę na znak, że chciałby przemówić.

– Jakżeśmy sprawili pierwszego wieloryba, widziałem chłopca w kubryku – informuje. –

Słuchał skrzypka i przyglądał się ludziom tańczącym gigę.

– Prawda to – potwierdza inny marynarz. – I ja go tam widziałem.

– A ktoś widział Josepha Hannah później? – pyta Brownlee. – Widział go ktoś wczoraj?

Mówcież!

– Spał na międzypokładzie – rzuca ktoś. – Tak żeśmy wszyscy myśleli.

– Ktoś tutaj wie, co go spotkało – stwierdza Brownlee. – Statek nie jest aż taki duży, żeby dało się zabić chłopaka, nie robiąc hałasu albo nie zostawiając jakiegoś śladu.

Nikt nie odpowiada. Brownlee kręci głową.

– Znajdę tego, kto to zrobił, i dopilnuję, żeby bydlaka powieszono – oświadcza. – To pewne jak amen w pacierzu. Możecie na to liczyć. Zapraszam do mojej kajuty, panie Sumner – zwraca się do lekarza. – Teraz.

Już w kajucie kapitan siada, zdejmując kapelusz i zaczyna pocierać twarz nasadami dłoni. Gdy kończy, oblicze ma jasnoczerwone, a oczy – nabiegłe krwią i zażawione.

– Czy działał kierowany czystym złem, czy lękiem, że na jaw wyjdą jego perwersje, powiedzieć nie umiem – zaczyna Brownlee – ale ten, który dokonał na chłopcu aktu sodomii, jest również jego zabójcą. To raczej oczywiste.

– Zgadzam się.

– I nadal podejrzewacie Cavendisha?

Po chwili wahania Sumner kręci głową. Wie, że pierwszy oficer jest prostakiem, ale nabrał wątpliwości, czy może być zarazem mordercą.

– Mógł to zrobić każdy – przyznaje. – Skoro Hannah dwie noce temu spał na międzypokładzie, to prawie każdy członek załogi mógł do niego pójść, udusić go i znieść do ładowni bez większego ryzyka, że zostanie zauważony.

Brownlee się chmurzy.

– Zabrałem go z kubryku, żeby ułatwić mu życie, a tylko pomogłem w jego zamordowaniu.

– Był z niego w sumie dzieciak głupawy i pechowy – mówi Sumner.

– Fakt, kurwa, fakt.

Brownlee kiwa głową i nalewa im po szklance brandy. Sumner czuje się upokorzony, osłabiony tym kolejnym bulwersującym czynem, jak gdyby okrutna śmierć chłopca była elementem jego własnego konsekwentnego, długotrwałego karlenia. Prawa ręka mu drży, gdy upija alkoholu. Na zewnątrz pomieszczenia żaglomistrz, zaszywając chłopca w płócienną trumnę, pogwizduje *The Bonnie Boat*.

– Na pokładzie statku pozostało trzydziestu ośmiu mężczyzn wraz z podrostkami – mówi Brownlee. – Po odjęciu was i mnie, a także dwóch pozostałych chłopców okrętowych zostaje trzydziestu czterech chłopca. Jak już cały tłuszcz znajdzie się w beczkach, porozmawiam, jeśli będzie trzeba, z każdym z nich z osobna. Wyciągnę od nich, co wiedzą, co widzieli, słyszeli, co podejrzewają. Takie plugawe inklinacje nie rozwijają się w człowieku z dnia na dzień. Musiały

być jakieś oznaki, pogłoski, a w kubryku wrze od plotek jak w ulu.

– Ten człowiek, kimkolwiek się okaże, prawdopodobnie jest niepoczytalny – zauważa Sumner. – Nie ma innego wyjaśnienia. Musi być dotknięty jakąś chorobą lub uszkodzeniem mózgu.

Brownlee zgrzyta zębami. Przed udzieleniem odpowiedzi nalewa sobie kolejną brandy. Gdy wreszcie przemawia, głos ma niski i napięty.

– Jakąż to załogą pokarał mnie ten żydowski łajdak Baxter? – pyta. – Niekompetentna dzicz. Plugastwo i gówno kalające stocznie. Jestem wielorybnikiem, panie Sumner, ale to nie jest wielorybnictwo. Zapewniam was, że nie jest.

Praca nad tłuszczem wre do schyłku dnia. Gdy dobiega końca, a pełne beczki są już rozsztauowane, załoga chowa Josepha Hannah w morzu. Brownlee burczy nad ciałem jakieś stosowne wersy z Biblii, Black intonuje jakiś toporny hymn, który podejmują za nim inni, a obciążony przęsłem łańcucha kotwicznego płócienny całun zostaje wyrzucony za burtę i pochłonięty przez wychłodniałe fale.

Sumner nie ma ochoty na wieczerzę. Zamiast zjeść z innymi, udaje się na pokład – pospacerować, wypalić fajkę, zaczerpnąć świeżego powietrza. Niedźwiedziatko w drewnianej klatce powarkuje i kwili, żując łapę i bez przerwy się drapiąc. Obecnie futro ma zmatowiałe i skołtunione, cuchnie ekskrementami i tranem, a zmizerniało i wychudło tak, że przypomina charta. Sumner przynosi z kambuza garść okrętowych biskwitów, ostrożnie układa je na ostrzu noża do wykrawania tłuszczu i zsuwa przez metalowe okratowanie. Zostają pochłonięte w okamgnieniu. Niedźwiadek warczy, oblizuje pysk i uporczywie się w Sumnera wpatruje. On zaś stawia na pokładzie, mniej więcej stopę od baryłki, czarkę z wodą, a potem przesuwając ją czubkiem buta, aż naczynie znajduje się na tyle blisko, by mógł go dosięgnąć długi różowy język zwierzęcia. Stoi i obserwuje, jak mały pije. Otto, dowódca wachty, podchodzi i do niego dołącza.

– Po co zawracać sobie głowę chwytniem i więzieniem niedźwidzia, jeśli zamierza się go zwyczajnie zagłodzić na śmierć? – zastanawia się Sumner głośno.

– Jeżeli zostanie sprzedany, wszystkie pieniądze trafią do wdowy – wyjaśnia Otto. – Ale nie ma jej tutaj, żeby go karmiła, a Drax i Cavendish nie czują się zobligowani. Oczywiście moglibyśmy go uwolnić, lecz stracił matkę, a jest za młody, żeby samodzielnie przetrwać.

Sumner kiwa głową, podnosi pustą czarkę, napełnia ją ponownie, odstawia i popycha czubkiem buta. Niedźwiadek upija jeszcze trochę, potem przestaje i wycofuje się w głąb beczki.

– Jakie jest wasze zdanie o ostatnich wydarzeniach? – pyta Sumner. – Co wasz mistrz Swedenborg powiedziałby na taką potworność?

Otto przez chwilę wygląda uroczyście. Przed udzieleniem odpowiedzi głaszcze swoją rozrośniętą czarną brodę i kilkakrotnie kiwa głową.

– Powiedziałby, że ogromne zło jest nieobecnością dobra i że grzech jest odmianą zapominalstwa. Oddaliśmy się od Pana, ponieważ Pan nam na to pozwala. To nasza wolność, ale też i kara.

– A wy mu wierzycie?

– W co innego miałbym wierzyć?

Sumner wzrusza ramionami.

– Że grzech jest pamiętaniem – podsuwa. – Że dobro jest nieobecnością zła.

– Niektórzy oczywiście w to wierzą, ale gdyby tak przedstawiała się prawda, świat byłby chaosem, a wcale nim nie jest. Rozejrzyjcie się wokół, panie Sumner. Zamęt i tępota biorą się z nas. Nie umiemy się porozumieć, a jacyśmy próżni, jacy głupi! Budujemy ogromny stos, by się



przy nim ogrzać, a potem narzekamy, że ogień jest za gorący i zanadto szaleje, że oślepią nas dym.

– Ale jak to: zabić dziecko? – docieka Sumner. – Jaki w tym można znaleźć sens?

– Najważniejsze pytania to te, na które nie mamy nadziei odpowiedzieć słowami. Słowa są jak zabawki: cieszą nas i uczą do pewnego czasu, ale kiedy wchodzimy w wiek męski, powinniśmy je odrzucić.

Sumner protestuje ruchem głowy.

– Poza słowami nie dano nam nic – replikuje. – Jeśli z nich zrezygnujemy, nie będziemy lepsi od zwierząt.

Otto kwituje uśmiechem tę przekorę.

– Zatem sami musicie znaleźć wytłumaczenie – mówi. – O ile rzeczywiście tak myślicie.

Sumner pochyla się i przygląda osieroconemu niedźwiadkowi, który przysiadł w głębi beczki, dyszy i liże kałużę własnej uryny.

– Wolałbym w ogóle nie myśleć – odpowiada. – Nie wątpię, że byłoby i przyjemniej, i łatwiej. Ale wygląda na to, że nie umiem się powstrzymać.

Niedługo po pogrzebie Cavendish prosi Brownleego o rozmowę w kajucie kapitańskiej.

– Rozpytywałem – zagaja. – Cisnąłem i miałem drani, aż wyskoczyli z nazwiskiem.

– Jakim?

– McKendrick.

– Samuel McKendrick? Cieśla?

– Ten sam. Powiadają, że na łądzie widywano go w szynkach migdałowego się z niewieściuchami. No i powszechnie wiadomo, że jak na poprzedni sezon wielorybiczny zaciągnął się na pokład „Johna o’Gaunta”, to dzielił koję ze sternikiem welbota, niejakim Nesbetem.

– Tak na oczach wszystkich?

– Jak wam wiadomo, panie Brownlee, w kubryku jest ciemno, ale powiedzmy, że nocami słyhać było odgłosy. Pewne niemożliwe do pomylenia odgłosy, że się tak wyrażę.

– Sprowadźcie mi Samuela McKendricka – poleca Brownlee – i odszukajcie też Sumnera. Chcę, żeby lekarz wysłuchał, co nasz cieśla ma do powiedzenia.

McKendrick jest drobnym, nie zanadto zwawym człeczyną o bladej cerze. Brodę ma rzadką i żółtawą, nos równie cienki, jak niemal pozbawione warg usta, a jego wielkie uszy zaszły z zimna czerwienią.

– Jak dobrze znaliście Josepha Hannah? – pyta go Brownlee.

– Rzekłbym, że nie znałem go wcale.

– Przecież musieliście widywać go w kubryku.

– Widywać widywałem, ale się z nim nie bratał. W końcu był tylko chłopcem okrętowym.

– Nie przepadacie za chłopcami okrętowymi?

– Nieszczęśliwie.

– Jesteście żonaci, McKendrick? Czeka na was w domu małżonka?

– Nie, kapitanie, nie jestem i nie czeka.

– Ale jakaś kochaneczka zapewne?

McKendrick kręci głową.

– Może po prostu kobiety wam nie w smak? Czy taki jest powód?

– Nie, nie taki, panie kapitanie – oświadcza McKendrick. – Chodzi raczej o to, że nie

spotkał jeszcze kobiety, która by mi odpowiadała.

Cavendish prycha na takie dictum. Brownlee obraca się ku niemu, przelotnie piorunuje go wzrokiem i powraca do przesłuchania.

– Doszły mnie słuchy, że najlepiej czujecie się w męskiej kompanii. Tak powiadają. Prawdali to?

Mina McKendricka się nie zmienia. Cieśla nie sprawia wrażenia ani wystraszonego, ani oburzonego, ani też szczególnie zaskoczonego zarzucaną mu aberracją.

– Nie, panie kapitanie, nieprawda – odpowiada. – Taki sam ze mnie pies na baby jak z każdego na tym statku.

– Przed śmiercią Joseph Hannah padł ofiarą sodomii. Podejrzewam, że już o tym wiecie.

– Owszem, panie kapitanie, w kubryku na okrągło o tym rozprawiają.

– Zabiliście go, McKendrick?

McKendrick marszczy brwi, jakby pytanie nie miało najmniejszego sensu.

– Zabiliście czy nie?

– Nie, panie kapitanie, nie zabiłem – pada spokojna odpowiedź. – To nie mnie szukacie.

– Chuj łże przekonująco – odzywa się Cavendish – ale szóstka chłopów poświadczy, jak dobrze znany jest z sodomizowania pacholąt.

Brownlee patrzy na cieślę, który po raz pierwszy od początku przesłuchania jakby się nieco zaniepokoił.

– Nie wyjdzie wam na dobre, McKendrick, jeśli okaże się, że wszystko to łgarstwa – uprzedza Brownlee. – Czujcie się ostrzeżeni. Mnie zmiękczyć nie można.

McKendrick unosi głowę. Nim odpowiada, lustruje strop. Oczy ma szare i rozbiegane, a na jego wąskich ustach igra coś na kształt uśmiechu.

– Z młodziankami nigdy – zapewnia. – Młodziankowie nie są w moim guście.

Cavendish prycha drwiąco.

– Naprawdę mamy uwierzyć, żeście tacy wybredni w kwestii tego, na czyją dupę przypuszczacie szturm? Słyszałem, że po półkwarcie albo kwarcie whisky własnego dziadunia byście wyruchali.

– Nie chodzi tu o jakoweś szturmy – broni się McKendrick.

– Jesteście, kurwa, zakałą! – oświadcza Brownlee, dziobiąc palcem wskazującym w twarz cieśli. – Powiniennem kazać was wybatożyć niezależnie od tego, czy zamordowaliście, czy nie!

– Nikogom nie zamordował.

– Ale wydało się, że jesteście kłamcą – replikuje Brownlee. – Tośmy akurat jednoznacznie ustalili. A skoro kłamaliście w jednej sprawie, dlaczego nie mielibyście łąać w innej?

– Nikogom nie zamordował – powtarza McKendrick.

– Pozwólcie mi go pobieżnie zbadać, panie Brownlee – wtrąca Sumner. – Może coś wskaże, czy sprawy mają się tak, czy inaczej.

Brownlee sprawia wrażenie nieco zbitego z tropu.

– Niby co miałyby wskazać?

– Nie wiem, czy pamiętacie, ale chłopiec miał mnóstwo wrzodów około odbytnicy. Jeśli były weneryczne – co nader prawdopodobne – sprawca też mógł się ich nabawić. Może też mieć na penisie zadrapania lub otarcia. Dziecięcy tyłek jest w końcu raczej ciasny.

– Nie no, kurwa – rzuca Cavendish.

– Bardzo dobrze – mówi Brownlee. – Rozbierajcie się, McKendrick.

McKendrick się nie rusza.

– Zróbcie to – nakazuje Brownlee – albo, jak mi Bóg miły, my was rozdziejemy.

Niechętnie, powoli McKendrick się przed nimi rozbiera. Jego ręce i ramiona sprawiają wrażenie silnych, choć są kościste, a między ciemnoczerwonymi sutkami widnieje mała kudłata plama ciemnobrązowych włosów. Jak na tak drobnego i bezkrwistego mężczyznę, zauważa Sumner na początku badania, obdarzony jest niezwykle dużymi i barwnymi genitaliami. Jaja są ciężkie, ciemne i wahlliwe; reja, choć nie jakoś wyjątkowo długa, ma grubość psiego nosa, końcówka zaś jest szeroka i lśniąca niczym cynaderka.

– Żadnych widocznych szankrów – sprawozdaje Sumner – a także śladów otarć czy skaleczeń.

– A nuż użył garści smalcu, żeby łatwiej mu było wejść – podsuwa Cavendish. – Zbadaliście może dupę Hannah pod kątem nawilżenia?

– Zbadałem, ale nie było żadnych wartych wzmianki śladów.

Cavendish się uśmiecha.

– Mało co wam umyka, panie Sumner – zauważa. – Bóg mi świadkiem.

– Na ramionach i szyi także żadnych świeżych ranek ani zadrapań, które mogłyby świadczyć o walce – konkluduje Sumner. – Możecie się już ubrać, panie McKendrick.

McKendrick robi, co mu polecono. Brownlee obserwuje go w milczeniu, a potem nakazuje mu poczekać za drzwiami, w mesie, aż zostanie wezwany ponownie.

– To wasz morderca, macie go przed nosem – mówi Cavendish. – Jest winny, powiadam wam, nawet jeśli nie ma otartego chuja.

– Istnieje taka możliwość, ale nie mamy przekonującego dowodu – odpowiada Sumner.

– Sam przyznał się do sodomii. Jakich jeszcze dowodów wam trzeba?

– Przyznania się do winy – wyjaśnia Brownlee. – Ale jeśli się nie przyzna, i tak zamierzam go zakuć, niech zajmą się nim sędziowie, jak już wrócimy do portu.

– A jeżeli to nie on? – powątpiewa Sumner. – Jesteście ukontentowani, że prawdziwy morderca swobodnie kręci się po statku?

– Jak to nie McKendrick, to w takim razie, kurwa, kto? – pyta Cavendish. – Dokładnie ilu, waszym zdaniem, sodomitów upchnęliśmy na tym okręcie?

– Bardziej byłbym przekonany o jego winie, gdyby ktoś widział ich obu razem – odpowiada Sumner.

– Na razie zakujcie McKendricka w łańcuchy, Cavendish – decyduje Brownlee. – Potem dajcie znać załodze, że chcemy zamienić słowo z każdym, kto widział go rozmawiającego z Hannah bądź w jakikolwiek inny sposób poświęcającego chłopakowi uwagę. Sumner zapewne ma rację. Jeśli McKendrick jest winny, znajdzie się jakiś świadek.

W mesie oficerskiej Drax wsłuchuje się w konwersacje przy stole. Znowu rozmawiają o chłopcu, choć jest już martwy, choć już go nie ma. Dzisiejszego popołudnia owinęli jego ciało płótnem i przerzucili przez rufę. Widział, jak znika pod powierzchnią wody. Chłopak jest już niczym. Dosłownie niczym, ani ideą, ani nawet myślą, ale oni nadal o nim gadają. Nawijają bez ustanku. Bez ustanku. Jaki w tym, kurwa, cel? Drax żuje gotowaną wołowinę, pociąga z kubka głęboki łyk herbaty. Wołowina jest słono-gorzka, ale herbata słodka. Harpunnik ma na przedramieniu ślad po ugryzieniu, głęboki na pół cala, który pulsuje i swędzi. Wie, że szybciej i prościej byłoby podciąć dzieciakowi gardło, ale nie miał pod ręką noża. Nie planuje takich rzeczy. Po prostu działa, a każda czynność pozostaje odrębna i kompletna sama w sobie – ruchanie, zabijanie, sranie, jedzenie. Mogą zachodzić w najdowolniejszej kolejności. Żadna nie jest ważniejsza ani lepsza od innych. Drax unosi talerz do twarzy niczym zwierciadło i do czysta wylizuje go z sosu.

Słucha.

– To McKendrick – przekonuje Cavendish. – Pewnikiem to on. Potrafię rozpoznać mordercę. Ale Brownlee uważa, że potrzeba więcej dowodów.

Drax zna McKendricka. To słaby, zbabiasty, lękający się krwi człeczyna, który nie mógłby nikogo zabić, nawet gdyby włożył mu w dłoń pistolet, wycelować za niego i zaoferować, że samemu naciśnie się cyngiel.

– Dlaczego McKendrick? – pyta.

– Bo znany z niego sodomita. Każdej nocy uświadczysz go w stoczniovych szynkach, jak płaci za dupy i chichocze z innymi ciotami.

Drax kiwa głową. Zatem McKendrick go zastąpi, rozmyśla, zostanie kozłem ofiarnym, zadynda na sznurze, podczas gdy Drax będzie się przyglądał i bił brawo.

– Jakich to dowodów szuka Brownlee? – pyta.

– Chce mieć świadka. Kogoś, kto widział ich razem.

Drax ściera z brody okruchy, wydusza burkliwe pierdnięcie, a potem sięga do kieszeni po kapciuch tytoniu zwanego „murzyńską głową”.

– Ja widziałem ich razem.

Wszyscy na niego spoglądają.

– Kiedy? – pyta Sumner.

– Widziałem raz, jak późną nocą stali przy pokładówce. McKendrick mizdrzył się do chłopaka, gruchał do niego jak gołąbek, przebierał palcami po jego szyi, próbował dawać mu całuski. Młody chyba nie był tym zachwycony. Było to jakoś niedzielę temu.

Cavendish klaszcze w dłonie i wybucha śmiechem.

– To powinno załatwić sprawę – mówi.

– Czemuście wcześniej o tym nie wspomnieli? – pyta Sumner. – Byliście przy tym, jak kapitan pytał, cośmy widzieli.

– Pewnie wyleciało mi z głowy – tłumaczy Drax. – Jak sądzę, mój umysł nie dorównuje ostrością waszemu, panie Sumner. No wiecie, jestem z tych zapominalskich.

Sumner się w niego wpatruje, a Drax odpowiada mu spojrzeniem. Jest rozluźniony, sumienie go nie niepokoi. Aż za dobrze zna ludzi pokroju lekarza – przez cały boży dzień potrafią się spierać i zadawać pytania, ale za nic nie ośmielą się przejść do czynów. Domena Sumnera to słowa, nie działanie.

Udają się do kajuty Brownleego, gdzie Drax opowiada kapitanowi, czego był świadkiem. Brownlee każe sprowadzić z ładowni zakutego w kajdany McKendricka i poleca Draxowi powtórzyć przed więźniem słowo w słowo to, co mówił wcześniej.

– Widziałem, jak kładzie ręce na nieżyjącym już chłopcu – spokojnie stosuje się do polecenia Drax. – Próbował go całować i brał się za przytulanki. Koło pokładówki się to działo.

– Dlaczegoście uprzednio mi tego nie powiedzieli?

– Bom wtedy o tym nie pomyślał, ale kiedy wspomniano o McKendricku jako o mordercy, wszystko powróciło.

– Łgarstwo jak chuj – odzywa się McKendrick. – Ani razu chłopaka nie tknąłem.

– Com widział, tom widział – odpowiada Drax – i nikt mi nie powie, że było inaczej.

Odkrywa, że kłamanie przychodzi mu z łatwością. Oczywiście. Słowa są tylko wybrzmiewającymi w określonej kolejności dźwiękami, a on może je kształtować wedle własnej woli. Świnie chrumkają, kaczki kwaczą, a ludzie kłamią – taki jest, ogólnie biorąc, porządek rzeczy.

– Poprzysięgniecie, że tak było? – pyta go Brownlee. – Przed obliczem sądu?

– Na Pismo Święte – potwierdza Drax. – Owszem, poprzysięgnę.

– Zapiszę wasze zeznanie w dzienniku okrętowym, a wy opatrzycie je swoim znakiem – oświadcza Brownlee. – Zawsze lepiej mieć świadectwo na piśmie.

Dotychczasowy spokój McKendricka się ulotnił. Jego twarz, bladą i ściągniętą, pokryły plamy czerwieni, a on sam cały trząse się z furii.

– Nie ma w tym słowa prawdy! – protestuje. – Ani jednego słowa! To rzyganie łgarstwami!

– Nie mam powodu, żeby kłamać – mówi Drax. – Po co w ogóle miałbym zwracać sobie głowę?

Brownlee przenosi wzrok na Cavendisha.

– Były jakieś niesnaski między tymi dwoma? – pyta. – Są jakieś powody, by uznać tę opowieść za nieprawdziwą bądź wypływającą ze złych intencji?

– Ja o takich nie słyszałem – stwierdza Cavendish.

– Pływaliście razem uprzednio? – zadaje im pytanie Brownlee.

Drax kręci głową.

– Ledwie cieślę znam – odpowiada. – Ale widziałem przy pokładówce to, co widziałem. I mówię, jak było.

– Ale ja wiem, kim jesteście, panie Henry Draksie! – naciera McKendrick ostro. – Wiem, gdzieście byli i coście uczynili!

Drax pociąga nosem i kręci głową.

– Nic o mnie nie wiecie – ucina.

Brownlee spogląda na McKendricka.

– Jeśli zamierzacie kogoś oskarżyć, zróbcie to teraz – mówi – bo w przeciwnym razie mogę wam doradzić tylko jedno: zamknijcie jadaczkę i nie otwierajcie jej, dopóki sąd wam tego nie nakaze.

– Nie tknąłem tego chłopaka. Nie gustuję w chłopcach i cokolwiek robiłem z kompanami, nikt nigdy ani mnie w tej materii nie oskarżał, ani się na mnie nie skarżył. Ten tutaj człowiek, który rozpowiada o mnie kłamstwa, który najwyraźniej pragnie zaprowadzić mnie na szubienicę, ma na sumieniu o wiele gorsze, o wiele bardziej wynaturzone zbrodnie niż jakikolwiek mój czyn.

– Taką gadaniną tylko się pogrążacie – ostrzega go Cavendish.

– Nie da się, kurwa, pogrążyć głębiej niż w śmierć – odcina się McKendrick.

– O jakich to zbrodniach mówicie? – wtrąca się Sumner.

– Zapytajcie go, jak sobie poczynął na Markizach – odpowiada McKendrick, patrząc Draxowi prosto w oczy. – Zapytajcie, co tam pojadał.

– Rozumiecie go? – pyta Brownlee. – O czym on gada?

– Spędziłem trochę czasu wśród czarnuchów z Pacyfiku – wyjaśnia Drax – i nic więcej się za tym nie kryje. Zostały mi tatuaże, które wryli mi na plecach, a także kopalnia niezłych i dochodowych opowieści do popisywania się, to wszystko.

– Na czym byliście zaokrętowani? – chce wiedzieć Brownlee.

– Na „Laleczce” z New Bedford.

– Przedkładacie słowo kanibala nad słowo uczciwego, bogobojnego białego człowieka?!

– krzyczy McKendrick. – Postąpiłby tak jakikolwiek sędzia o zdrowych zmysłach?

Drax wybucha śmiechem na te słowa.

– Żaden, kurwa, ze mnie kanibal – oznajmia. – Nie zważajcie na te jego bzdety.

Brownlee kręci głową i pociąga nosem.

– Rzadko kiedy zdarza mi się słyszeć takie żałosne pierdolenie – podsumowuje. –

Zabierzcie mi to bezpieczne gówno pod pokład i przykucicie do grotmasztu, zanim, kurwa, stracę nad sobą panowanie.

Po wyprowadzeniu McKendricka Brownlee spisuje zeznanie Draxa w dzienniku okrętowym i każe mu postawić znak na potwierdzenie.

– Bez wątplenia będzie się po was oczekiwać zeznań przed sądem, gdy zacznie się proces McKendricka – mówi. – Dziennik też zostanie przedstawiony jako dowód. Prawnik McKendricka, jeśli cieślę stać na prawnika, będzie próbował oczernić wasze imię, jak sądzę. Takie sępy generalnie tym się zajmują. Ale jestem pewien, że sobie z nim poradzicie.

– Nie przepadam, jak się mnie oskarża albo mówi do mnie w taki sposób – odpowiada Drax. – Ani trochę nie przepadam.

– Słowo jednego sodomity nie będzie miało większej wagi, to pewne jak amen w pacierzu. Po prostu nie możecie ustąpić pola.

Drax kiwa głową.

– Jestem uczciwym człowiekiem – oświadczam. – Nie rozpowiadałbym czegoś, czego nie widziałem.

– Więc nie macie powodów do obaw.

Wieści o winie McKendricka rozchodzą się po statku błyskawicznie. Tym nielicznym, którzy uważają się za przyjaciół cieśli, trudno uwierzyć, że jest mordercą, ale ich wątpliwości szybko przewycięża zasięg i waga ogólnego przeświadczenia, że to musiał być on. Od drugiego przesłuchania u Brownleego McKendrick pozostaje skuty w dziobowej części ładowni, jada samotnie, sra i szcza do kubła, który raz dziennie opróżnia chłopiec okrętowy. Po upływie mniej więcej tygodnia jego status kryminalisty i zbrojnego gwałtownie wrasta w umysły załogi – ciężko im sobie teraz wyobrazić, że naprawdę był kiedyś jednym z nich. Pamiętają go jako odludka i dziwaka, zakładają też, że cokolwiek wydawało się w nim normalne, było tylko sprytną metodą maskowania głębiej skrywanych dewiacji. Co jakiś czas jeden albo dwóch ludzi udaje się do ładowni, żeby go wydrwić bądź wypytać o zbrodnię. Zastają go wówczas dziwnie nieskruszonego, zgorzkniałego, skonsternowanego, agresywnego, jak gdyby wciąż (nawet teraz!) nie zdawał sobie sprawy, co naprawdę uczynił.

Brownlee nie pragnie bardziej niczego nad powrót do zaplanowanego zajęcia, czyli rzezi wielorybów, ale na kilka następnych dni marynarzy osacza paskudna pogoda – rześisty deszcz, gęsta mgła – która uniemożliwia wypatrzenie zdobyczy i czyni połów niemożliwym. Nakryci kopułą lepkości i pomroki, otoczeni nią, prą na południe, mieląc w ciszy zupę luźnych płatów sryżowych i lodowej zawiesiny. Gdy kiepska aura wreszcie się rozchodzi, minęli już leżące na zachodzie Cieśninę Jonesa i przylądek Horsburgh, a w zasięgu ich wzroku znajduje się wejście do Pond's Bay. Brownlee cały rwie się, by kontynuować, ale lód morski, jak na tę porę roku nienaturalnie gęsty, zmusza ich do zwłoki. Obok nich cumują „Hastings”, a także „Połynia”, „Śmiałek” i „Władca Północy”. Ponieważ nie ma nic do roboty poza czekaniem, aż zmieni się wiatr, kapitanowie ochoczo przemieszczają się między pięcioma okrętami, jadają obiady u siebie w kajutach i spędzają czas na rozmowach, dysputach i wspominkach. Brownlee często i ze swadą opowiada o swoich dawnych losach: o barce węglowej, o „Percewalu”, o wszystkim, co zdarzyło się wcześniej. Nie wstydi się tego, kim był i co zrobił. Ludzie popełniają błędy, mówi słuchaczom, cierpią, ile muszą wycierpieć, ale najważniejsza jest gotowość.

– Więc jesteście gotowi? – rzuca Campbell od nie-chcienia.

Tym razem siedzą w kajucie Brownleego. Wyniesiono talerze i półmiski, a pozostali wrócili już na swoje statki. Campbell jest bystrym i rozumnym typem, do pewnego stopnia przyjacielskim, ale bywa także skryty i niekiedy się rządzi. W jego pytaniu kryje się odcień kpiny, uważa Brownlee, oczywista sugestia, że to jego, Campbella, rola w matactwach Baxtera jest istotniejsza.

– Podobno jeśli wszystko pójdzie dobrze, wy będziecie następni – oznajmia Brownlee. – Baxter powiedział mi to osobiście.

– Baxter uważa, że branża wielorybnicza jest skończona – mówi Campbell. – Chce teraz osiaść, kupić sobie jakąś skromną manufakturę.

– Aye, ale tutaj się myli. W morzach nadal roi się od ryb.

Campbell wzrusza ramionami. Ma zadarty nos, szerokie policzki i długie bokobrody, a wąskie usta wyginają mu się w prawie nieznikającym grymasie, przez który Brownlee czuje się nieswojo, bo odnosi wrażenie, że nawet gdy kapitan milczy i wydaje się pogrążony w myślach, to i tak zamierza coś powiedzieć.

– Gdybym miał skłonności do hazardu, Baxter byłby jedynym koniem, na którego chciałbym postawić trochę grosza. Nie wyklada się na wielu przeszkodach. Powiedziałbym

nawet, że bierze je gładko.

– Szczwany z niego skurwiel, tu się z wami zgodzę.

– Więc jak, jesteście gotowi?

– Zostało nam dość czasu, żeby ubić jeszcze kilka wielorybów. Nie musimy się spieszyć, zgadza się?

– W tej grze wieloryby to drobnica – przypomina mu Campbell. – A wam może się nie trafić wiele szans, żeby należycie „Ochotnika” zatopić i sprawić, by wszystko wyglądało tak, jak powinno. W końcu najważniejsze są pozory, nie zapominajcie o tym. Dokonacie tego w sposób zbyt oczywisty, a ubezpieczyciele zaczną zadawać pytania, czego nikt z nas nie chce. A już najmniej wy.

– Tego roku lodu w bród. Powinno pójść łatwo.

– Lepiej szybciej niż później. Zbyt długa zwłoka grozi, że sam znajdę się w potrzasku, i jak wtedy, kurwa, skończymy?

– Dajcie mi tydzień w Pond’s Bay – prosi Brownlee. – Jeszcze tylko tydzień, a potem poszukamy odpowiedniego miejsca, żeby porządnie go zakleszczyć.

– Tydzień ujdzie – zgadza się Campbell – ale potem, powiadam, wracajmy ku północy, ku Cieśninie Lancastera lub gdzieś w pobliże. Tam nikt się za nami nie uda. Znajdźcie sobie przytulny przesmyk nieopodal jakiegoś solidnego lodu przybrzeżnego i poczekacie, aż wiatr zniesie ku wam kry. A z tego, jak prezentuje się wasza załoga, wnoszę, że nie rzucą się, cwele, na pomoc.

– Zamiaruję zostawić tego cieślę tam, gdzie jest.

– Wypadki się zdarzają – przytakuje Campbell – a za kimś takim jak on raczej nikt nie będzie tęsknił.

– To jebane bezceństwo – rzuca Brownlee. – Słyszeliście kiedy o czymś podobnym? Dziewczynka to inna sprawa. Dziewczynkę na poły bym zrozumiał. Ale, kurwa, chłopiec okrętowy?! Nie, dobry Boże, nie. Powiadam wam, Campbell, w nikczemnych żyjemy czasach. Nikczemnych i wynaturzonych.

Campbell kiwa głową.

– Zaryzykowałbym stwierdzenie, że dobry Bóg nie spędza wiele czasu tutaj, na Wodach Północy – mówi z uśmiechem. – Najpewniej nie lubi chłodu.

Gdy lód się otwiera, wchodzi do zatoki, ale połowy są marne. Rzadko kiedy coś dostrzegają, a choć przy kilku okazjach spuszczają łodzie, wieloryby szybko znikają pod lodem i nie udaje się przystąpić do ataku. Brownlee zaczyna się zastanawiać, czy Baxter nie miał racji: może rzeczywiście zabili ich za dużo? Trudno mu uwierzyć, że bezkresne, obfite oceany mogły zostać tak szybko opróżnione, że takie kolosalne bestie mogły się okazać kruche jak skurwysyn, ale jeśli wieloryby wciąż tu są, z pewnością nauczyły się dobrze ukrywać. Po tygodniu zniechęcających porażek Brownlee godzi się z nieuniknionym, daje – jak było uzgodnione – sygnał Campbellowi i ogłasza ludziom, że wypływają z Pond’s Bay i kierują się na północ szukać szczęścia gdzie indziej.

Nawet z pomocą laudanum Sumner nie jest w stanie zasnąć na dłużej niż jedną, góra dwie godziny. Śmierć Josepha Hannah mu ciąży, wzburzyła go w sposób, którego nie może pojąć. Chciałby już o niej zapomnieć. Chciałby znaleźć ukojenie, jak najwyraźniej znaleźli je inni, w przekonaniu o winie McKendricka i nieuniknionej karze ostatecznej, ale okazał się do tego



wybitnie niezdolny. Nie dają mu spokoju wspomnienia martwego ciała chłopca ułożonego na politurowanym blacie, na którym wciąż co wieczór jadają wieczerzę, oraz stojącego w kapitańskiej kajucie nagiego McKendricka – zawstydzonego i pasywnego podczas oględzin. Oba ciała powinny być zgodne, myśli, powinny do siebie pasować jak bliźniacze kawałki układanki, ale jakkolwiek je w myślach obraca i przesuwają, nie potrafi złożyć ich w jedno.

Pewną późną nocą, jakieś dwie niedziele po aresztowaniu cieśli, gdy statek żegluję poprzez siedliska nurów i góry lodowe, Sumner schodzi do dziobowej części ładowni. McKendrick w swoim przydziałowym stroju leży w małej przestrzeni, którą przygotowano dla niego między przeróżnymi skrzyniami, pakunkami i beczkami. Nogi, wyciągnięte po obu stronach masztu, ma skute łańcuchem, ale ręce wolne. U jego boku stoją kubek z wodą i paląca się świeczka, a na cynowym talerzu zostały kawałki biskwita. Sumner czuje natarczywą woń kubła na nieczystości. Waha się przez chwilę, a następnie pochyla i potrząsa ramieniem śpiącego. McKendrick wolno się rozprostowuje, siada, opierając się plecami o skrzynię pakową, i spogląda obojętnie na swego najnowszego gościa.

– Jak wasze zdrowie? – pyta go Sumner. – Trzeba wam czego ode mnie?

McKendrick zaprzecza ruchem głowy.

– Na krzepkości mi nie zbywa, mimo wszystko – odpowiada. – Mniemam, że pożyję, póki nie zdecydują się mnie powiesić.

– Wiecie, że proces, jeśli do niego dojdzie, będzie dla was dogodniejszą okazją do przedstawienia argumentów. Jeszcze nic nie jest przesądzone.

– Ktoś taki jak ja nie może liczyć na wielu przyjaciół w angielskim sądzie, panie Sumner. Uczciwy ze mnie człek, ale lepiej nie wnikać za głęboko w moje życie.

– Powiedziałbym, że nie tylko wy tak czujecie.

– Prawda to, wszyscyśmy grzesznikami, ale za pewne grzechy karze się srożej niż za inne. Mordercą nie jestem i nigdy nie byłem, ale niejedno mam oblicze i za niektóre z nich zechcą mnie powiesić.

– Skoro wy nie jesteście mordercą, to jest nim ktoś inny na tym statku. Jeśli jest, jak twierdzicie, jeśli Drax kłamie, istnieje możliwość, że albo zabił chłopaka własnoręcznie, albo zna człowieka, który to uczynił, i usiłuje go ochronić. Pomyśleliście o tym?

McKendrick wzrusza ramionami. Po dwóch tygodniach w ładowni jego skóra przybrała szary odcień, a niebieskie oczy zapadły się i zmętniały. Drapie się po uchu, a wtedy łuszczy się i sfruwa na podłogę kawałek skóry.

– Pomyśleć żem pomyślał, ale co mi przyjdzie z oskarżania kogo, skoro nie mam ani dowodów, ani świadków?

Sumner wyjmując z kieszeni cynową flaszkę, podaje ją McKendrickowi, a gdy cieśla mu ją zwraca, też pociąga łyk.

– Tytoń mi się kończy – mówi McKendrick po chwili. – Gdybyście szczyptę odstawili, byłbym niezmiernie zobowiązany.

Sumner wręcza mu swój kapciuch z tytoniem. McKendrick sięga poń prawą ręką, zakleszczywszy uprzednio fajkę między dwoma środkowymi palcami lewej. Napętnia główkę zabezpieczonej na tę osobliwą modłę fajki i ugniata zawartość kciukiem.

– Macie jakiś kłopot z ręką? – pyta go Sumner.

– Tylko z kciukiem – pada odpowiedź. – Przed rokiem czy dwoma zmiażdżył mi go pewien zezol z młotem ciesielskim i od tamtej pory nie mogę nim poruszyć w żadną stronę nawet o ćwierć cala. W moim fachu to pewne utrudnienie, ale nauczyłem się brać na to poprawkę.

– Pokażcie.

McKendrick pochyla się i wyciąga lewą rękę. Palce wyglądają normalnie, jedynie staw

kciuka jest fatalnie zdeformowany, a sam kciuk wydaje się sztywny i obumarły.

– Czyli nie możecie tą ręką chwycić?

– Tylko czterema palcami. Miarkuję, że mi się poszczęściło, skoro spotkało to lewą.

– Spróbujcie złapać mnie za nadgarstek – poleca Sumner. – O, tak.

Podwija rękaw i wysuwa gołą rękę. McKendrick ją ujmuje.

– Ściśnijcie najmocniej, jak możecie.

– Właśnie ściskam.

Sumner czuje nacisk czterech palców wbijających się w ciało, ale nacisku kciuka – wcale.

– Na więcej was nie stać? – pyta. – Nie hamujcie się.

– Wcale się nie hamuję – upiera się McKendrick. – Mówię przecież, że dwa lata temu na pokładzie „Whit-by’ego”, kiedyśmy stali w doku i naprawiali pokrywę luku, człek walnął w kość mojego kciuka jebitnie wielkim młociskiem. Roztrzaskał ją niemalże w drebiezgi. A świadków tego akurat wydarzenia – wliczając w to samego kapitana – mam mnóstwo. Ochoczo potwierdzą na Biblię, jaki skończony to był głupiec.

Sumner każe mu puścić, po czym obciąga rękaw koszuli.

– Czemu nie powiedzieliście mi o uszkodzonej dłoni, kiedy was wtedy badałem?

– Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, o dłoń nie pytaliście.

– Jak moglibyście udusić chłopca, skoro stać was tylko na taki chwyt? Widzieliście sińce na jego szyi.

McKendrick milknie na chwilę i nagle zaczyna sprawiać wrażenie nieufnego, jakby wnioski wyciągane przez lekarza okrętowego były zanadto dalekosiężne i niosły ze sobą zbyt wiele nadziei, a przez to nie dawały się łatwo przyswoić.

– Widziałem je wystarczająco wyraźnie – potwierdza. – Miał sznur sińców dookoła całej szyi, a i owszem.

– A z przodu dwa duże. Pamiętacie je? Prawie jeden na drugim. Pomyślałem wtedy, że pozostawiły je kciuki mocno uciskające gardło.

– Wy też je zapamiętaliście?

– Doskonale – odpowiada Sumner. – Dwa wielkie sińce niczym dwie plamy z tuszu, jeden nad drugim.

– Ale ja już nie mam dwóch sprawnych kciuków – mówi McKendrick powoli. – To czym te sińce zrobiłem?

– Właśnie – przytakuje Sumner. – Muszę natychmiast porozmawiać z kapitanem. Kto wie, czy tamten człek z młotem ciesielskim nie ocalił waszej skóry.

Brownlee słucha argumentów Sumnera z gorącą nadzieją, że okażą się chybione. Nie ma najmniejszej ochoty uwalniać McKendricka. Cieśla idealnie nadaje się na winowajcę, a jeśli zostanie wypuszczony (bo najwyraźniej z jakichś tajemniczych, sobie tylko znanych powodów Sumner o taki finał zabiega), to na pokładzie nie ma nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce bez mnóstwa kłopotów i komplikacji.

– Kciuk nie kciuk, moim zdaniem taką chuderlawą cipę jak Hannah bez większych trudności można udusić jedną ręką – przekonuje. – McKendrick wysoki nie jest, ale na coś takiego siły by mu starczyło.

– Tyle że nie przy siniakach, które układają się w taki wzór jak na szyi Hannah. Bliźniacze ślady kciuków rzucały się w oczy jak słońeczko na niebie.

– Nie przypominam sobie żadnych takich śladów. Owszem, pamiętam, że sińców było sporo, ale nie urodził się jeszcze taki, co by określił, które powstały od których palców.

– Przed pogrzebem zrobiłem szkice obrażeń Hannah – zdradza Sumner. – Pomyślałem, że jeśli dojdzie do procesu, sąd może chcieć się z nimi zapoznać. Spójrzcie no tutaj.

Kładzie na stole przed kapitanem oprawny w skórę szkicownik i otwiera go na odpowiednich stronach.

– Rozumiecie już, o co mi chodziło? Dwa duże owalne sińce jeden nad drugim, o, tu i tu – wskazuje.

Brownlee się przygląda, drapie po nosie. Na jego twarz wypływa grymas niezadowolenia. Irytuje go skrupulatność lekarza. Jakiż miał interes w szkicowaniu tuszem ciała martwego chłopca?

– Dzieciak był już zaszyty w całun. To jakżeście go narysowali?

– Bez większego trudu. Kiedy wszyscy oczyszczali tłuszcz, poprosiłem żaglomistrza o poluzowanie szwów, a potem o ponowne ich ściągnięcie.

Brownlee przewraca kartki szkicownika. Widzi szczegółowo przedstawiony naderwany i owrzodzony odbyt chłopaka, a także opisany schemat jego połamanych żeber.

– Do dupy te dowody na waszych ślicznych obrazkach – mówi. – Widziano, jak McKendrick się do chłopca umizgiwał. Jest też znanym notorycznym sodomitą. Takie są niezaprzeczalne fakty. Cała reszta to domysły i fantazje.

– McKendrick ma nieuleczalnie uszkodzony lewy kciuk – naciska Sumner. – Fizycznie niemożliwe, żeby to on dokonał tej zbrodni.

– I jak tylko wrócimy do Anglii, możecie swobodnie wyrazić ten pogląd przed sędzią pokoju. Może przekonacie go skuteczniej niż mnie. Na razie jednak, dopóki znajdujemy się na morzu, a ja jestem kapitanem, McKendrick pozostanie tam, gdzie jest.

– Jak tylko dobijemy do wybrzeży Anglii, prawdziwy morderca zejdzie ze statku i zniknie nam z oczu. Zdajecie sobie z tego sprawę? Nigdy nie zostanie ujęty.

– Mam aresztować całą, kurwa, załogę pod zarzutem morderstwa? To mi zalecacie?

– Jeśli nie McKendrick, to chłopca najprawdopodobniej zabił Henry Drax. Nakłamał o cieśli, żeby ratować własną skórę.

– Słowo daję, panie Sumner, czytujecie za dużo groszowych sensacyjek.

– Pozwólcie przynajmniej, żebym zbadał Draxa tak samo jak McKendricka. Jeśli on zamordował, to ślady będą widoczne. Jeszcze nie jest za późno.

Brownlee wierci się w fotelu, ciągnie się za owłosiony płatek uszny i wzdycha. Choć

lekarz bez wątpienia jest irytujący, trudno jego uporu nie podziwiać. Chujek łatwo nie ustępuje.  
– Skoro nalegacie, to niech wam będzie – postanawia. – Ale jeśli Drax sprzeciwi się oględzinom, nie będę naciskać.

Wzwany Drax się nie sprzeciwia. Opuszcza przed nimi spodnie i stoi tak, szczerząc zęby w uśmiechu. Kajutę kapitańską wypełnia smród zastarzałego moczu i konserwowanego mięsa.

– Jeśli zaspokoi to wasze pragnienia – mówi Drax i kokieteryjnie puszcza do lekarza oczko.

Sumner, oddychając tylko przez usta, klęka i za po-mocą szkła powiększającego bada zwisającą parabolę Draxowego prącia.

– Odciągnijcie, proszę, napletek – mówi.

Drax spełnia prośbę. Sumner kiwa głową.

– Mandy macie – informuje.

– Aye, przewaźnie je mam. Ale chyba nie jest to jeszcze, panie Sumner, aż taka zbrodnia, żeby zadyndać?

Brownlee chichocze. Sumner kręci głową, a następnie wstaje.

– Żadnych widocznych szankrów – oświadcza. – A teraz pokażcie mi ręce. Obie.

Drax wykonuje polecenie. Sumner ogląda dłonie, po czym je odwraca. Są czarne i chropowate niczym bryłki surówki hutniczej.

– Jak widzę, rana na dłoni się wygoiła.

– To była błaħostka – odpowiada Drax. – Zwykle zadrapanie.

– I, jak zakładam, wszystkie człony działają sprawnie.

– Co działa sprawnie?!

– Palce. Kciuki.

– W rzeczy samej, chwalić Pana Boga.

– Zdejmijcie bosmankę i podwińcie rękawy.

– Nie dowierzacie, panie Sumner? – pyta Drax, wydobywając ramiona z kurtki i biorąc się do rozpinania gorsu. – Nie wierzycie w to, com widział przy pokładówce?

– McKendrick wam zaprzecza. Dobrze wiecie.

– Z tym że McKendrick jest sodomitą, a ile w sądzie warte jest słowo sodomity?

Powiedziałbym, że niewiele.

– Mam dobry powód, żeby mu wierzyć.

Drax kiwa głową i kontynuuje rozbieranie. Zdejmuje koszulę i flanelowe spodnie. Pierś ma szeroką, wydatną i porośniętą czarnym futrem, brzuch dumnie baniasty, a jego ramiona pokrywają szachownicowe zawijasy błękitnych tatuaży.

– Skoro wierzycie słowu tej pizdy McKendricka, to zapewne sobie ubzduraliście, że jestem kłamcą.

– Nie wiem, kim jesteście.

– Człowiekiem honoru, panie Sumner – wyjaśnia harpunnik, kładąc łagodny nacisk na słowo „honoru”, jakby honor sam w sobie był dziedziną zawilą i ezoteryczną, a Drax czerpał dumę z tego, że osiągnął w niej biegłość. – Tym właśnie jestem. Czynię swoją powinność i nie mam cienia powodu, żeby się tego wstydzić.

– Co przez to rozumiecie, Drax? – pyta Brownlee. – Sądzę, że wszyscy tutaj jesteśmy ludźmi honoru, przynajmniej jak na wymogi naszego fachu, który, co sami wiecie, do niewinnych nie należy.

– Pan doktor chyba za mną nadaża – odpowiada Drax. (Jest już całkiem nagi – grube kończyny, bokserska postura, żadnego wstydu. Twarz ma spaloną na brąz, ręce czarne od harówki, ale reszta jego skóry – tam, gdzie widać ją spod mierzw czarnych włosów i ornamentów

prymitywnych tatuaży – to czysta różowawa biel, jak u niemowlęcia). – W końcu starzy z nas kumple. Po tamtej słynnej nocy w Lerwick pomogłem mu trafić do kajuty. Zapewne nie pamiętacie, panie Sumner, bo szybkoście wtedy zasnęli, ale przed wyjściem dokładnie się z Cavendishem rozejrzeliśmy, by się upewnić, że wszystkie wasze osobiste rzeczy są bezpieczne i nienaruszone, jak powinny być. Nic uszkodzonego czy przestawionego.

Wpatrzony w Draxa Sumner od razu pojmuje. Przekopali jego kufer, znaleźli zwolnienie ze służby, znaleźli zdobyczny pierścień.

Brownlee przygląda mu się z ciekawością.

– Wiecie w ogóle, o czym on, kurwa, gada? – pyta.

Sumner kręci głową. Bezmyślnie obrzuca wzrokiem ramiona i tors Draxa. Oddycha przy tym ostrożnie, by ujarzmić wzburzenie duszy.

– Wątpicie we mnie jako lekarza? W moją wiedzę i kompetencje? – rzuca (nawet dla niego brzmi to niedorzecznie). – Odbyłem praktykę i mam certyfikaty z Queen's College w Belfaście!

Drax najpierw się uśmiecha, a po chwili wybucha śmiechem. Jego żółtawy kutas pęcznieje i zauważalnie się unosi.

– Wy macie wasz świstulinek, panie Sumner, a ja mam swój. Zastanawiam się, który z tych kawałków bardziej zaważy w angielskim sądzie. Nigdy nie nauczyłem się stawiania liter, więc nie mnie to oceniać, ale dobry prawnik na pewno wyrobi sobie zdanie.

– Mam dowody – odpowiada Sumner – więc to nie kwestia mojego zdania ani mej reputacji. Nie liczy się, kim jestem lub kim byłem.

– A jakież to dowody macie przeciwko mnie? – pyta Drax ostrzej. – Wyjawcież mi je.

– Nie oskarżamy was o żadne przestępstwo – wtrąca Brownlee. – Nie po to tu jesteśmy. Pamiętajcie, że McKendrick ciągle siedzi skuty w ładowni. Sumner po prostu docieka pewnych szczegółów tego bezeceństwa, nic ponadto.

Drax go ignoruje, nadal wpatruje się w Sumnera.

– Jakież to dowody macie przeciwko mnie? – powtarza. – Bo jeśli żadnych, to widzi mi się, że jesteśmy wy i ja przeciwko sobie. Moje solenne słowo, zaprzysiężone na Biblię, przeciw waszemu.

Sumner cofa się o krok i wbija ręce w kieszenie.

– Kłamiecie co do McKendricka – oświadcza – a ja doskonale o tym wiem.

Drax zwraca się do Brownleego i puka się palcem w ucho.

– Czy nasz lekarz okrętowy odrobinę niedosłyszysz, kapitanie? – pyta. – W kółko pytam go, kurwa, o to samo, a on ani be, ani me.

Brownlee gniewnie się krzywi, oblizuje usta. Zaczyna żałować, że zgodził się na prośbę Sumnera. Drax może i ma w sobie coś z dzikusa, ale to jeszcze nie powód, żeby oskarżać go o zamordowanie dziecka. Trudno się dziwić, że się wkurzył.

– Jakie mamy w tej sprawie dowody przeciwko Draxowi, Sumner? Zdradźcie nam je, proszę.

Sumner na chwilę opuszcza wzrok na podłogę między swoimi stopami, a następnie unosi go aż na ukośny szklany świetlik kajuty.

– Nie mam dowodów przeciwko Henry'emu Draxowi – przyznaje bezbarwnym głosem. – Najmniejszych.

– Wobec tego zakończmy tę niedorzeczność – postanawia Brownlee. – A wy się, kurwa, ubierzcie i wracajcie do roboty.

Drax przez dłuższą chwilę mierzy Sumnera pogardliwym spojrzeniem, aż wreszcie schyla się i podnosi z podłogi spodnie. Z jego rozważnych ruchów emanuje siła, a jego ciało, choć

śmierzące i krągłe, choć lepiące się i brudne w fałdach oraz załamaniach, i tak kryje w sobie jakąś upiorną lubieżność. Sumner patrzy, nie widząc. Myśli o apteczce i przechowywanych w niej niebiańskich rozkoszach. Myśli o Achajach, Trojanach, o wtrącaniu się Ateny i Aresa. Uprzytamnia sobie, że McKendrick niezawodnie zawiśnie. Ta zbrodnia wymaga złoicyńcy i do tej roli wyznaczono cieślę. Będzie dyndał i wierzgał na końcu sznura. Teraz już nie ma innego wyjścia, nie pojawi się Hera, by zerwać go z szafotu.

Drax się schyla, prostuje, wpycha stopy w nogawki spodni, naciąga spodnie na uda. Jego szerokie plecy i śmierdzący zad pokrywają łąty futra, a stopy w skarpetkach są małpie i kłodowate. Brownlee przygląda się niecierpliwie. Zdążył już zostawić za sobą tę karygodną zniewagę, krąży myślami wokół innych spraw. McKendrick zadynda za swój czyn i na tym koniec. Teraz liczy się tylko zatopienie okrętu, a nie jest łatwo przeprowadzić taką operację jak należy. Musi iść na dno wystarczająco wolno, żeby dało się uratować cały ładunek, ale nie aż tak wolno, żeby ktoś coś w ostatniej chwili naprawił. A nie ma sposobu, by uprzednio sprawdzić, jak zachowa się lód, w jak małej lub dużej odległości Campbell na „Hastingsie” będzie mógł wykonać wiarygodny manewr. W obecnych czasach ubezpieczyciele są wyczuleni na przeróżne szachrajstwa – jeżeli zwęszą spiszek, obskoczą w porcie członków załogi i zaczną proponować im nagrody za przydatne informacje. Jeśli nie odbędzie się to jak należy, Brownlee może skończyć w celi hullskiego więzienia, zamiast cieszyć się emeryturą i spacerami po nadbrzeżach Bridlington.

– Co to za rozcięcie na waszym ramieniu? – pyta Draxa. – Znowuście się zranili? Sumner pewnikiem da wam na to jakiś plaster, jeśli mile go poprosicie.

– Drobiazg – odpowiada Drax. – Ot, skaleczenie harpunem.

– Jak dla mnie wygląda na coś więcej niż drobiazg – nie zgadza się Brownlee.

Drax kręci głową i podnosi ze stołu bosmankę.

– Dajcie, obejrzę – odzywa się Sumner.

– To drobiazg – powtarza Drax.

– Mowa o waszym prawym ramieniu, które dla mnie zarabia, a ja stąd widzę, że opuchło i się z niego sączy – mówi Brownlee. – Jeśli nie będziecie w stanie cisnąć harpunem lub pociągnąć za wiosło, nie będę miał z was, kurwa, nijakiego pożytku. Natychmiast pokażcie je lekarzowi!

Po chwili wahania Drax unosi ramię.

Ranę, która znajduje się wysoko na przedramieniu, prawie przy łokciu, w połowie przesłaniają owłosienie i tusz. Jest wąska, ale głęboka, a ciało wokół niej poważnie napuchło. Gdy Sumner dotyka skóry, ta okazuje się napięta i rozpalona. Wokół i poniżej strupa narosła otoczka zielonej ropy, a sam strup jest lepki i niezasklepiiony.

– Zaropiałły obszar trzeba przeciąć lancetem, a pozostałości wyciągnąć za pomocą kataplazmu – oświadcza Sumner. – Czemuście wcześniej do mnie nie przyszli?

– Nie dokucz mi – wyjaśnia Drax. – To ledwie draś-nięcie.

Sumner udaje się do swojej kajuty i powraca z lancetem, który przez minutę podgrzewa nad płomieniem świeczki. Bierze kawałek szarpi, przyciska je do rany i robi krótkie cięcie lancetem. Wylewa się zielonoróżowa mieszanka krwi i ropy, która zaraz wsiąka w materiał opatrunkowy. Gdy Sumner dociska mocniej, z rany strzyka jeszcze więcej ohydny płynu. Drax stoi nieruchomy i cichy. Zaczerwieniona i opuchnięta skóra się wyrównała, ale pozostał jeszcze dziwny pojedynczy guzek.

– Coś tam utkwilo – mówi Sumner. – Zobaczcie.

Brownlee się zbliża i zerka lekarzowi przez ramię.

– Może drzazga – zgaduje – albo odłamek kości.

– Powiadacie, że zrobiliście to sobie harpunem? – upewnia się Sumner.

– Zgadza się – przytakuje Drax.

Sumner naciska guzek opuszką palca. Ten sunie pod skórą, a po chwili, biały i pokryty krwią, wyłania się z otwartej rany.

– Co to, kurwa, jest? – dziwi się Brownlee.

Sumner chwyta przedmiot przez namokłe szarpie i wyciera go do czysta. Wystarcza mu jeden rzut oka – już wie. Zerka przelotnie na Draxa, po czym pokazuje przedmiot Brownleemu. To dziecięcy ząb, blade i jakby ziarnisty, odłamany przy korzeniu.

Drax szarpnięciem uwalnia ramię. Spogląda na ząb, który wciąż znajduje się w ręce Sumnera, i przenosi wzrok na Brownleego.

– To coś nie jest moje – oświadcza.

– Tkwilo w waszej ręce.

– Jest nie moje.

– To dowód – mówi Sumner. – Ni mniej, ni więcej. I ten dowód wystarczy, żebyście skończyli na szubienicy.

– Nikt mnie nie powiesi – odparowuje Drax. – Prędzej wszyscy spotkamy się w piekle.

Brownlee podchodzi do drzwi, otwiera je i woła pierwszego oficera. Trzej mężczyźni czujnie patrzą sobie w oczy. Drax wciąż jest półnagi, ma obnażoną pierś, a koszulę i bosmankę dzierży w lewej ręce.

– I nikt mnie nie skuje łańcuchem – dorzuca. – A już na pewno nie takie dwie pizdy jak wy.

Brownlee raz jeszcze woła na Cavendisha. Drax rozgląda się po kajucie w poszukiwaniu jakiejś praktycznej broni. Na stole po swojej prawej ma miedziany sekstans, a na sosnowej półce na ścianie za jego plecami leżą luneta i ciężka fiszbinowa laska zwieńczona hebanową gałką. Jeszcze się nie rusza, jeszcze po nic nie sięga. Spokojnie wyczekuje dogodnej chwili.

Słyszą, jak Cavendish, któremu akompaniują łomoty i przekleństwa, schodzi z górnego pokładu i przemierza dolny. Gdy wchodzi do kabiny, a pozostali się ku niemu zwracają, Drax chwyta fiszbin i z impetem wali Brownleego prosto w czoło, tuż nad lewym oczodołem, roztrzaskując czaszkę. Bierze kolejny zamach, ale Cavendish chwyta go za rękę. Obaj mężczyźni przez chwilę siłują się w milczeniu. Gdy Drax upuszcza laskę, Cavendish po nią sięga, a wtedy harpunnik łapie go za włosy i mocno wbija mu kolano w twarz. Cavendish upada bokiem na pleciony dywan, jęcząc i śliniąc się krwią. Sumner ciągle tylko obserwuje, jeszcze się nie poruszył. Wciąż w jednej ręce trzyma lancet, a w drugiej – ząb martwego dziecka.

– Jaki w tym sens? – pyta. – Przecież stąd nie uciekniecie.

– Zaryzykuję z welbotem – odpowiada Drax. – Nie wrócę do Anglii, żeby mnie powiesili.

Podnosi fiszbin z podłogi i przez chwilę waży go w dłoni. Hebanowa gałka jest śliska od krwi Brownleego.

– Ale najprzód zabiorę wam ten ząb – dodaje.

Sumner kręci głową, daje krok przed siebie i odkłada lancet wraz z zębem na dzielący ich blat. Podnosi wzrok na świetlik, ale nikogo tam nie widzi. Zastanawia się, dlaczego Blacka nie ma na pokładzie rufowym, na którym zwykle przebywa. Gdzie się podział Otto?

– Nie dasz rady zabić nas wszystkich – mówi.

– Sądzę, że dam radę zabić wystarczająco wielu z was. A teraz się obróćcie.

Podkreśla rozkaz wymachem laski. Po chwili zwłoki Sumner wykonuje polecenie.

Wpatruje się w ciemne drewno boazerii ściennej, podczas gdy Drax naprędce się ubiera. W czubek czaszki, zastanawia się, czy w bok? Jedno uderzenie czy dwa? Możliwe, że jeśli teraz krzyknie, ktoś go usłyszy. Ale Sumner nie krzyczy. Zamyka oczy i wstrzymuje oddech. Czekaj,

aż spadnie śmiertelny cios.

Nieoczekiwanie za drzwiami słyhać szybki hałas, donośne głosy, a potem, gdy drzwi do kajuty gwałtownie się otwierają, nierzeczywisty ryk wystrzału ze śrutówki. Pył i fragmenty sufitu opadają kaskadą dookoła głowy Sumnera. Lekarz okręca się na pięcie i widzi w drzwiach Blacka, który celuje z dubeltówki prosto w pierś Draxa.

– Oddajcie kijaszek Sumnerowi. Ale już! – rozkazuje Black.

Drax ani drgnie. Dolna szczęka mu opadła, a jego język i zęby są połyskliwie widoczne.

– Mogę cię zabić na miejscu – mówi Black – albo odstrzelić ci jaja, żebyś się trochę powykrwawiał. Wedle życzenia.

Po krótkiej chwili Drax kiwa głową, uśmiecha się blado i przekazuje laskę Sumnerowi. Drugi oficer wchodzi do kajuty i obrzuca wzrokiem Brownleego i Cavendisha, nieprzytomnych i krwawiących na podłodze.

– Coś ty tu naodpierdalał? – pyta.

Drax wzrusza ramionami i opuszcza wzrok na ząb leżący na stole w tym samym miejscu, gdzie odłożył go lekarz.

– Ten tutaj ząb nie ma ze mną nic wspólnego – mówi. – Doktor wyciągnął mi go z ręki, ale skąd się w niej wziął, to nieprzenikniona tajemnica.



Przez cztery dni i noce Brownlee leży bez zmysłów na koi. Oczy ma otwarte, ale ledwie oddycha. Lewą stronę twarzy ma poczerniałą i zdeformowaną. Opuchlizna zatrzasnęła mu jedno oko. Z ucha sączą mu się nieznane płyny. Wysoko na czole, gdzie rozstąpiła się skóra, blado polśniewa kość. Według Sumnera kapitan najpewniej nie przeżyje, a jeśli nawet, to nigdy w pełni nie odzyska sprawności umysłowej. Lekarz wie z doświadczenia, że ludzki mózg nie toleruje tego typu obrażeń. W wypadku otwarcia czaszki sytuacja staje się niemal beznadziejna, podatność na urazy jest zbyt wielka. Sumner widywał podobne rany na polu bitwy, powstałe od szabel i szrapneli, kolb karabinowych i końskich kopyt – po utracie przytomności następuje katatonia, ranni od czasu do czasu drą się jak wariaci bądź szlochają jak dzieci, coś w nich (dusza? osobowość?) ulega pomieszaniu, zawróceniu, tracą rozeznanie w rzeczywistości. Generalnie lepiej, żeby umarli, niż trwali, zamieszkując szarawy półświat obłędu. Przynajmniej takie jest jego zdanie.

Cavendish ma fatalnie złamany nos i stracił kilka przednich zębów, ale poza tym jest taki jak zawsze. Krótko odchorowuje, sączą podawany łyżką wazową bulion i zażywając opium na ból, po czym dźwiga się i wraca do swoich obowiązków. Pewnego posępnego ranka, gdy chmury oblepiają horyzont, a w powietrzu unosi się zapach deszczu, zbiera ludzi na pokładzie dziobowym i wyjaśnia im, że dopóki Brownlee nie wydobrzeje, przejmuje dowodzenie nad „Ochotnikiem”. Zapewnia ich, że gdy już wrócą do Anglii, Henry Drax z całą pewnością zawiśnie za swoje mordercze i buntownicze występki, ale na razie, zakuty w mocne łańcuchy, przebywa w ładowni i niezdolny jest do dalszego czynienia zła. Nie odegra też żadnej roli podczas reszty rejsu.

– Być może zadajecie sobie pytanie, jakim cudem tego pokroju nikczemnik trafił pomiędzy nas – peroruje. – Nie mam na to prostej odpowiedzi. Zamydlił mi oczy jak każdemu z was. Spotkałem w życiu niejednego zбочzonego chuja o sparszywiałej duszy, ale wyznam wam, że żaden nie umywa się do Henry’ego Draxa. Gdyby ten oto szanowny pan Black postanowił wygarnąć z drugiej lufy w jego pierś, kiedy miał taką możliwość, osobiście zanadto nie roniłbym łez, ale w tej sytuacji zbój tkwi na dole w klatce niczym dzika bestia i nie ujrzy światła dziennego, dopóki ponownie nie zacumujemy w Hull.

Oszołomienie załogi po wydarzeniach w kajucie Brownleego ustępuje w końcu powszechnemu przekonaniu, że to sam rejs obłożony jest klątwą. Marynarze pamiętają makabryczne opowieści o „Percewalu”, o ludziach umierających, popadających w obłęd, pijących własną krew, by utrzymać się przy życiu, i zadają sobie pytanie, jak w ogóle mogli być tacy głupi, tacy nieroztropni, by zaokrętować się na statek dowodzony przez człowieka ogólnie znanego ze swego straszliwego pecha. Choć ładownie nawet w ćwierci nie zostały wypełnione wielorybim tłuszczem, nic nie uszczęśliwiłoby ich bardziej niż zawrócenie i pożeglowanie prościutko do domu. Boją się, że najgorsze dopiero przed nimi, i wolą wrócić z pustymi kieszeniami, ale wciąż dychający, niż spędzić wieczność pod lodową kołdrą Morza Baffina.

Według Blacka i Ottona, którzy nawet nie usiłują zachować swoich opinii dla siebie, zbyt późno wybrali się na te wody – większość wielorybów zdążyła już oddalić się na południe. Im dłużej będą błąkać się tu na północy, tym bardziej zagraża im lód. Obranie północnego kursu, powiadają, od początku było indywidualnym, osobliwym ekscentryzmem Brownleego, ale skoro Brownlee już nie dowodzi, najrozsądniej byłoby wrócić do Pond’s Bay wraz z resztą flotyli. Cavendish jednakowoż nie bierze pod uwagę ani przesądów załogi, ani sugestii pozostałych

oficerów. Nadal kierują się na północ, w czym towarzyszy im „Hastings”. Dwukrotnie widzą w oddali wieloryby i ruszają ku nim w welbotach, ale bez powodzenia. Gdy osiągają wejście do Cieśniny Lancastera, Cavendish spuszcza łódź i każe wiosłarzom zawieźć się na „Hastingsa” na naradę z Campbellem. Po powrocie, przy wieczerzy, ogłasza w mesie, że wpłyną do cieśniny, jak tylko w lodzie otworzy się odpowiednie przejście.

Black przestaje jeść i zagapia się na niego.

– Jeszcze nikt nie złowił w sierpniu wieloryba tak daleko na północy – mówi. –

Poczytajcie zapisy, jeśli mi nie dowie-rzacie. W najlepszym razie marnujemy tutaj czas, a jeżeli wejdziemy do cieśniny, wystawimy się też na ryzyko.

– Żeby zyskać, raz na jakiś czas trzeba zaryzykować – rzuca Cavendish niefrasobliwie. – Trochę więcej śmiałości, panie Black!

– Wchodzenie do Cieśniny Lancastera pod koniec sezonu to głupota, nie śmiałość – ripostuje Black. – Jest dla mnie zagadką, dlaczego Brownlee znów zabrał nas na północ, ale wiem, że gdyby tu był, nawet on by tego nie rozważał.

– Co Brownlee by zrobił lub czego nie zrobił, jest, powiedzmy, trudne do ustalenia, bo nie może się odezwać ani nawet ruszyć ręką, żeby dupę podtrzeć. A że teraz ja dowodzę, nie wy albo on – wskazuje ruchem głowy Ottona – to wychodzi, że będzie, jak mówię.

– Ten rejs dotknęło już wystarczająco wiele nieszczęść. Naprawdę chcecie powiększyć ich sumę?

– Pozwólcie, że coś wam o sobie opowiem. – Cavendish lekko się pochyla i zniża głos: – Nie param się wielorybnictwem – być może w przeciwieństwie do niektórych – dla świeżego powietrza, zachwycających morskich widoków ani nawet sympatycznego towarzystwa ludzi takich jak wy czy obecny tutaj pan Otto. Param się wielorybnictwem, żeby zarobić brzęcząca monetę, i zarobię ją każdym sposobem, jakim się da. Gdyby wasze poglądy szły w obieg w złocie i z wybitą głową królowej, może i poświęciłbym im odrobinę uwagi, ale ponieważ tak nie jest, to mam nadzieję, że nie poczujecie się zanadto urażeni, jeśli w ogóle ich, kurwa, nie zauważę.

Gdy dwa dni później Brownlee umiera, ubierają go w jego jedwabną bonzurkę, zaszywają w sztywny płócienny całun i na sosnowej desce niosą ciało do kosza rufowego. Siąpi kapuśniaczek, morze ma kolor pasty do butów, a niebo jest podwatowane chmurami. Załoga śpiewa *Rock of Ages* i *Nearer My God To Thee*, a Cavendish wie wszystkie przez poprzekęcane wersy *Modlitwy Pańskiej*. Głosy śpiewających i modlących się żałobników są słabe i niechętnie. Choć, koniec końców, uwierzywszy w jego pecha, przestali Brownleemu ufać, natura jego śmierci zadała poważny cios ogólnej pewności siebie. To, że Drax, którego uważali za godnego zaufania – a nawet podziwu – okazał się w rzeczywistości mordercą i sodomitą, a McKendrick, którego uważali za mordercę i sodomitę, okazał się niewinną ofiarą bezbożnych machinacji harpunnika, wywołało u ludzi z kubryka wewnętrzne rozdarcie i zwątpienie we własne siły. Tak niewiarygodne, radykalne zmiany sytuacji budzą w nich niepokój i wrażenie, że nie ma co liczyć na jakąkolwiek stałość. Świat jest wystarczająco bezwzględny i surowy. Nie trzeba im dodatkowego brzemienia moralnych zawilości.

Gdy ludzie się rozchodzą, u boku Sumnera pojawia się Otto i muska jego łokieć. Prowadzi lekarza naprzód, aż docierają do bukszprytu, gdzie spoglądają na ciemne morze, niskie szare chmury oraz odległą sylwetkę „Hastingsa”, oddzielonego od „Ochotnika” kilkoma swobodnie dryfującymi taflami lodu. Otto ma minę ponurą i ciężarną. Sumner wyczuwa, że chce się podzielić jakimiś nowymi wieściami.

– Cavendish nas wszystkich zabije – szepcze harpunnik. – Na własne oczy widziałem.

– Po śmierci Brownleego upadliście na duchu – stwierdza Sumner. – Dajcież Cavendishowi trochę czasu, a jeśli nie zobaczymy w cieśninie żadnych wielorybów, wrócimy do Pond’s Bay, zanim się obejrzycie.

– Wy akurat przetrwacie, ale jako jedyny. Reszta z nas utonie, skona z głodu albo sczeźnie na mrozie.

– Nonsens. Czemu wygadujecie takie rzeczy? Skąd możecie to wiedzieć?

– Sen – brzmi wyjaśnienie. – Zeszłonocny.

Sumner kręci głową.

– Sny to jedynie metoda sprzątania umysłu. Pewna forma oczyszczenia. Składają się z nieusuniętych resztek, niezdatnych do wykorzystania. Nie są niczym więcej niż stertą mentalnego gówna, wyprzedają idei z drugiej ręki. Ni w nich prawdy, ni proroctwa.

– Was zabije niedźwiedź, kiedy my już pomrzemy – ciągnie Otto. – Pożre, w jakowyś sposób połknie.

– Wasze lęki są zrozumiałe po tym, co się tu wydarzyło – odpowiada Sumner – ale nie mylcie ich z naszym przeznaczeniem. Najgorsze mamy już za sobą. Jesteśmy bezpieczni.

– Drax wciąż miewa się dobrze.

– Ale siedzi głęboko w ładowni przykuty do grotmasztu, ze spętanymi rękami i nogami. Nie może się uwolnić. Uspokójcie się.

– Doczesne ciało to tylko jedna z metod poruszania się po tym świecie. Żywy, tak naprawdę, jest duch.

– Uważacie, że w kimś takim jak Drax kryje się godny tego miana duch?

Otto kiwa głową. Wygląda, zresztą jak zwykle, na poważnego, przejętego i nieco zadziwionego naturą otaczającego go świata.

– Natknąłem się na jego ducha – opowiada. – Spotkałem go w innych sferach. Czasami przybiera formę mrocznego anioła, a kiedy indziej – magota.

– Dobry z was człek, Ottonie, ale pleciecie androny – oznajmia mu Sumner. – Teraz już nic nam nie grozi. Znajdźcie wewnętrzny spokój i zapomnijcie o tym pieprzonym śnie.

Do Cieśniny Lancastera wpływają nocą. Na południe od nich rozciągają się otwarte wody, ale od północy króluje ziarnisty, monotony pejzaż gładów lodowych i roztopowych sadzawek; te pierwsze miejscami do gładkości wyrzeźbił wiatr, ale gdzie indziej pod wpływem zmian pór roku oraz dynamizmów temperatury i pływów pozostały urwiste, chropowate, wypłukane ostrokrawędziste muldy. Sumner wstaje wcześniej i, jak weszło mu w nawyk, wynosi z kambuza wiadro obierek, chlebowych skórek oraz zeskrobanych z naczyń resztek. Zabiera też dużą metalową łyżkę i ukucnąwszy przy baryłce z niedźwiadkiem, dźga przez okratowanie porcją wystygłej, związanej tłuszczem masy. Miś węszy, pochłania jedzenie, po czym zajadłe gryzie pustą łyżkę. Sumner nią kręci, wyswobadza ją wreszcie, a potem karmi zwierzaka kolejną porcją. Gdy niedźwiadek opróżnia kubel, Sumner napełnia go wodą i pozwala zwierzęciu się napić. Dźwiga potem baryłkę do pozycji pionowej, odczepia metalową kratę i z ostrożnym pośpiechem, zrodzonym z praktyki i pamięci, że kilku wypadków ledwie udało mu się uniknąć, otacza szyję niedźwiadka sznurową pętlą, którą następnie zaciąga. Przechyla beczułkę i pozwala misiowi pomknąć na pokład. Czarne pazury kudłacza tną drewniane poszycie. Sumner mocuje koniec smyczy na pobliskiej knadze i płucze kubel wodą morską, za pomocą szczotki pozbywając się nagromadzonego niedźwiedziego gówna, które ucieka przez ławy wantowe.

Niedźwiadek, który ma wysoki zad o brudnożółtych bokach, ryczy, po czym sadowi się przy krawędzi luku. Z pewnej odległości popatruje na niego Katie, pies okrętowy, airedale

o łukowatych biodrach. Dzień w dzień teraz już od tygodni niedźwiedź i pies powtarzają podobną pantomimę czujności i zaciekawienia, zbliżeń i odwrotów. Ludzie lubią ten codzienny spektakl. Judzą zwierzęta, krzyczą na zachętę, szturchają je czubkami butów i bosaków. Airedale jest mniejszy, ale o wiele lżej się porusza. Gna przed siebie, sztywnieje na moment, zawraca i znowu odbiega, skomląc z przejęcia. Niedźwiadek, ciekawski i z pańska badający teren, kołysze się jego śladem, a łbem w kształcie klina, u szczytu czarnym jak wypalona zapalka, bada powietrze. Suka jest jednym wielkim podnieceniem i lękiem, jedną rozdygotaną baczością. Niedźwiedź – powolny, związany z podłożem, o ociążałych kończynach i łapach jak patelnie – porusza się, jakby atmosfera sama w sobie była przeszkodą, przez którą trzeba się cierpliwie przeciskać. Zbliżają się do siebie na stopę, nos przy nosie, czarne ślepiea zablokowane w pradawnej i bezsłownej konwokacji.

– Stawiam trzy pensiaiki na niedźwiedzia! – drze się ktoś.

Rozbawiony kuk, opierający się o nadproże drzwi do kambuza, ciska między zwierzęta kawał bekonu. Niedźwiedź i pies jednocześnie rzucają się na mięso i zderzają. Skulony i piszczący airedale wiruje po pokładzie jak bąk. Miś pochłania boczek i rozgląda się, czy nie ma więcej. Ludzie się śmieją. Sumner, który opierał się o grotmaszt, prostuje się, odplątuje smycz z knagi i szturcha niedźwiedzia włochatym końcem szczotki, by skierować go do uprzątniętej beczki. Zwierzak, zrozumiałwszy, co się dzieje, przez chwilę się opiera, obnaża kły, ale potem ulega. Sumner podciąga barylkę do pionu, na powrót mocuje kratę i znów kładzie beczkę na pokładzie.

Przez cały dzień z południa dmie miarowy wiatr. Niebo w górze jest bladoniebieskie, ale daleko na horyzoncie, nad górskimi szczytami zawisły chude pasma ciemnych chmur. Późnym popołudniem jakąś milę od lewej części dziobowej dostrzegają wieloryba i spuszczaają dwie łodzie. Obie szybko odbijają, a „Ochotnik” podąża za nimi. Cavendish obserwuje przebieg wydarzeń z pokładu rufowego. Ma na sobie tabaczkowe palto Brownleego i dzierży jego długą mosiężną lunetę. Co jakiś czas wykrzykuje komendę. Sumner widzi, jaką dziecinną przyjemność czerpie ze sprawowania władzy. Gdy łodzie docierają do wieloryba, okazuje się, że jest zdechły i już zaczął pęcznieć. Ludzie dają sygnał, żeby statek podpłynął i go podciągnął. Black, który dowodzi pierwszą łodzią, przeprowadza z Cavendishem krzyżowaną rozmowę o stanie ścierwa. Uznają, że mimo oznak gnicia i aktywności padlinożerców pozostało wystarczająco dużo tłuszczu, żeby zabrać się do jego pozyskiwania.

Mocują rozkładające się truchło wieloryba do okrężnicy, z której zwisa jak kolosalne, do cna przegniłe warzywo. Skórę ma sflaczałą, miejscami zaropiałą, a płetwy i ogon upstrzone są bladymi rakowatymi naroślami. Ci, których zadaniem jest kroić, noszą na twarzach zmoczone apaszki i dmuchają przeciw miazmatom mocnym tytoniem. Wykrawane przez nich półce tłuszczu są przebarwione i galaretowate, zdecydowanie bardziej brązowe niż różowe. Z rozmachem ciśnięte na pokład nie ociekają jak zwykle krwią, lecz jakimiś obrzydliwymi koagulatami barwy słomy niczym nieopisane odbytnicze wysięki ludzkich zwłok. Cavendish chodzi długimi krokami, wykrzykuje polecenia i ogólnie ludzi dopinguje. Ponad nim w smrodliwym powietrzu gromadzą się morskie ptaki, krążące i kakofoniczne, a poniżej, w splamionym tłuszczem wodzie, zwabione zmieszany zapachami rozkładu i krwi grenlandzkie rekiny gryzą i szarpią unoszące się swobodnie wielorybie otuliny.

– Daj tym rekinom raz czy dwa po czerepach! – woła Cavendish w dół do Walenia Jonesa. – Chyba nie chcemy, żeby zżarły nasze profity?

Jones kiwa głową. Z łodzi, z której zrobiono tymczasowy skład narzędzi harpunnicznych, bierze łopatkę do odkrajania sadła, czeka, aż któryś rekin podpłynie odpowiednio blisko, i dźga go ostrym końcem, otwierając w jego boku długie na stopę rozcięcie. Z rany natychmiast

wyślizguje się luźno spleciona girlanda różowych, czerwonych i purpurowych wnętrzości. Zraniony rekin rzuca się przez chwilę, a potem wygina łeb w tył i zaczyna gorliwie pożerać własne trzewia.

– Chryste, ależ z tych rekinów jebane bestie – komentuje Cavendish.

Jones wreszcie dobija zwierzę, drugi cios zadając w mózg, po czym tą samą szybką metodą likwiduje następne. Dwa szarozielone truchła, tępe i archaiczne, wypompowujące z siebie obłokowate szlaki krwi, przed zatonięciem zostają jeszcze bardziej pokiereszowane dzięki staraniom trzeciego, mniejszego osobnika, który porzuca je ogołoczone i postrzępione niczym ogryzki jabłek, a następnie umyka, zanim Jones ma szansę rozprawić się także z nim.

Gdy wycinanie tłuszczu jest w połowie skończone, oddzielają kolosalną zuchwę wieloryba i podnoszą ją na pokład, pozostawiając odsłoniętą jedną stronę czaszki. Otto na podobieństwo drwala atakującego zwalony dąb zabiera się do kości z siekierą i handszpakiem. Jest długa na niemal dwie stopy, a na krańcach, niczym lamperia, elegancko żłobkowana. Gdy oba jej boki zostają rozłączone, wielorybnicy zaczepiają specjalną kotwiczkę, odłamują górną szczękę w jednym nienaruszonym kawałku i za pomocą wielokrażka manewrują nią ostrożnie, aż zawisa nad pokładem jak namiot, a czarne pasy fiszbinu zwisają z niej niczym gigantyczne wąsy. Wówczas separują fiszbin od szczęki za pomocą łopatek i dzielą na mniejsze partie do sztautowania. To, co pozostaje z górnej szczęki, trafia do ładowni.

– Do Bożego Narodzenia kości tego zdechłego i obrzydliwego śmierdziela wtulą się w subtelnie wyperfumowany gorset jakiejś jeszcze nieprzeruchanej ślicznotki, tańczącej gay gordons w sali balowej na Strandzie. Od takiej myśli nieźle może zakręcić się w głowie, czyż nie, panie Black? – zagaduje Cavendish.

– Za każdym fragmentem słodko upachnionej kobiecej urody kryje się cały świat fetoru i chamstwa – zgadza się Black. – Szczęśliwy ten, kto potrafi zapomnieć o tej prawdzie albo udawać, że takowa nie istnieje.

Po kolejnej godzinie praca jest już niemal skończona, odcinają więc rozdętą i ohydnie cuchnącą tuszę i przyglądają się, jak odpływa, otoczona skrzeczącą chmurą mew i fulmarów. Balansujące na krawędzi zachodniego horyzontu wąskie arktyczne słońce rozjarza się i przygasa niczym rozżarzony chuchnięciem węgielek.

Tej nocy Sumner śpi spokojnie, a rano znów się podnosi, żeby nakarmić niedźwiedzia. Gdy kubeł na odpadki jest już pusty, lekarz zarzuca arkan na niedźwiedzią szyję i na czas mycia wiadra solidnie mocuje koniec sznura. Mimo że wiatr jest rześki, a pokład wyszorowano do czysta, unosi się jeszcze nad nim odór rozkładu po wczorajszym odtłuszczaniu. Zamiast usadowić się jak zwykle, niedźwiadek chodzi tam i z powrotem, węsząc w powietrzu. Gdy zbliża się suka, odwraca się od niej, a kiedy ta trąca go nosem, warczy na nią. Ona na trochę się oddala, kręci się chwilę przy drzwiach do kambuza, aż wreszcie wraca. Macha ogonem i podchodzi bliżej. Przez chwilę stoją, wpatrując się w siebie, a potem niedźwiadek się cofa, napina, unosi prawą przednią łapę, jednym płynnym ruchem zamiata swymi pierwotnymi pazurami i orze łopatkę psa. Aż do kości rozszarpuje ścięgna i mięśnie, przemieszcza też staw barkowy. Przyglądający się członek załogi pieje i wiwatuje. Suka koszmarnie wyje i szmyrga bokiem, bryzgając na pokład krwią. Niedźwiedź rzuca się za nią, ale Sumner chwytą sznurową smycz i odciąga go. Airedale skowyczy, z otwartej rany rytmicznie tryska krew. Kowal, obserwujący wszystko ze swojej kuźni, doбира ze stojaka ciężki młot, podchodzi do leżącej suki, trzęsącej się i szczącej pod siebie w kałużę krwi, po czym raz, ale za to mocno, uderza ją między uszami. Skowyt cichnie.

– Chcecie, cobym niedźwiedzia też ubił? – pyta kowal. – Nie miałbym nic naprzeciwno. Sumner kręci głową.

– Nie jest mój. Nie mnie o tym decydować – odpo-wiada.

Kowal wzrusza ramionami.

– Wy go dzień dnia karmicie, więc po mojemu jest tak samo wasz jak kogokolwiek innego.

Sumner opuszcza spojrzenie na niedźwiadka, który wciąż napręża koniec sznura, wciąż sapie, powarkuje i w prymitywnej, nieprzejednanej furii drapie pokład.

– Niech tam sobie krwiożercze bydlę żyje – posta-nawia.

Okolo południa wiatr gwałtownie zmienia kierunek z południowego na północny, a swobodne zbitki paku lodowego, które zapychały środek cieśniny, ale dotychczas nie stanowiły zagrożenia, zaczynają powoli się ku nim przesuwać. Cavendish cumuje okręt do południowego skraju rozległej kry przybrzeżnej i nakazuje ludziom wyciąć dla ochrony dok w lodzie, i to szybko. Gdy z ładowni zostaje wyniesiony sprzęt – wielkie piły, proch strzelniczy, liny i tyczki – ludzie przeskakują nad okrężnicą i opuszczają się na lód. Ich ciemne sylwetki mrowią się pilnie na nieskalanej powierzchni kry. Black odmierza krokami wymagane długość i szerokość doku, a następnie wbija w lód piki, by po każdej stronie wyznaczyć kąty i punkty środkowe. Do wykonania pierwszych długich cięć mężczyźni zostają podzieleni na dwie ekipy. Stawiają drewniane trójnogi z krążkami linowymi na wierzchołkach. Przez krążki przeciągają liny i do każdego końca mocują czternastostopowe, wykonane ze stali piły do lodu. Do każdej liny przydzielonych zostaje ośmiu mężczyzn, którzy będą wykonywać posuwiste cięcia w górę, a kolejnych czterech do drewnianych uchwytów, by ponownie ją opuszczać. Lód jest gruby na sześć stóp, a boki doku mają po dwieście stóp długości. Gdy dwa są już wycięte, wielorybnicy tną tak, by połączyć ich końce, a potem dalej od rogu do środkowego punktu po prawej ręce. Stamtąd wycinają kolejną ukośną linię, w przeciwnym kierunku, od punktu środkowego do krawędzi lodu. Po dwóch godzinach harówki i ostatnim poziomym cięciu kra jest podzielona na cztery niezależne trójkąty, każdy o wadze kilku ton. Mężczyźni pocą się i dyszą z wysiłku. Ich głowy parują niczym porcje puddingu na talerzach.

Cavendish obserwuje z pokładu rufowego ciągnący ku statkowi pak. Gdy tak nieustannie się zbliża, pchany wiatrem, wyłomy w nim się zasklepiają i to, co uprzednio było skupiskiem luźnej kry i odłamków, zmienia się w jednolite pole zestalonego lodu, sunące ku nim niedostrzegalnie, acz nieubłagane. W tle, niczym popękane, przeżarte zębem czasu posągi, mającą kolosalne błękitno-białe góry lodowe. Cieńszy lód u ich podstaw mnie się i drze jak papier. Cavendish, korzystając z mosiężnej lunety Brownleego, sprawdza pozycję „Hastingsa”, pociąga nosem, a potem zapala fajkę i spluwa przez reling.

Na lodzie Black wypycha ładunki prochu strzelniczego w najbliższe ukośne cięcie i podpala lont. Po kilku sekundach rozlega się głuchoe tąpnięcie, tryska wysoki słup wody, po nim zaś rozłożystsza kaskada strzaskanego lodu. Wielkie trójkątne bloki rozsuwają się i pękają, a mężczyźni z obu ekip wyciągają z doku ich kawały kotwiczkami na linach. Gdy już całkowicie oczyszczają go z lodu, wprowadzają weń statek – najpierw wciągają dziób za linę cumowniczą, a potem przesuwiają rufę, by okręt stał prosto. Cumują go do kry kotwicami lodowymi, a gdy praca jest skończona, z powrotem wspinają się na pokład, mokrzy i wyczerpani. Do pieców w kajutach dorzucone zostają garście węgla, wydana zostaje porcja grogu. Sumner, który pomagał przy cięciu, a teraz czuje się skonany i nieszczęśliwy, je w mesie obiadokolację, a po niej, zażywszy dozę laudanum, układa się w swojej kajucie, by odpocząć. Choć w miarę łatwo zapada w sen, co jakiś czas budzą go potężne zderzenia na polu lodowym, ogłuszające eksplozje spotykających się tafli. Myśli o artylerii, o piętnastofuntowych działach huczących na wzgórzu, o budzącym mdłości ryku pocisków i kul armatnich nad głową, aż w końcu wypycha uszy watą i upomina się, że okrętowi raczej nic nie grozi, że dok, dzieło ich rąk, jest mocny i bezpieczny.

O wczesnych godzinach poranka, kiedy wiatr jeszcze mocno dmie z północy, a luminescencyjne bezgwiazdne niebo jest plamą lilaróżu i purpury, ogromny róg doku rozpęka się pod naporem paku, a odłamany blok z impetem uderza w stewę rufową „Ochotnika”, pchając

go do przodu i w bok. Okręt zostaje zniesiony do krańca doku, a tam przy wtórze zawodzenia nadwerężanego i rozszczepiającego się drewna okrutnie dociśnięty do pola lodu przybrzeżnego przez napływający pak. Wręgi wyją, statkiem spazmatycznie rzuca w górę. Sumner, wyrwany z niezmaconego snu, słyszy powrzaskujących w luku zejściówki Cavendisha i Ottona. Gdy szamocze się z marynarskimi butami, czuje wstrząs i przemieszczenie statku. Deski pod jego stopami zaczynają drgać i rozchodzić się, książki i medykamenty sypią się z półek, a nadproże u szczytu drzwi się rozlatuje. Na pokładzie panuje chaos. Cavendish donośnie zarządza ewakuację. Welboty zostają opuszczone na lód, ludzie gorączkowo gromadzą zapasy i wyciągają z ładowni prowiant i sprzęt. Przez nadburcie przerzucane są kufry, toboły i materace, a beczki, staczane po trapie na krę, przechwytuje się i turla na bok. Pościel i materace trafiają na rozłożony na lodzie żagiel. Welboty wypełniają się żywnością, materiałem opałowym, strzelbami i amunicją, a potem, okryte impregnowanym brezentem, zostają odciągnięte na bezpieczną odległość od trzeszczącego statku. Cavendish wyrykuje komendy i przekleństwa, a także co jakiś czas przyłącza się do pracy – to kopnięciem pośle beczkę po pokładzie, to wyrzuci na lód worek z węglem. Sumner gania tam i z powrotem między okrętem a krą, ciągnie, dźwiga, zabiera, co mu dają, i zostawia to tam, gdzie mu kazano. W głowie ma zamęt. Dzięki urywanym konwersacjom z Blackiem i Ottonem zrozumiał, że znajdują się w groźnym położeniu: gdy lodowy dok pękł, statek najpewniej został przedziurawiony na dziobie bądź na rufie i obecnie tylko oddolny napór lodu nie pozwala mu do reszty zatonać.

Cavendish podnosi odwróconą banderę na znak, że potrzebują pomocy, a następnie poleca kowalowi zejść do dziobowej części ładowni i uwolnić Draxa z oków. Ogałającą kajutę kapitańską, schówek na chleb, pomieszczenie z linami, kambuz i przygotowują się do cięcia olinowania, jeśli zajdzie taka konieczność. Drax wyłania się spod pokładu z gołą głową, bez koszuli, ubrany w brudną bosmankę oraz znoszone brogany i silnie cuchnący szczykami. Kostki ma wolne, ale przeguby pozostały bezceremonialnie skute. Rozgląda się z pogardą dookoła i uśmiecha.

– Na moje oko nie ma powodu do takiej, kurwa, dziewczynskiej paniki – oznajmia. – Na dole w ładowni wody góra na dwie stopy.

Cavendish krótko i węzłowato każe mu iść się pierdolić, po czym odwraca się, by dalej nadzorować rozładunek.

– Byłem na dole, kiedy go ścisnęło – ciągnie Drax niezrażony. – Widziałem to na własne oczy. Wygiął się jak trzeba, bez dwóch zdań, ale nie pękł. Lód zaniedługo popuści, a wtedy możesz posłać tam McKendricka z uszczelniakiem. Wyrychtuje go jak się patrzy.

Po chwili namysłu Cavendish odsyła kowala na lód i zostaje na półpokładzie z samym tylko Draxem.

– Od teraz masz, kurwa, trzymać gębę na kłódkę – każe mu – albo z powrotem wpakuję cię tam, gdzie byłeś, i radź sobie sam.

– On nie tonie, Michaelu – odpowiada Drax spokojnie. – Choćbyś nie wiem jak tego pragnął, nie tonie. Masz moje słowo.

Trzy tygodnie w zimnych ciemnościach ładowni jakoś zauważalnie na niego nie wpłynęły. Po wyjściu na pokład wygląda na nietkniętego, nieosłabionego, jak gdyby uwięzienie było zaledwie koniecznym interludium, a teraz właściwa opowieść została wznowiona. Pokład pod jego stopami dygocze, a okręt jęczy i trzeszczy pod zgrzytliwym naporem lodu.

– Posłuchaj, jak skomle – mówi Cavendish. – Skrzypi i zawodzi jak dziwka za sześć pensów. Sądzisz, że długo to zniesie? Jeśli już nie został przedziurawiony.

– To porządna, silna łajba z podwójnym poszyciem, wzmocniona. Dziób ma osłonięty drewnianymi kłocami oraz zabezpieczony półcalowym żelazem, ma podpory pokładowe, no



i całą resztę. Jest stara, ale jara. Powiedziałbym, że wytrzyma jeszcze sporo, oj, sporo zgniatania.

Słońce, które nigdy do końca nie zachodzi, znów zaczyna się wznosić. Wydłużony cień statku rozlewa się na lodzie od strony bakburty. Na północy i południu pośniewają purpurowe wierzchołki dalekich gór. Cavendish zdejmuje czapkę, drapie się po głowie i spogląda na ludzi wciąż uwijających się na krze. Stawiają namioty na drzewcach, żerdziach i lizrejkach. Rozpalają ognie w żelaznych kagańcach.

– Jeśli nie zatonie teraz, zawsze mogę posłać go na dno później.

Drax kiwa głową.

– Prawda – przytakuje – ale nie będzie to wyglądało nawet w połowie tak dobrze.

Zbudowałeś, kurwa, dok lodowy!

Cavendish się uśmiecha.

– Wyjątkowy łut szczęścia, że pękł w ten sposób. Nie zdarza się to często, prawda?

– Ano nie. Wygląda też na to, że bezpiecznie wylądowałeś na lodzie brzegowym. Jeśli otworzy się przejście, Campbell z łatwością dociągnie się tu na cumie. Przy odrobinie szczęścia wystarczy ci jedno-, może dwumilowy spacer, żeby do niego dotrzeć. A wszyscy inni, jak podejrzewam, zakładają, że już po okręcie. Nie sprawią żadnych kłopotów.

Cavendish kiwa głową.

– „Ochotnik” z tego nie wyjdzie – mówi. – Nie może.

– Wyszędłby, gdybyś mu pozwolił, ale z jedną czy dwiema deskami wyrwanymi z dupy faktycznie nie da rady. Puść mnie na dół z siekierą na jakieś dziesięć minut i po sprawie. Z czym się tu pierdolić?

Cavendish uśmiecha się drwiąco.

– Zabiłeś Brownleego zwykłą laską. Naprawdę myślisz, że dam ci, kurwa, siekierę?

– Jeśli mi nie wierzysz, zejdź tam i sam się przekonaj – pada odpowiedź. – Zobaczysz, czy kłamię.

Cavendish oblizuje usta i przez chwilę spaceruje w kółko po pokładzie. Wiatr osłabł, ale powietrze wokół nich jest sztywne i mroźne. W dole, na krze, ludzie pokrzykują, a z otchłani statku wciąż dochodzą upiorne pojękiwania.

– Czemuś zabił chłopca? – pyta Cavendish. – Czemuś zabił Josepha Hannah? Jaka z tego korzyść?

– Mężczyzna nie zawsze ma na uwadze korzyści.

– A co ma na uwadze?

Drax wzrusza ramionami.

– Robię, co muszę. Nie wymaga to jakiegoś specjalnego główkowania.

Cavendish rzuca obrzydliwe przekleństwo i spogląda na bledniejące niebo nad nimi. Po kilku chwilach milczenia podchodzi do okrężnicy, skąd woła na chłopca okrętowego, żeby mu przyniósł siekierę i latarnię. Obaj mężczyźni schodzą na międzypokład i, już pod przewodnictwem Draxa, niżej, do dziobowej części ładowni. Powietrze jest wilgotne i dojmująco zimne; żółty blask latarni oświetla podporę pokładową, dźwigary, żebrowaną powierzchnię ułożonych jedna na drugiej beczek.

– Suchy, kurwa, jak pieprz – oznajmia Drax.

– Podnieś no kilka tych baryłek – każe mu Cavendish. – Dam głowę, że słyszę ciekącą wodę.

– Toż to za ledwie ciurkanie – odpowiada Drax.

Kuca, dźwiga beczkę, a po niej jeszcze jedną. Obaj mężczyźni nachylają się i spoglądają w dół, na okryte mrokiem zakrzywienie kadłuba. Woda pryska przez wyrwę między rozchylonymi belkami, z której wypadło uszczelnienie, ale nic nie wskazuje, że uszkodzenie jest

poważne.

– Kurwa – szepcze Cavendish. – Oż, kurwa. Jak to możliwe?

– Mówiłem ci – przypomina Drax – że porządnie się wygiął, ale pęknąć nie pękł.

Cavendish odkłada latarnię i siekiere. We dwóch zaczynają przestawiać kolejne beczki, aż wreszcie stają na najniższej warstwie, a większość belek dziobowego łuku sterburty zostaje odsłonięta.

– Nie zatonie, dopóki jej nie zmusisz, Michaelu – stwierdza Drax. – Tak już jest i tyle.

Cavendish kręci głową i sięga po siekiere.

– Na tym świecie nic, kurwa, nie jest proste – skarży się.

Drax cofa się, żeby stworzyć mu przestrzeń do zrobienia zamachu. Cavendish jednak przerywa i odwraca się ku niemu.

– Nie myśl sobie, że będę miał wobec ciebie jakieś zobowiązania – uprzedza. – Nie mogę cię uwolnić. Nie po Brownleem. Chłopiec okrętowy to jedno, już to było złe, bardzo złe. Ale żeby, kurwa, kapitana?

– Nie proszę o to – zarzeka się Drax. – Gdzieżbym sobie pozwolił.

– W takim razie o co?

– Proszę cię tylko – wolno odpowiada harpunnik – żebyś we właściwym czasie, o ile taki nadejdzie, mnie nie powściągał, nie stawał mi na drodze. Pozwól, żeby sprawy potoczyły się własnym biegiem.

Cavendish kiwa głową.

– Przymknę oko – mówi.

– Ten czas może nigdy nie nadejść. Mogę zawisnąć w Anglii za to, co zrobiłem, i to zasłużenie.

– Ale na wypadek, gdyby nadszedł...

– Aye, gdyby nadszedł.

– A co, kurwa, z moim nosem? – pyta Cavendish, pokazując palcem.

Drax się uśmiecha.

– I tak żaden był z ciebie Adonis, Michaelu – mówi. – Miarkuję, że niektórzy uznają to za poprawę.

– Masz, kurwa, niezłe jaja, skoro zwracasz się w ten sposób do kogoś z siekiere w ręce.

– Są jak para okazałych ziemniaków – potwierdza Drax beztrasko. – Jeśli masz ochotę, to nawet pozwolę ci je pogłaskać.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem, po czym Cavendish odwraca się z obrzydzeniem i robi zamach siekiere, której kute ostrze mocno wgrzyza się w i tak już osłabione belki osiem, dziewięć, dziesięć razy, aż wreszcie podwójne poszycie trzeszczy, wybrzusza się i zaczyna rozszczeniać do wewnątrz.

W ciągu dwóch godzin statek tak mocno wchodzi w przechył dziobowy, że bukszpryt płasko kładzie się na lodzie, a fokmaszt równiutko pęka na dwoje. Cavendish przydziela Blackowi grupę ludzi i posyła go na pokład, żeby ratował bomby, reje i olinowanie, a także ściał pozostałe maszty, zanim one również się połamią. Pozbawiony omasztowania, tylko z rufą wystającą nad spiętrzony wokoło lód, okręt sprawia wrażenie dupiastej i absurdalnej, zbabiałej karykatury tego, czym ongiś był, a Sumner usiłuje dociec, jak w ogóle mógł wierzyć, że ten kruchy zlepek drewna, gwoździ i lin mógł go przed czymś ustrzec bądź zapewnić mu bezpieczeństwo.

„Hastings”, ich środek ucieczki, stoi cztery mile na wschód, przycumowany do tafli lodu przybrzeżnego. Cavendish wypełnia mały płócienny chlebak biskwitami, tytoniem i rumem, zarzuca go na ramię i wyrusza na wyprawę przez lód. Wraca kilka godzin później, a choć wygląda na wycieńczonego i porusza się, jakby nie czuł stóp, to z pełną satysfakcją ogłasza, że kapitan Campbell zaoferował im schronienie i gościnę, wobec czego bezzwłocznie powinni zacząć transport ludzi i zasobów. Będą pracowali w trzech dwunastoosobowych brygadach, wyjaśnia, a welboty posłużą im za sanie. Dwie pierwsze grupy, jedna dowodzona przez Blacka, a druga przez Walenia Jonesa, wyruszą natychmiast, natomiast trzecia zaczeka przy wraku na ich powrót.

Sumner spędza popołudnie, śpiąc na materacu w prowizorycznym namiocie, nakryty matami i pledami. Przebudziwszy się, spostrzega, że nieopodal siedzi pilnowany przez kowala Drax z ciasno skutymi nadgarstkami i obiema nogami przywiązanymi do potrójnych krążków linowych. Nie widział harpunnika od śmiertelnej napaści w kajucie Brownleego; zaskakuje go nagłość i siła własnej odrazy.

– Nie strachajcie się, panie doktorze! – woła do niego Drax. – Nic szczególnie desperackiego nie zrobię obwieszony tymi drewnianymi bransoletkami.

Sumner odrzuca okrycia, podnosi się i podchodzi do niego.

– Jak wasza ręka? – pyta.

– A o którą rękę wam chodzi?

– O prawą. Tę, w której utkwiał ząb Josepha Hannah.

Drax zbywa pytanie potrząśnięciem głowy.

– To było tylko draśnięcie – mówi – a na mnie wszystko goi się jak na psie. Ale, wiecie, wciąż mnie przerasta, jak ten ząb się tam znalazł. Za nic nie umiem tego wyjaśnić.

– Więc nie czujecie skruchy za swoje czyny? Żadnego w was poczucia winy?

Dolna szczęka Draxa opada do połowy, a on sam marszczy nos i nim pociąga.

– Myśleliście, że zabiję was tam, w kajucie? Że roztrzaskam wam czaszkę jak Brownleemu? Tak sądziliście, prawda?

– A mieliście inne zamiary?

– Och, wiele nie zamierzałem. Bardziej działałem, niż myślę. Cały ja. Robię, co każą mi zapędy.

– Czyli sumienia nie macie?

– Wydarza się jedno, po nim następuje co innego. Dlaczego to pierwsze ma być ważniejsze od drugiego? Dlaczego drugie ma być ważniejsze od trzeciego? Powiedzcie mi.

– Ponieważ każdy czyn jest odrębny i różny. Niektóre są złe, niektóre zaś dobre.

Drax znów pociąga nosem i się drapie.

– To tylko słowa. Jak mnie powiesz, to dlatego, że mogą i że chcą to zrobić. Posłuchają własnych zapędów, jak ja słucham moich.

– Nie uznajecie więc żadnego autorytetu? Ni dobra, ni zła ponad wami?

Drax obnaża górne zęby w czymś na kształt uśmiechu.

– Tacy jak wy zadają podobne pytania dla własnej satysfakcji – powiada. – Chcą poczuć się bystrzejsi bądź czystszy od innych. A wcale tacy nie są.

– Naprawdę wierzycie, że wszyscy jesteśmy tacy jak wy? Jakże to możliwe? Czy jestem mordercą, jakim wyście się okazali? O to mnie oskarżacie?

– Tylem już widział zabijania, by naszyły mnie podejrzenia, że nie ja jeden to robię. Jestem człowiekiem jak każdy inny. Mniej więcej.

Sumner kręci głową.

– Nie – mówi. – Tego nie zaakceptuję.

– Dogadacie sobie tak samo, jak ja sobie dogadzam. Akceptujecie rzeczy, które wam odpowiadają, ale całej reszty już nie. Prawo to tylko nazwa, którą nadano temu, co woli pewien rodzaj ludzi.

Sumner czuje, jak za jego gałkami ocznymi narasta ból, jak w żołądku warzą się kwasowe nudności. Rozmowa z Draxem jest jak wołanie w najczarniejszą ciemność i oczekiwanie, że ciemność owa zrewanżuje się odpowiedzią.

– Nie sposób rozumnie dyskutować z takim człowiekiem jak wy – stwierdza.

Drax ponownie wzrusza ramionami i odwraca wzrok. Przed namiotem mężczyźni rozgrywają na śniegu ucieszoną partię krykieta – za kije służą im klepki beczek, a piłkę zrobili z foczej skóry i trocin.

– Czemu przechowujecie ten złoty pierścień? – pyta. – Czemu go nie sprzedacie?

– Przechowuję go na pamiątkę.

Drax kiwa głową, przesuwając językiem po ustach i dopiero wtedy odpowiada:

– Po mojemu mężczyznę, co to boi się samego siebie, trudno nazwać mężczyzną.

– Waszym zdaniem się boję? A z jakiego powodu miałbym się bać?

– Po tym, co się tam wydarzyło. Coście tam zrobili lub czegoście zaniechali. Mówicie, że pierścień chowacie na pamiątkę, ale to zupełnie nie tak. Bo to niemożliwość.

Sumner rusza w jego stronę, a Drax wstaje, żeby stawić mu czoło.

– E, hola! – woła kowal. – Siadaj, kurwa, z powrotem i stul pizdę. Z szacunkiem do pana Sumnera.

– W ogóle mnie nie znasz – mówi Sumner do Draxa. – Nie masz pojęcia, kim jestem.

Drax siada i posyła mu uśmiech.

– Jakoś szalenie dużo do poznawania to nie ma – stwierdza. – Mniej żeście skomplikowani, niż wam się wydaje. No, mało, bo mało, ale co tam można się było dowiedzieć, to już wiem całkiem dobrze.

Sumner wychodzi z namiotu i udaje się do jednego z welbotów, by sprawdzić, czy jego medykamenty i kufer marynarski zostały należycie zabezpieczone przed jutrzejszą podróżą po lodzie. Odczepia impregnowany brezent i lustruje upchane pod nim beczułki, skrzynki i zrolowaną pościel. Przesuwając przedmioty, zagląda w prześwity między nimi, ale nawet wtedy nie udaje mu się znaleźć tego, czego szukał. Ponownie naciąga brezent i już zamierza sprawdzić drugą łódź, kiedy woła go Cavendish, który stoi na stercie składającej się z takielunku i dwóch odrąbanych masztów. Obok niego leży śpiący w swojej beczce niedźwiadek.

– Zastrzelcie tego jebanego niedźwiedzia. – Cavendish wskazuje misia palcem. – Jeśli zajmiecie się tym od razu, zdążycie sięgnąć z niego skórę, nim o zaraniu wyruszymy.

– Czemu go nie zabrać? Na „Hastingsie” z pewnością znajdzie się dla niego miejsce.

Cavendish kręci głową.

– I bez niego mamy za dużo gąb do wykarmienia – odpowiada. – A ja na pewno nie każę ludziom wlec chuja cztery mile po lodzie. I tak mają co taszczyć. Bierzcie. – Wręcza Sumnerowi strzelbę. – Z chęcią sam bym to zrobił, ale doszły mnie słuchy, żeście bydlę polubili.

Sumner bierze strzelbę i kuca, żeby zajrzeć do beczki.

– Nie zastrzelę go, kiedy tak sobie śpi – oświadcza. – Zabiorę go o, tam, niech się wprzód trochę przejdzie.

– Zróbcie to, jak wam się żywnie podoba – przyzwala Cavendish. – Byleby go rano nie było.

Sumner mocuje sznur do kratownicy i z pomocą Ottona zaczyna przeciągać beczkę. Gdy ocenia, że znaleźli się wystarczająco daleko od skraju prowizorycznego obozu, przystają. Sumner zdejmuje zaczep, kopniakiem otwiera kratownicę i się wycofuje. Niedźwiadek bez pośpiechu wychodzi na lód. Jest niemal dwukrotnie większy niż wtedy, kiedy go schwytali. Zaokrąglił się, regularnie co rano dokarmiany przez Sumnera, a brudne niegdyś futro stało się lśniące i czyste. Mężczyźni obserwują, jak spaceruje, ciężkołapy, flegmatyczny, jak obwąchuje beczkę, a potem dwukrotnie szturcha ją pyskiem.

– Nawet jeśli go uwolnimy, zdany wyłącznie na siebie nie przeżyje – oznajmia Sumner Ottonowi. – Rozpuściłem go karmieniem. Nie będzie potrafił zapolować.

– Lepiej zastrzelić go na miejscu – zgadza się Otto. – Znam futrzarza w Hull, godziwie zapłaci wam za skórę.

Sumner ładuje strzelbę i mierzy. Niedźwiadek przystaje i obraca się, odsłaniając rozłożysty bok, jakby ofiarowywał się Sumnerowi jako najłatwiejszy możliwy cel.

– Tuż za uchem będzie najszybciej – podpowiada Otto.

Sumner kiwa głową, zacieśnia uchwyt na kolbie i gotuje się do oddania strzału.

Niedźwiadek odwraca się bez emocji, by na niego popatrzeć. Ta gruba biała szyja, te oczy jak granaty... Sumner zastanawia się przez chwilę, co zwierzak może sobie myśleć, i od razu żałuje, że to zrobił. Opuszcza strzelbę i przekazuje ją Ottonowi. Otto kiwa głową.

– Zwierzęta nie mają duszy – mówi. – Ale tak czy inaczej może zaistnieć jakaś miłość. Nie w swej najwyższej formie, ale zawsze.

– Po prostu go, kurwa, zastrzelcie – odpowiada Sumner.

Otto sprawdza strzelbę i opada na kolano, żeby pewniej przyłożyć się do strzału. Zanim jednak ma szansę wycelować, niedźwiadek, który jakby wyczuł, że zaszła jakaś istotna zmiana, sztywnieje nagle, okręca się ociężale i zaczyna biec. Jego szerokie walcowate nogi łomoczą na lodzie, a pazury wyrzucają w górę małe wachlarze sypkiego śniegu. Otto pospiesznie strzela do jego czmychającej zadniej części, ale chybia, a nim przeładowuje broń, niedźwiadek znika za grzbietem ciśnieniowym. Obaj mężczyźni rzucają się w pościg, lecz na lodzie nie są w stanie dorównać zwierzęciu szybkością. Wchodzą na szczyt wybrzuszenia i z nadzieją oddają kolejny strzał, ale odległość jest już za duża, a uciekinier porusza się zbyt szybko. Zostają więc tutaj, za plecami mając wrak, a przed sobą porośnięte lodem kordyliery, i obserwują rytmicznie galopującą białość, rozmywającą się stopniowo pośród rozleglejszej, bardziej statycznej bieli.

Tej nocy wiatr zmienia kierunek z północnego na zachodni i rozpętuje się wściekły sztorm. Zrywa z zamocowań jeden z prowizorycznych namiotów, wali się podtrzymujący go szkielet z rei i bomów, a mężczyźni ze środka, smagani lodowatymi podmuchami wiatru i śniegu, zmuszeni są gonić po lodzie oswobodzone, koziołkujące płótno. Kiedy w końcu zaczepia o lodowe spiętrzenie, z wysiłkiem ściągają je i wloką do obozu, zwijające się i łopoczące. Podczas wichury naprawa nie wchodzi w grę, mocują więc co się da sznurami i kotwicami lodowymi, a schronienia szukają w drugim namiocie. Sumner, który bez laudanum nie może

zasnąć, pomaga im taszczyć to, co zostało z ich przemoczonych posłań, i robi miejsce na podłożu. Ryk na zewnątrz przechodzi wszelkie wyobrażenie. Lód znów się przemieszcza; poprzez przesywający dyszkant wichury, poprzez trzaskanie i napinanie się płótna Sumner od czasu do czasu słyszy odgłosy potężnych zderzeń, gdy pak wędruje i się rozpęka.

Otto i Cavendish zdobywają się na odwagę, by wyjść i sprawdzić, czy welboty są należycie zabezpieczone. Powracają rozdygotani i w tumanach śniegu. Otulają się kocami i zbierają wokół nikłego ciepła, które daje ustawiony na ceglach pośrodku namiotu żelazny piecyk. Sumner związa się z boku w kłębek, naciąga czapkę na oczy i usiłuje zasnąć, ale bez rezultatu. Teraz już ma pewność, że apteczka zawierająca jego zapas opium została przedwcześnie zabrana na „Hastingsa”, że wraz z jego marynarskim kufrem pomyłkowo dołączono ją do zapasów transportowanych przez pierwszą grupę. Myśli, że jedną noc bez opium zniesie bez większych problemów, ale jeśli sztorm się utrzyma i zmusi ich do spędzenia na lodzie jeszcze jednej nocy, zacznie się odchorowywanie. Przeklina się w duchu, że nie zwracał należytej uwagi na to, co najniezbędniejsze, przeklina Jonesa, który powinien bardziej uważać, co pakuje do łodzi. Zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić, że przebywa gdzie indziej, nie w Delhi tym razem, ale w Belfaście, pije whisky w Kennedy’s, wiosłuje po Lagan albo ze Sweeneyem i Mulcaire’em pali w prosektorium tanią machorkę i gada o dziewczynach. Po jakimś czasie zapada w mętną, niespokojną drzemkę – nie w pełni zasypia, ale nie jest też w pełni świadomy. Pozostali mężczyźni roztapiają się w ciemności i krzepną w jedną chrapiącą masę za Sumnerem; gromadne ciepło ściśniętych ciał trzyma się ich krótko, po czym unosi się i rozprasza w chłodzie i wirującym powietrzu.

Po kolejnych kilku godzinach sztorm jakby się stabilizuje, osiąga stan równowagi, będący być może zwiaśtunem jego kresu, ale wtedy z potwornym trzaskiem sama kra, dokładnie ta jej część, na której śpią, wystrzela w górę. Wali się jedna z tyczek podtrzymujących namiot, a za nią przewraca się żelazny piecyk, siejąc rozżarzonymi do czerwoności węglami, od których zapalają się koce i bosmanki. Sumner, zdezorientowany, z pierśią ściśniętą trwogą, wzuwa buty i wypada w pomrokę na zewnątrz. Poprzez woal zacinającego śniegu dostrzega przy krawędzi kry niebieskawą górę lodową – ogromną, spękaną, pożłobioną wiatrem, sunącą w kierunku wschodnim niczym albinotyczne strome wzgórze odcumowane od pustynnego podłoża. Przemieszcza się w tempie żwawego spaceru, trąc przy tym bokiem o krę i pluąc lodowymi krami wielkości domu, jakby opiłki tryskały spomiędzy kłów tokarki. Taflą pod stopami Sumnera wstrząsają drgnienia, dwadzieścia jardów dalej tworzy się poszarpana szczelina, a lekarz zastanawia się przez chwilę, czy możliwe jest, że cały lodowy płaskowyż rozkruszy się od naprężeń i wszystko – namioty, welboty, ludzie – zsunie się do morza. W drugim namiocie nikogo już nie ma. Mężczyźni, którzy znajdowali się w środku, albo stoją zmartwiali jak Sumner, albo odpychają i odciągają welboty jak najdalej od krawędzi w rozpaczliwej próbie ocalenia ich przed niebezpieczeństwem. Obserwujący Sumner ma wrażenie, że widzi coś, czego człowiek oglądać nie powinien, że stał się mimowolnym świadkiem wyjawiania przerażającej, ale fundamentalnej prawdy.

Chaos jednak ustaje równie szybko, jak się rozpętał. Góra traci styczność z brzegiem kry, a wstrząsająca lodem kakofonia zderzeń ustępuje pola gasnącym zawodzeniom wichury oraz bluźnierstwom i przeklinaniu załogi. Sumner dopiero teraz zauważa, że śnieg zasypuje mu lewą stronę twarzy i gromadzi się na brodzie. Przez chwilę czuje się otulony, owinięty w kokon, przedziwnie odosobniony zaciekłością przyrody, jakby świat poza nim, ten prawdziwy świat, był czymś odrębnym i łatwym do zapomnienia, jak gdyby on i tylko on istniał pośród tej śnieżnej zawieruchy. Ktoś ciągnie go za ramię i odwraca. Sumner widzi, że drugi namiot stoi w ogniu. Wściekle płoną materace, pledy i kufrы marynarskie, a resztki płótna łopoczą na rwącym wietrze

i palą się jak beczka smoły. Niedobitki załogi patrzą na to z przerażeniem, a twarze ich rozjaśniają wysokie roztańczone płomienie. Cavendish, rozkopawszy żarzące się zgliszcza i skląwszy prześladowającego go pecha, woła, żeby schronili się w pozostałych welbotach. Pracując szybko, choć chaotycznie, opróżniają dwie łodzie, pakują się do środka niczym fracht i ciasno zaciągają na górze brezent. Powstała w ten sposób przestrzeń cuchnie i przypomina trumnę. Wewnątrz ledwie starcza powietrza, wdycha się je jak kwas, a światła nie ma w ogóle. Sumner leży na gołym, zimnym drewnie, a szeregi mężczyzn wokół niego głośno i z rozgoryczeniem rozmawiają o niekompetencji Cavendisha, niesłychanym braku szczęścia Brownleego i współdzielonym pragnieniu, żeby przede wszystkim i mimo wszystko cało i zdrowo wrócić do domu. Wyczerpany, bezsenny Sumner, którego zaczynają świerzbic mięśnie i organy wewnętrzne, wzburzone niezaspokojoną żądzą opium, ponownie usiłuje zapomnieć, gdzie się obecnie znajduje, wyobrazić sobie, że przebywa w innym, szczęśliwszym miejscu, ale bez powodzenia.

Nad ranem sztorm cichnie zupełnie. Dzień wstaje zimny i wilgotny, w górze wiszą szare chmury, a brzegi kry chowają się za matowymi pasmami mgły, które niczym powłoka z kwarcu kładą się na ciemnych obliczach widniejących za nimi odległych gór. Ludzie ściągają pokryty śniegiem brezent i wydostają się z welbotów. Spalone i poczerniałe fragmenty drugiego namiotu, a także większa część jego zawartości leżą przed nimi, porzucane bez ładu i składu na łodzie. Część drzewc, na pół zanurzonych w wodzie z roztopionego lodu, wciąż jeszcze się tli. Podczas gdy kuk pichci prymitywne śniadanie, pozostali grzebią w jeszcze ciepłych zgliszczach, poszukując rzeczy wciąż użytecznych i wartych zachowania. Między wielorybnikami przechadza się Cavendish, pogwizduje i sypie sprośnymi dowcipami. W lewej ręce trzyma emaliowany kubek parującego bulionu wołowego. Co jakiś czas schyla się jak dobrze wychowany przedpotopowy łowca i podnosi jeszcze nieostygłe ostrze noża bądź samotny obcas. Jak na człowieka, który właśnie był świadkiem zmiążdżenia własnego statku i którego o mały włos nie zabiła góra lodowa, a potem nocny ogień, wydaje się, myśli Sumner, niezwykle pogodny i beztroski.

Po jedzeniu ponownie ładują welboty, następnie stawiają jedyny ocalały namiot, obciążają jego brzegi beczkami z prowiantem, sadowią się w środku z kartami do gry i tytoniem fajkowym i czekają, aż Black, Jones i pozostali wrócą z „Hastingsa”. Po mniej więcej godzinie, gdy mgła się podnosi, uzbrojony w lunetę Cavendish wychodzi na zewnątrz, by sprawdzić, czy druga grupa już wraca. Po dłuższej chwili woła Ottona, a po chwili jeszcze dłuższej Otto woła Sumnera.

Cavendish wręcza lekarzowi lunetę i bez słowa wskazuje na wschód. Sumner ją rozsuwa i przykłada do oka. Spodziewa się ujrzeć w dali Blacka i Jonesa, ciągnących po łodzie wraz z resztą załogi cztery puste welboty, ale właściwie w ogóle nic nie widzi. Opuszcza lunetę, zmrużonymi oczyma patrzy w odległą pustkę, po czym jeszcze raz unosi przyrząd i przezeń spogląda.

– No to gdzie oni są?

Cavendish klnie i zaczyna ze złością pocierać się po karku. Jego wcześniejsze opanowanie i dobry humor zniknęły bez śladu. Pobladł, usta ma zaciśnięte, oczy – szeroko otwarte. Ciężko oddycha przez nos.

– „Hastings” zniknął – oznajmia Otto.

– Zniknął gdzie?

– Najpewniej nocą wpłynął w pak, żeby uniknąć gór lodowych – rzuca Cavendish ostro. –

Ot, i cała tajemnica. Wkrótce znajdzie drogę powrotną do krawędzi kry. Campbell wie dokładnie, gdzie jesteśmy. Musimy jedynie na niego czekać. Wykazać się odrobiną wiary i, kurwa, cierpliwości.

Sumner znów spogląda przez lunetę i znów widzi tylko niebo i lód. Przenosi wzrok na Ottona.

– Dlaczego statek miałby podnosić kotwicę w samym środku sztormu? – pyta. – Nie byłby bezpieczniejszy na miejscu?

– Gdy zbliża się góra lodowa, kapitan podejmuje decyzje konieczne do ocalenia statku – wyjaśnia Otto.

– Właśnie – wtóruje mu Cavendish. – Robi, co trzeba zrobić.

– Jak długo możemy tu czekać?

– To zależy – odpowiada Cavendish. – Jeśli znajdzie otwartą wodę, może wróci i dziś.

Jeśli nie... – Wzrusza ramionami.

– Nie mam mojej apteczki – mówi Sumner. – Już ją zabrano.

– Ktoś jest chory?

– Nie, jeszcze nie.

– Zatem, na mój rozum, jest to najmniejsze z naszych zmartwień.

Sumner wspomina, jak przez szary woal młocącego śniegu patrzył na górę lodową – wysoką na wiele pięter i niepokalaną, płynnie i niepowstrzymanie sunącą przed siebie z beztarciową stałością planety.

– „Hastings” mógł zatonać – uświadamia sobie. – O to wam chodzi?

– Nie zatonał – przekonuje Cavendish.

– Są jakieś inne statki, które mogłyby przyplłynąć nam na ratunek?

Otto kręci głową.

– Nie dość blisko. Sezon się kończy, a my znajdujemy się za daleko na północ. Większa część flotylii zdążyła już opuścić Pond's Bay.

– Nie zatonał – powtarza Cavendish. – Jest gdzieś w cieśninie i tyle. Jeśli zaczekamy, rychło się pojawi.

– Powinniśmy ruszyć w welbotach na poszukiwania – sugeruje Otto. – Wichura tak gwałtowna jak ta zeszłej nocy mogła zwiać go wiele mil na wschód. Może jest przedziurawiony, może się zakleszczył albo stracił ster... Albo cokolwiek.

Cavendish marszczy brwi, po czym z ociąganiem kiwa głową, jak gdyby pragnął wymyślić jakieś lepsze, prostsze rozwiązanie, lecz okazał się do tego całkowicie niezdolny.

– Płynmy, znajdziemy go w miarę szybko – rzuca spieszenie, zatrzasnąwszy i chowając do kieszeni płaszcz mosiężną lunetę. – Moim zdaniem nie może być daleko.

– A jeśli go nie znajdziemy? – pyta Sumner. – Co wtedy?

Cavendish nieruchomieje i spogląda na Ottona, który jednak milczy. Kapitan ciągnie się więc za płatek ucha i odpowiada z niedorzecznym wodewilowym akcentem:

– To lepiej, Irlandusie, cobyś miał ze sobą strój do pływania, bo z mniejsza, w którym jesteśmy, wszędzie mamy daleko jak chuj.

Resztę dnia spędzają w welbotach, najpierw wiosłując na wschód wzdłuż krawędzi lodu przybrzeżnego, a następnie na północ, ku środkowi cieśniny. Sztorm rozkruszył pak, wobec czego bez trudności przemieszczają się między nieregularnymi fragmentami dryfujących kier i gruzu lodowego, wymijając je w razie konieczności bądź odpychając je piórami długich wiosel. Otto dowodzi jedną łodzią, Cavendish – drugą. Sumner, którego awansowano na sternika, wyobraża sobie tę konkretną chwilę, w której dostrzegą „Hastingsa” na horyzoncie – niczym pojedynczy czarny szew na szorstkim kocu szarego nieba – i że ów strach, który świerzbi go



gdzieś w środku i który tak bardzo stara się opanować, rozwieje się jak mgła. Wyczuwa pośród załogi obawę zmieszaną z rozgoryczeniem i złością. Szukają kogoś, kogo mogliby obwinąć za to grożące katastrofą pasmo niepowodzeń, a Cavendish, którego nominacja kapitańska była nie dość, że niezasłużona, to jeszcze skażona nienaturalnością i przemocą, jest najdogodniejszym i najbardziej oczywistym kandydatem.

Do zrujnowanego, spalonego obozowiska wracają wyczerpani, zmarznięci na kość i podupadli na duchu, bo choć przez cały dzień ze wszystkich sił ciągnęli za wiosła, nie trafili na żaden ślad „Hastingsa” ani na żadną wskazówkę, dającą pojęcie o jego ewentualnych losach. Kuk, wykorzystując klepki beczek i odpiłowane części bezanmasztu, rozpala ogień, na którym przyrządza kwaś-nawy gulasz, składający się z solonej wołowiny i prastarej zdrewniałej rzepy. Po posiłku Cavendish odbija szpunt z baryłki brandy i każe zaserwować wszystkim kolejkę. Mężczyźni posepnie wychylają przydzielone im porcje, po czym, nie pytając o pozwolenie, nalewają sobie kolejne, aż wreszcie opróżniają beczkę, a atmosfera w namiocie staje się alkoholowa i wybuchowa. Niedługo później, po trwającej trochę pijackiej swarliwej dyspacie rozpętuje się bójka i zostaje dobyt nóż. McKendrick, który tylko się przyglądał, otrzymuje głębokie pchnięcie w przedramię, a znokautowany kowal traci przytomność. Gdy Cavendish próbuje interweniować, kończy z rozwaloną połeczką głową, a Sumner i Otto zmuszeni są ratować go przed dotkliwszym pobiciem. W celu zapewnienia mu bezpieczeństwa wywlekają go na zewnątrz. Otto wraca i stara się uspokoić załogę, ale zostaje zelżony i zaszachowany nożem. Stanąwszy na nogi, Cavendish, z twarzą w makabrycznym giloszu własnej krwi, paskudnie klnie, zabiera z welbotów dwie naładowane strzelby, trzecią wręcza Ottonowi i z powrotem udaje się do namiotu. Jednokrotnie wypala w lód, by zwrócić na siebie uwagę, a następnie oświadcza, że z rozkoszą wpakuje drugą kulę w każdego piździelca, który poważy się zaryzykować.

– Brownleego nie ma, więc ja nadal jestem kapitanem i z radością wykończę każdego zbuntowanego drania, który ośmielił się mieć inne zdanie.

Po chwili ciszy Bannon, Szetlandczyk o rozbieganych oczach, chwytając klepkę beczki i szarżuje na oślep. Cavendish, trzymając strzelbę na wysokości biodra, unosi lufę i strzela mu w gardło. Górna część czaszki Szetlandczyka odrywa się i leci ku stromo nachylonemu płóciennemu dachowi, na którym pozostawia rozległe czerwone wole oko otoczone bledszą aureolą purpurawej materii mózgu. Pozostali wydają gardłowe okrzyki trwogi i naraz zapada nagła, ciężka jak ołów cisza. Cavendish upuszcza pustą strzelbę pod stopy i bierze od Ottona naładowaną.

– A wy, reszta piździelców, zważajcie – mówi. – Człowiek właśnie zapłacił życiem za swą francową głupotę.

Oblizuje wargi i rozgląda się z ciekawością, jakby zastanawiał się, kogo zastrzelić w następnej kolejności. Krew sączy mu się na brew i brodę, skąd skapuje na lód. Ściany namiotu splamione są cieniami; cuchnie w nim też wściekłym alkoholem i szczynami.

– Jestem, kurwa, chodzącą bombą, właśnie tym – oświadcza Cavendish cicho. – Robię, co i kiedy akurat mi się spodoba. Dobrze to sobie zapamiętajcie, zanim znów przyjdzie wam do łbów, żeby ze mną zadrzeć.

Dwukrotnie kiwa głową, cementując tę prowokacyjną, bezpośrednią autoprezentację, pociąga nosem i przesuwając ręką po przesiąkniętej krwią brodzie.

– Jutro ile sił w rękach ruszymy do Pond’s Bay – mówi. – Jeśli nie napotkamy po drodze „Hastingsa”, na miejscu z pewnością znajdziemy inny statek, który weźmie nas na pokład.

– Do Pond’s Bay będzie dobra setka mil – komentuje ktoś.

– To lepiej, sukinsyny, wprzódy wytrzeźwiejcie i zażyjcie trochę snu.

Cavendish opuszcza wzrok na martwego Szetlandczyka i kręci głową.

– To dopiero kurewsko durny sposób na rozstanie się z tym światem – zwraca się do Ottona. – Kto rusza z klepką od beczki na faceta uzbrojonego w strzelbę? Toż to kwestia zwykłego zdrowego rozsądku.

Otto kiwa głową, robi krok do przodu, po czym z powagą, pompatycznie czyni nad trupem znak krzyża. Dwaj wielorybnicy sami z siebie chwytają Szetlandczyka za obcasy i wyciągają go na lodową taflę. W kącie, zapomniany pośród tego całego harmidru, skuty łańcuchami Drax siedzi niczym bożek – po turecku – z uśmiechem obserwując wszystko z dystansu.

Następnego dnia Sumner zanadto gorączkuje, by usiąść do steru bądź wiosła. Gdy ciągną na wschód poprzez warstwy gęstej mgły i prysznice lodowatego deszczu ze śniegiem, on kuli się na dziobie pod kocem, trzęsąc się i znosząc dolegliwości żołądkowe. Raz na jakiś czas Cavendish wykrzykuje polecenie albo Otto zaczyna nucić germańską melodię, ale poza tym – wyłączając agonalne rżenie poskrzypujących dulek i asynchroniczny plusk zanurzających się w wodzie piór wiosła – nie rozchodzą się żadne inne dźwięki. Wydaje się, że każdy z mężczyzn opatulił się własnymi czarnymi myślami. Dzień wstał ponury, niebios są bure i srogie. Do południa Sumner dwukrotnie musi ściągnąć spodnie, wystawić tyłek za burtę i strzyknąć do morza jakąś półkwartą płynnego gówna. Z wdzięcznością wychyla zaproponowaną przez Ottona brandy, ale zaraz ją wyrzyguje. Ludzie obserwują to wszystko bez komentarzy i drwin. Morderstwo Bannona osłabiło ich wolę; rzuceni na mieliznę między równoważnymi, choć przeciwstawnymi lękami mają się na baczności.

Nocą rozbijają obóz na skraju lodu przybrzeżnego – stawiają splamiony krwią namiot, starają się osuszyć i pożywić. Około północy niebieskawy półmrok gęstnieje na krótko w krzykliwe rozgwieżdżone ciemności, ale po godzinie powraca. Sumner poci się i dygocze, to zapada w niespokojny, pełen dręczących marzeń sen, to się z niego wybudza. Stłoczone wokół niego ciała pomrukuje i dyszą niczym drzemiące bydło, powietrze w namiocie kąsa jego policzki i nos siarczystem mrozem, cuchnie przy tym czymś skisłym, co przywodzi na myśl krocze. Gdy każdy organ boli go i świerzbi, spragniony niedostępnego narkotyku, jego umysł wędruje, zatacza kręgi. Wspomina samotną podróż z Delhi, bombajskie upokorzenia, a potem Londyn w kwietniu. Hotel Peter Lloyd's na Charing Cross: wonie nasienia i zastarzałego dymu cygarowego, żelazne łóżko, lampa oliwna, nocne piski i krzyki dziwek oraz ich klientów, wytarty tapicerowany fotel plujący końskim włosiem, lepki od niedźwiedziego sadła i oliwy do włosów. Jada kotlety schabowe z groszkiem i zaciąga niepewne kredyty. Przez dwa tygodnie co rano obchodzi szpitale ze swoimi dyplomami i nieaktualnymi listami polecającymi, przesiaduje w korytarzach i czeka. Wieczorami odnajduje znajomków z Belfastu i Galway, z którymi nigdy nie nawiązał bliższej przyjaźni, ale którzy przynajmniej go pamiętają: Callaghana, Fitzgeralda, O'Leary'ego, McCalla. Snują wspomnienia nad piwem i whisky. Gdy nadchodzi właściwy czas, prosi ich o pomoc, a oni radzą, by spróbował w Ameryce, Meksyku, ewentualnie w Brazylii, gdzieś, gdzie przeszłość liczy się mniej niż tutaj, gdzie ludzie nie są tacy spięci, lecz pobłażliwsi i skłonniejsi do wybaczenia bliźnim błędów, bo w końcu sami ich kilka popełnili. Anglia, mówią mu, to już nie miejsce dla niego, jest zbyt nieprzejednana, zbyt surowa, musi więc się z nią rozstać. Chociaż oni, jak zapewniają, wierzą w jego opowieść, inni nigdy tego nie zrobią. Rozmawiają z nim raczej życzliwie, przyjacielsko nawet, ale on widzi, że wolą, by wyjechał. Wieść o jego ogromnym niepowodzeniu przyjęli jako krzepiące przypomnienie o własnym dość skromnym sukcesie, ale również, na głębszym poziomie, widzą w niej memento, jakież to niedole mogą zawładnąć ich życiem, jeśli kiedykolwiek stracą czujność, jeśli kiedykolwiek zapomną, kim są i co nimi powoduje. Ich najgorszym koszmarem jest to, że jego pohańbienie okaże się krzyczącą przepowiednią ich własnego upadku.

On zaś nocą zażywa opium i wędruje po mieście dopóty, dopóki nie zmęczy się na tyle, żeby zasnąć. Pewnego wieczoru, gdy snuje się koślawo wzdłuż Fleet Street, a potem mija Temple Bar i Królewski Trybunał Sprawiedliwości, postukując po drodze trzcinką o kamienie brukowe, ze zdumieniem dostrzega idącego dokładnie z naprzeciwka Corbyna. Lekarz sztabowy ma na

sobie medale za kampanię i czerwony mundur galowy, jego smoliście czarne buty wypolerowane są na błysk, a on sam toczy rozmowę z młodszym oficerem, wąsatym i podobnie odzianym. Obaj się śmieją i palą birmańskie cygara. Sumner stoi tam, gdzie się zatrzymał, spowity cieniem otworu drzwiowego w stylu zamkowym, i czeka, aż do niego dotrą. Wspomina przy tym zachowanie Corbyna w sądzie wojskowym: swobodne, beztrioskie, naturalne, jak gdyby – nawet jeśli kłamał – prawda była jego domeną, jak gdyby mógł ją ustanawiać bądź odwoływać wyłącznie podług własnej woli. Rozpamiętując tę scenę, czuje narastający w piersi przypływ gniewu, tężenie mięśni gardła i nóg. Zaczyna się trząść. Oficerowie się zbliżają, a on w tejże upiornej chwili doznaje wrażenia ekskarnacji, nawet transcendencji, jakby jego ciało było o wiele za ciasne, zbyt znikome, by pomieścić te pełne wściekłości myśli. Gdy go mijają, palący i roześmiani, Sumner opuszcza wnękę. Klepie Corbyna po przypiętym mosiężnym guzikiem epolecie, a gdy ten się odwraca, by sprawdzić, kto zacz, zdiela go w twarz. Corbyn przewraca się na bok. Młodszy oficer upuszcza cygaro i wytrzeszcza oczy.

– Co jest, kurwa? – pyta. – No co?

Sumner nie odpowiada. Spogląda na mężczyznę, którego właśnie uderzył, i wstrząsa nim świadomość, że to wcale nie Corbyn. Z grubsza na pewno go przypomina wiekiem i wzrostem, ale poza tym trudno o rzeczywiste podobieństwo – nie zgadzają się włosy, bokobrody, kształt i rysy twarzy, nie pasuje nawet mundur. Złość się rozwiewa, Sumner znów staje się sobą, powraca do swego ciała, do dotkliwych upokorzeń realności.

– Wziąłem was za kogoś innego – usprawiedliwia się przed mężczyzną. – Za Corbyna.

– A kim, do chuja, jest Corbyn?

– Lekarzem sztabowym.

– Regiment?

– Lansjerzy.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Powinienem odszukać konstabla i kazać was zapuszkować – powiada. – Powinienem, jak mi Bóg miły.

Sumner próbuje mu pomóc, ale wojskowy go odpycha. Ponownie dotyka policzka, krzywi się, po czym uważnie przygląda się Sumnerowi. Policzek czerwienieje, ale nie krwawi.

– Kim jesteście? – pada pytanie. – Znam tę twarz.

– Nikim – odpowiada Sumner.

– Kim jesteście? – nie odpuszcza wojskowy. – Weźcie mi, kurwa, nie kłamcie.

– Jestem nikim – powtarza Sumner. – Absolutnie nikim.

Mężczyzna kiwa głową.

– Skoro tak, to podejdźcie – poleca.

Sumner się przybliża. Mężczyzna kładzie mu rękę na ramieniu. W jego oddechu czuć porto, włosy pachną mu pomadą.

– Skoro naprawdę jesteście nikim – mówi – to chyba nie będziecie jakoś specjalnie protestować.

Pochyla się nieco i wyprowadza kolano wysoko, prosto w jaja Sumnera. Ból rykoszetuje w brzuchu uderzonego, sięga piersi i twarzy. Sumner upada kolanami na mokry chodnik, jęcząc i nie mogąc wykrztusić słowa.

Mężczyzna, którego wziął za Corbyna, ale który nim nie jest, nachyla się i wypełnia jego ucho łagodnym szeptem:

– „Hastingsa” już nie ma – powiada. – Poszedł na dno. Góra lodowa rozniosła go w drzazgi, a te chuje na jego pokładzie jak nic potopiły się co do jednego.

Następnego popołudnia natrafiają na wywróconego do góry dnem welbota, a następnie, po niedługim czasie, na nieregularny, długi na pół mili gąszcz kawałków zgruchotanego drewna i obracających się pustych beczek na wielorybie sadło. Ludzie wiosłują, zataczając powolne kręgi, wyciągają fragmenty szczątków, badają je, po czym bezradnie z powrotem wyrzucają do wody. Cavendish przynajmniej raz pobladł i ucichł, jego stałe pozerstwo zmiażdżył ciężar niespodziewanej katastrofy. Za pomocą lunety lustruje pobliskie kry, ale nie dostrzega niczego ani nikogo. Spluwa, klnie, usuwa się z widoku. Poprzez zieloną, melancholijną mgiełkę chorobowego otumanienia Sumner pojmuję, że przepadła ich najbardziej obiecująca nadzieja na ocalenie. Niektórzy z mężczyzn zaczynają łkać, inni nieporadnie intonują modlitwy. Otto konsultuje się z mapami i sprawdza odczyt sekstansu.

– Jesteśmy za przylądkiem Hay! – woła do Cavendisha. – Przed nocą możemy dotrzeć do Pond's Bay. Jak już się tam znajdziemy, z Bożą pomocą napotkamy inny statek.

– A jeśli nie, będziemy musieli tamże przezimować – odpowiada Cavendish. – Nie my pierwsi, co poniektórzy już to robili.

Drax, którego przykuto do ostatniej ławki i który znajduje się teraz najbliżej Cavendisha, zajmującego miejsce przy wiosle sterowym, prychnął, usłyszawszy to stwierdzenie.

– Żadni poniektórzy tego dotąd nie robili – mówi. – Nie robili, bo rzecz jest nie do zrobienia. Nie bez okrętu, na którym można się schronić, nie bez zapasów dziesięciokrotnie większych od tych, które nam pozostały.

– Napotkamy jakiś statek. Jak nie, to przezimujemy – powtarza Cavendish. – Może wyjdzie tak, może siak, ale pożyjemy na tyle długo, żeby zobaczyć, jak cię w Anglii wieszają. Tego możesz być pewien.

– Wolę zdechnąć na szubienicy niż, kurwa, z głodu albo ode mrozu.

– Powinniśmy natychmiast cię utopić, czepialski skurwysynie. Ubędzie nam jedna pierdolona gęba do wykarmienia.

– Pójść na taki numer możecie, ale moje ostatnie słowa raczej ci się nie spodobają – ripostuje Drax. – Chociaż niektórzy mogą je uznać za całkiem interesujące.

Cavendish wpatruje się w niego przez pewien czas, potem nachyla się nad nim, mocno zaciska w pięści materiał jego kamizelki, a odpowiedzi udziela rozwścieczonym szeptem.

– Nic na mnie nie masz, Henry – mówi. – Więc nawet sobie nie wyobrażaj, że jest inaczej.

– Toż nie naciskam, Michael – odpowiada Drax spokojnie. – Zwyczajnie przypominam. Ten czas może nigdy nie nadejść, ale jeśli nadejdzie, bądź gotowy. Oddasz sobie przysługę. Nic więcej.

Drax sięga po wiosło, Cavendish wyznacza kolejność i wznawiają podróż. Po zachodniej stronie nad utłuczoną szarość morza wyrastają węglowociemne góry o popielatych szczytach. Dwa welboty powoli przemieszczają się do przodu. Po kilku godzinach równają się z urwistym wierzchołkiem Wyspy Bylota i przepływają przez wejście do Pond's Bay. Deszczowe chmury gromadzą się i rozchodzą, światło z wolna zanika. Cavendish gorliwie spogląda przez lunetę. Z początku nie widzi nic, a potem dostrzega rozkołysany na horyzoncie czarny kontur okrętu. Macha ręką i go wskazuje. Krzyczy do Ottona.

– Statek! – woła. – O żeż kurwa, statek! Tamój! Pa-trzajcie.

Widzą go wszyscy, ale jest daleko, poza tym wygląda na to, że już odpływa na południe. Dym z jego komina tworzy na niebie nikłą, odchyloną od pionu smugę, jakby ktoś rozmazał kciukiem ołówkową kreskę. Bez zwłoki podejmują pościg, ale próżny to wysiłek. Po kolejnej półgodzinie okręt znika we mgle i znów są sami na mrocznym pełnym morzu, gdzie zostają im

tylko brązowe, pokryte śniegiem wzgórze wokół i odrapane żałobne niebo, zmierzchające się u góry.

– Co to, kurwa, za wachta, że nie widzi welbota w opałach? – rzuca Cavendish gorzko.

– Może być tak, że na statku pełno – ktoś mu podpowiada. – Może być, że z całą resztą wracają się do domu.

– Żaden skurwiel nie jest tego roku pełny – sarka Cavendish. – Jakby na coś trafili – kurwa, na cokolwiek! – ciągle by tu tkwili i polowali.

Nie otrzymuje odpowiedzi. Wszyscy szukają jakiegoś znaku, wpatrzeni w wypraną z barw, zamgloną szarzynę, ale żadnego nie dostrzegają.

Gdy zapada ciemność, przybijają do pobliskiego cypla i wznoszą namiot na żwirowej, osłoniętej niskimi brązowymi klifami plaży. Po jedzeniu Cavendish rozkazuje porąbać jednego welbota toporkami i rozpalic ognisko sygnalizacyjne z pozyskanego w ten sposób drewna. Przekonuje, że jeśli gdzieś w zatoce znajduje się jeszcze jakiś statek, załoga spostrzeże płomienie i przybędzie im na ratunek. Mężczyźni wykonują polecenie, choć nie wyglądają na przekonanych tą argumentacją. Odwracają łódź do góry dnem, roztrzaskują kadłub, kil, rufę. Sumner, owinięty w koc, wciąż dygoczący i odczuwający mdłości, stoi przy namiocie i obserwuje ich przy pracy. Nadchodzi Otto i przystaje obok niego.

– Tak właśnie mi się to wyśniło – zagaja. – Ognisko. Porąbany welbot. Wszystko jest tak samo.

– Nawet mi takich rzeczy nie mówcie – odpowiada Sumner. – Nie teraz.

– Nie lękam się śmierci – stwierdza Otto. – Nigdy się nie lękałem. Nikt na tym padole nie ma najmniejszego pojęcia, jakie czekają nas bogactwa.

Sumner kaszle gwałtownie raz i drugi, po czym wymiotuje na zlodowaciały grunt. Ludzie budują z kawałków drewna stos i podpalają go. Wiatr chwyta i unosi w ciemność sypiące iskrami płomienie.

– Jesteście tym, który przetrwa – mówi Otton Sumnerowi. – Jako jedyny z nas wszystkich. Nie zapominajcie o tym.

– Już wam mówiłem, że nie wierzę w prorocтва.

– Wiara jest tu nieistotna. Boga nie interesuje, czy ktoś w niego wierzy, czy nie. Bo czemuż by miało?

– Naprawdę sądzicie, że wszystko to jest Jego dziełem? I morderstwa, i rozbite statki, i utonięcia?

– Wiem tyle, że czyjś dziełem być musi – odpowiada Otto. – A jeśli nie Pańskim, to czyim?

Płonący stos podnosi załogę na duchu, jego alarmujący blask przywraca ludziom nadzieję. Gdy widzą, jak się biesi, rozgałęzia i pluje iskrami, nabierają pewności, że gdzieś tam są inni, którzy także to obserwują, że niedługo opuszczą się łodzie, zostanie wysłana pomoc. Wrzucają do huczącego ognia ostatnie kawałki drewna i niecierpliwie wyczekują przybycia ratowników. Palą fajki, zmrużonymi oczyma żarliwie wpatrując się w nieprzeniknioną dal. Rozmowy toczą o kobietach i dzieciach, domach i polach, które być może dane im będzie jeszcze zobaczyć. W każdej minucie, gdy ogień z wolna przygasa, a światło dnia wokół nich staje się coraz jaśniejsze, spodziewają się łodzi, ale żadna nie nadpływa. Po kolejnej godzinie jałowego oczekiwania ich optymizm się warzy, a jego miejsce zajmuje coś wstrętnego i gorzkiego. Jak można w takim miejscu przetrwać zimę bez statku, który dałby schronienie, bez wystarczającej ilości opału i pożywienia? Gdy Cavendish schodzi ze swojego stanowiska na klifie ze złożoną lunetą w jednej, a strzelbą w drugiej ręce, jego zacięta, zawstydzona mina, jego odwrócony wzrok mówią im bez najmniejszych wątpliwości, że plan zawiódł.

– I gdzie te łodzie?! – krzyczy ktoś do niego. – Czemu nie przypląnęły?

Cavendish zbywa pytanie milczeniem. Wchodzi do namiotu i przelicza resztkę zapasów. Nawet gdyby obniżyć racje o połowę, do dwóch funtów chleba i dwóch funtów solonego mięsa tygodniowo, z ledwością starczy im do końca Bożego Narodzenia. Pokazuje to Ottonowi, a następnie zwołuje pozostałych członków załogi i wyjaśnia im, że jeśli chcą przetrwać do wiosny, będą musieli polować, bo inaczej zabraknie jedzenia. Wystarczą foki, powiada, lisy, nury, alki i wszelakie inne ptactwo. W trakcie jego przemowy na dworze zaczyna padać śnieg, zrywa się wiatr i szarpie płóciennymi ścianami, jakby dawał im przedsmak nadchodzącej zimy. Nikt Cavendishowi nie odpowiada i nikt nie zgłasza się na ochotnika do polowań. Wpatrują się w niego bez słowa, a kiedy kończy, opatulają się kocami i odpływają w sen lub zasiadają, by zagrać w eukera talią kart tak wiekowych, rozlatujących się i brudnych, że mogłyby zostać wykrojone z łachmanów chorego na leprę.

Do końca dnia śnieg na zewnątrz pada jednostajnie: ciężkie, mokre płatki, pod którymi ugina się dach namiotu i które niczym pąkle oblepiają kadłub odwróconego do góry dnem ostatniego welbota. Sumner trzęsie się i przechodzi katusze; bolą go kości, a jego gałki oczne świerzbują i wibrują. Nie może zasnąć ani się odlać, choć targa nim pragnienie, by zrobić jedno i drugie. Gdy tak leży nieruchomy, przez jego znękany umysł przemykają zniekształcone fragmenty *Iliady* – czarne okręty, rozbita barykada, Apollo jako sęp, usadowiony na chmurze Zeus. Kiedy wychodzi z namiotu, żeby się wysrać, na zewnątrz jest ciemno, a powietrze kąsa mrozem. Rozwiera pośladki, eksponując strudzony odbył, i pozwala, by wyciekł z niego gorący zielony płyn. Poświatę księżyca rozpraszają rzędy chmur, śnieg omiata otwartą zatokę, gromadzi się na ocalałych krach, rozpuszcza i spływa w czarne wody między nimi. Zimne powietrze ścisną i kurczy Sumnerowi jajka. Lekarz zapina spodnie, odwraca się, a wtedy przy żwirowym nadbrzeżu, pięćdziesiąt jardów dalej, widzi niedźwiedzia.

Ostry węzowy łeb zwierzęcia jest uniesiony, a zwalista sylwetka o silnym grzbiecie i rozległym kłębzie stoi nieporuszenie i pewnie. Osłaniając oczy przed padającym śniegiem, Sumner daje niepewny krok przed siebie, po czym przystaje. Niedźwiedź się nim nie interesuje. Obwąchuje ziemię, obraca się, wydreptuje kółko, zamyka je tam, gdzie się zaczęło. Nieruchomy Sumner obserwuje. Nie odchodzi, gdy zwierzę się przybliży. Widzi już fakturę jego futra i ciemne półcwiartki pazurów na śniegu. Niedźwiedź ziewa, obnaża kły, a następnie bez ostrzeżenia czy wyraźnego celu unosi się na tylnych łapach, jakby wykonywał numer w cyrku, i huśta się na nich przez chwilę niczym wapienny obelisk zawieszony na tle sypiącego, skalanego płamą księżycowego blasku nieba.

Sumner słyszy za plecami nagły, wznoszący się ryk – od strony błotnistobrazowych klifów niesie się rozlewne symfoniczne zawodzenie, zbolale, pierwotne, a przecież jakże ludzkie. Zdaje mu się ono wołaniem wykraczającym poza słowa i języki, chóralnym, chtonicznym, niczym głosy potępionych w unisonie. Porażony chwilową grozą, odwraca się i rozgląda, ale nie ma za nim niczego, pomijając noc, prosząc śnieg i bezkresną, ciągnącą się ku wschodowi pustą krainę, poblizną i niewyobrażalną, niczym kora spowijająca pociemniały pień planety. Niedźwiedź jeszcze przez chwilę stoi wyprostowany, ale wreszcie opada na przednie łapy, okręca się i – niewzruszenie, niespiesznie – zaczyna się oddalać.

Morze powoli zamarza na nowo. Pomiędzy już istniejącymi krami tworzy się świeży, cienki jak szkło lód i spaja je ze sobą. Już niedługo zatoka przekształci się w nieporuszaną litą białą masę o chropowatej powierzchni, a oni pozostaną w potrzasku aż do wiosennych roztopów. Mężczyźni śpią, palą, grają w karty. Żywią się swymi mizernymi racjami, ale nie podejmują żadnego wysiłku, by polepszyć swą dolę bądź przygotować się do nadejścia bezlitosnej zimy. Gdy temperatura się obniża, a noce wydłużają, palą wypłukane z „Hastingsa” drewno, które morze wyrzuca na brzeg, i opróżniają ostatnie ocalone z „Ochotnika” worki węgla. Wieczorami, po wieczerzy, Otto grobowym głosem czyta ustępy z Biblii, a Cavendish wciąga ich w śpiewanie sprośnych piosenek.

Od nocnego spotkania z niedźwiedziem symptomy chorobowe Sumnera stopniowo ustępują. Miewa jeszcze bóle głowy, poci się nocami, ale mdłości dokuczają mu rzadziej, a i stolec stał się twardszy. Przynajmniej na tyle uwolnionemu od agresywnej hegemonii własnego ciała, łatwiej mu zwrócić uwagę na stan tych, którzy go otaczają. Pozbawieni zdrowej dyscypliny obowiązków pokładowych są bladzi i osowiali. Dociera do niego, że jeśli mają wykrzesać z siebie dość siły i woli, by przeżyć naciągającą drapieżność zimy, by obronić się przed działaniem mrozu i głodu, należy ich zmusić do jakiejś aktywności, do nabrania sił poprzez zażywanie ruchu i ciężką pracę. W przeciwnym razie ich obecna melancholia najprawdopodobniej okrzepnie w czarną rozpacz i ogarnie ich o wiele bardziej zabójcza apatia.

Rozmawia z Cavendishem i Ottonem, a oni się zgadzają, że ludzi należy podzielić na dwie z grubsza równe liczebnie wachty i że każdego ranka, dopóki pogoda pozwoli, jedna uzbrojona w strzelby ekipa wespnie się na klify, by upolować coś do jedzenia, druga zaś na co najmniej godzinę wyjdzie przed namiot i w celu zachowania witalności będzie robiła przemarsze wzdłuż brzegu, tam i z powrotem. Powiadomieni o tym planie ludzie nie pałają entuzjazmem. Niespecjalnie obchodzą ich wyjaśnienia Sumnera, że jeśli będą nieruchawi i bierni, krew im stężeje i zakrzepnie w żyłach, a ich narządy zwiotczeją i w końcu zawiodą. Ustępują niechętnie dopiero wtedy, gdy Cavendish się na nich wydziera, grożąc dalszym obcięciem racji, jeśli się nie podporządkują.

Raz rozpoczęte codzienne polowania dostarczają mało co jadalnego – ot, jakieś drobne ptactwo, czasami lis – a forsowne marsze tam i z powrotem nader się wszystkim przykrzą. Nie mija miesiąc, gdy tę spartańską rutynę zakłócają dwa dni nieustającego, sypiącego poziomo śniegu i tłukącej wichury. Po wszystkim dookoła obozu pozostają wysokie na pięć stóp zasy, a temperatura spada tak nisko, że boli każdy wdech. Mężczyźni odmawiają polowań i marszów w takich warunkach, a gdy Cavendish wyprawia się samotnie, powraca po godzinie wykończony, z pustymi rękami i odmrożeniami. Tego samego dnia wieczorem zaczynają rąbać na opał drugiego welbota i – gdy siarczysty mróz nie ustępuje, a nawet się nasila – spalają każdego dnia coraz więcej drewna, aż wreszcie Cavendish zmuszony jest przejąć kontrolę nad pozostałymi zapasami i zacząć je racjonować. Od tej pory ognisko, i tak wątłe, przez większość dnia jest praktycznie stosem słabo żarzących się głowni. Wewnątrz namiotu tworzy się warstwa lodu, a samo powietrze jest zawiesiste i zimne jak ona. Otuleni trzema warstwami wełny, flaneli i naoliwionego płótna, ludzie przez całą noc się trzęsą i wyrywają nawzajem ze snu, targani spazmami.



Zanim dostrzegają sanie, dobiega ich podniecone szczekanie psów zaprzęgowych. Sumner w pierwszej chwili sądzi, że śni mu się Castlebar i ścigające zająca słynne stado gończych Michaela Duigana, ale gdy pozostali zaczynają się wybudzać i mamrotać, pojmuję, że do ich uszu dociera to samo. Ciasno owija twarz i głowę szalikiem i wychodzi na zewnątrz. Na zachodzie widzi dwóch yaków zmierzających ku nim poprzez lód morski. Ich psy rozciągnęły się z przodu wachlarzem, bat z niewyprawionej skóry niczym długi czulek chrząszcza przecina lodowate powietrze. Cavendish spiesznie opuszcza namiot, a za nim podąża Otto i reszta załogi. Obserwują nadciągające powoli sanie, które wydają się coraz bardziej solidne i rzeczywiste. Gdy docierają do obozu, Cavendish wychodzi przed grupę i prosi yaków o jedzenie.

– Mięso – mówi głośno. – Ryby. – Palcami i ustami wykonuje prosty gest pożywiania się.  
– Głodni – dodaje, wskazując najpierw swój brzuch, a potem brzuchy pozostałych.

Yakowie spoglądają na niego i uśmiechają się szeroko. Obaj są niscy i ciemnoskórzy. Mają płaskie cygańskie twarze i przetłuszczone czarne włosy do ramion. Ich anoraki i buty uszyte zostały z niewygarbowanej skóry karibu, a spodnie – z niedźwiedziego futra. Wskazują za siebie na obładowane sanie. Psy nieustannie szczekają jak opętane.

– Wymiana – odpowiadają mu.

Cavendish zgadza się skinieniem głowy.

– Pokażcie mi – rzuca.

Rozwiązują mocowania na saniach i demonstrują mu zamrożoną foczą tuszę, a także coś, co wygląda na zdną część morsa. Cavendish przywołuje Ottona i we dwóch krótko się naradzają. Otto wraca do namiotu i wyłania się z niego z toporkiem i dwoma wielorybiczymi nożami. Yakowie uważnie badają narzędzia. Toporek zwracają, ale zatrzymują oba noże. Pokazują Cavendishowi wykonany z kości słoniowej grot harpuna i jakieś steatytowe rzeźby, lecz on opędza się machnięciem ręki.

– Trzeba nam tylko jedzenia – oznajmia.

Zgadniają się wymienić zamrożoną tuszę fok na dwa noże i spory odcinek liny wielorybiczej. Cavendish podaje mięso Ottonowi, ten zaś wnosi je do namiotu i rąbie toporkiem na kawałki, które następnie wrzuca do żarzącego się ogniska. Syczą przez chwilę, ale po kilku minutach zaczynają się piec i parować. Podczas gdy mężczyźni niecierpliwie wyczekują posiłku, yakowie pętają i karmią psy. Sumner słyszy, jak na zewnątrz śmieją się i trąkoczą w swym prędkim, rwanym języku.

– Jeśli będą dawać nam fok – zwraca się do Cavendisha – dotrwamy do wiosny.

Będziemy jeść mięso i palić tłuszcz.

Cavendish kiwa głową.

– Aye – przytakuje. – Muszę popertraktować z tymi chujami tubylcami. Zawrzeć korzystny układ. Szkopuł w tym, że wiedzą, jak mamy przejebane. Posłuchajcie no, jak se tam rechoczą i żartują.

– Sądźcie, że dadzą nam umrzeć z głodu?

Cavendish pociąga nosem.

– O, daliby z radością – odpowiada. – Pogańskim chujom chrześcijańskie wartości nie ciężą tak jak nam. Jeśli nie przypadnie im do smaku to, co mamy do zaoferowania, znikną równie szybko, jak się pojawili.

– Zaoferujcie strzelby – podpowiada Sumner. – Dziesięć zabitych fok za sztukę. Trzy strzelby to trzydzieści fok. Na tym przeżyjemy.

Po chwili namysłu Cavendish kiwa głową.

– Zażądam dwunastu – postanawia. – Dwanaście fok za strzelbę. Chociaż szczerze wątpię, żeby dzikusy jedno umiały do tyłu zliczyć.

Po jedzeniu Cavendish wychodzi z namiotu, a razem z nim Sumner. Prezentują yakowi strzelbę, wskazują na namiot i robią gesty posilania się. Yakowie strzelbę oglądają, ważą ją w dłoniach, zaglądają do lufy. Cavendish ładuje nabój i pozwala starszemu go wystrzelić.

– Kurewsko dobra broń – zachwala.

Yakowie przez chwilę rozmawiają, po czym znów bez pośpiechu badają strzelbę. Gdy kończą, Cavendish się schyla i rysuje na śniegu dwanaście krótkich kresek. Wskazuje strzelbę, następnie znaki i wreszcie namiot. Powtarza wcześniejszy gest posilania się.

Przez jakąś minutę tubylcy się nie odzywają. Jeden z nich sięga do kieszeni, wyjmując fajkę, nabija ją i zapala. Drugi przelotnie się uśmiecha, mówi coś, pochyla się i ściera sześć kresek.

Cavendish ściąga usta, kręci głową i przywraca sześć usuniętych znaków.

– Nie ożydzi mnie jakiś jebany Eskimos – oznajmia Sumnerowi.

Yakowie sprawiają wrażenie poirytowanych. Jeden marszczy brwi, mówi coś do Cavendisha, szybko zmazuje czubkiem buta te same sześć kresek, a potem jeszcze jedną.

– Szlag! – szepcze Sumner.

Cavendish wybucha szyderczym śmiechem.

– Tylko pięć – powiada. – Pięć jebanych fok za strzelbę. Czy ja naprawdę wyglądam na taką pizdę?

– Jeśli odjadą, pomrzemy z głodu – przypomina mu Sumner.

– Damy sobie radę bez nich – pada odpowiedź.

– Za chuja nie damy.

Patrzący na nich obojętnie yakowie pokazują pięć kresek na śniegu, po czym podają strzelbę, jakby byli gotowi ją zwrócić. Cavendish wiedzie po niej wzrokiem, ale po nią nie sięga. Kręci głową i spluwa.

– Chuj z wami, kurdupłowate czarniawe przechery.

Pięćdziesiąt jardów od namiotu yakowie budują sobie mały dom ze śniegu, a potem wspinają się na sanie i ruszają zapolować daleko na lodzie. Wracają dopiero po zmierzchu. Czarne niebo jest gęste od gwiazd, a na jego cętkowanym bezkresie zorza rozpościera się, składa i rozwiera ponownie niczym nieprzeliczone wielobarwne stado szpaków. Drax, wciąż w kajdanach, chociaż niestrzeżony, od kiedy wszyscy tak naprawdę stali się więźniami wspólnej niedoli, przygląda się, jak wyładowują zdobycz. Wsłuchuje się w gardłowe chrząkanie ich jaskiniowej mowy, węszy i mimo mroźnego powietrza wyczuwa skisły odór ich okryć. Szacuje ich przez jakiś czas – wzrost, wagę, implikacje ich przeróżnych poczynań – aż wreszcie, pobrękując łańcuchem, idzie w ich stronę.

– Macie tu dwa niczego sobie tłuszczoski – mówi, wskazując parę martwych fok. – Chcecie, to pomogę wam przy oprawianiu.

Choć przez cały dzień polowali, obaj mężczyźni wyglądają na równie rzeźkich i energicznych, jak przedtem. Przez chwilę się w niego wpatrują, a potem wskazują jego okowy i zaczynają się śmiać. Drax śmieje się wraz z nimi, grzechocze łańcuchami i śmieje się jeszcze raz.

– Nie ufają mi tamte pizdzielce – tłumaczy. – Mają mnie za niebezpiecznego.

Nadyma twarz jak potwór i orze paznokciami powietrze, by zademonstrować, co miał na myśli. Yakowie śmieją się jeszcze głośniejsze. Drax opuszcza rękę i chwyta jedną z martwych fok za ogon.

– Oprawię ją dla was – powtarza, robiąc wzdłuż jej brzucha wyimaginowane cięcie. – To dla mnie bułka z masłem.

Kręcąc głowami i oganiają się od niego wymachami rąk. Starszy sięga po nóż, schyla się

i szybko rozcina foki, a następnie je patroszy. Zostawia parującą stertę pstrych – purpurowoszaroróżowych – podrobów na śniegu, oddziela sadło od mięsa. Drax się przygląda. Wdycha bijący od trzewi intensywny, żelazisty zapach krwi, a w ustach zbiera mu się ślina.

– Chcecie, to je dla was przeciągnę – odzywa się.

Mężczyźni niezmiennie go ignorują. Młodszy zanosí mięso i tłuszcz do namiotu, gdzie wręcza je Cavendishowi. Starszy zaczyna żwawo rozgarniać ostrzem wnętrzości. Znajduje wątrobę, odkrawa słuszny kawałek i zjada go na surowo.

– Jezusie Nazareński – mamrocze Drax. – Tegom jeszcze nie widział. Widziałem niejedno, ale nie coś takiego.

Mężczyzna podnosi na niego wzrok i szczerzy zęby w uśmiechu. Są czerwone od foczej krwi, tak jak jego usta. Odcina kolejną porcję surowej wątroby i oferuje ją Draxowi. Po chwili wahania Drax bierze od niego mięso.

– Jadałem w życiu gorsze rzeczy – powiada. – Dużo, dużo gorsze.

Przeżuwa jednokrotnie, połyka i uśmiecha się. Starszy yak odpowiada tym samym, a potem śmieje się w głos. Gdy z namiotu wraca młodszy, naradzają się przez chwilę i przywołują Draxa gestem. Starszy zanurza rękę w stertę podrobów, z której wyciąga wydłubaną gałkę oczną. Czubkiem noża przekłuwa skórę i wysysa znajdującą się w środku galaretkę. Spoglądają na Draxa wyszczerzeni.

– Nic mnie to nie kłopotczy – oświadcza Drax. – Jadałem już gałki oczne. O gałki oczne nietrudno.

Starszy wyszukuje kolejne oko, przekłuwa je jak poprzednie i podaje Draxowi. Ten wysysa treść, a resztę wkłada do ust i przelyka. Yakowie zaczynają obłąkańczo rechotać. Drax szeroko otwiera usta i wywala język, demonstrując, że nie oszukuje.

– Zeżrę wszystko – mówi – ale to, kurwa, wszystko, co mi dacie. Mózg, jajca, kopyta. Nie jestem wybredny, o nie.

Starszy yak znów wskazuje na jego okowy, warczy i drapie powietrze.

– Aye – komentuje Drax. – Właśnie tak mniej więcej mają się sprawy.

Tej samej nocy yakowie karmią psy resztkami nadpsutego mięsa morsa, wiążą je do wbitych w żwir fiszbinowych palików, wpełzają do śniegowego domku i układają się do snu. Ponownie wybywają nazajutrz wczesnym rankiem, wracają po zmroku, ale mimo ciężkiej pracy nie przywożą ani jednej foki. Następnego dnia śnieży zbyt intensywnie, by dało się polować, wobec czego od rana do wieczora siedzą w domku. Drax, drobiąc w zamieci i mijając rozsiane garby zwiniętych w kłębek psich ciał, udaje się do nich z wizytą. Częstuje obu szczyptą tytoniu i zadaje pytania. Gdy yakowie mają problemy ze zrozumieniem, powtarza słowa głośniejszym głosem, pomagając sobie gestami. Oni w odpowiedzi pokazują palcami, śmieją się i kreślą wzory w powietrzu bądź na wierzchu swoich śpiworów z niewyprawionej skóry renifera. Od czasu do czasu odkrawają kawałki zamrożonej foczej wątroby i wgryzają się w nie jak w lukrecję. Zdarzają się okresy milczenia, bywa też, że yakowie rozmawiają ze sobą, jakby go z nimi nie było. Drax im się przygląda, wysłuchuje, co mają do powiedzenia, aż wreszcie, po jakimś czasie, pojmuje, co ma dalej robić. Jest to nie tyle decyzja, ile powolne dokonywanie odkrycia. Ma wrażenie, że stopniowo odsłania się przed nim przyszłość. Czuje jej gorącą woń sycącą arktyczne powietrze, podobnie jak pies potrafi zwęszyć smrodliwą potrzebę suki.

Gdy śnieżyca słabnie, yakowie wznawiają polowanie na foki. Pierwszego dnia zabijają jedną, następnego – dwie. Gdy zgodnie z umową przekazują ostatnią oprawioną tuszę, Cavendish pokazuje im drugą strzelbę. Dorysowuje na śniegu pięć kolejnych kresek, ale yakowie kręcą

głowami i wskazują kierunek, z którego przybyli.

– Chcą wracać do domu – domyśla się Sumner.

Stoją przed namiotem. Niebo jest jasne i bezchmurne, ale panuje przejmujący mróz. Jego odwilgatiąca szorstkość napiera Sumnerowi na oczy i twarz.

– Nie wolno im wrócić – odpowiada Cavendish. Ponownie wskazuje na ziemię i macha przed nimi strzelbą.

Starszy pokazuje mu broń, którą już otrzymali, i znów wyciąga rękę ku zachodowi.

– *Utterpok* – przemawia. – Wymiana – nie.

Cavendish potrząsa głową i klnie pod nosem.

– Mięsa i tłuszczu starczy nam na miesiąc – odzywa się Sumner. – Jeśli wrócą, zanim skończą się zapasy, przeżyjemy.

– Jeżeli ten stary sukinsyn zamierza odejść, drugi ma zostać z nami – stwierdza Cavendish – bo jak wyniosą się obaj, możemy ich już więcej nie zobaczyć.

– Nie groźcie im – ostrzega Sumner. – Jeśli zbyt mocno przyciśnięcie, na pewno znikną na dobre.

– Strzelbę może i mają, ale kul i prochu do niej jeszcze nie dostali – mówi Cavendish – miarkuję więc, że mogę im grozić, ile dusza zapagnie, jeśli tylko najdzie mnie ochota.

– Wskazuje młodszego z mężczyzn, a następnie domek ze śniegu. – On zostaje – oznajmia. – A ty – wyciąga palec ku starszemu, a potem na zachód – jak chcesz, to wypierdalaj.

Yakowie kręcą głowami i uśmiechają się smętnie, jak gdyby zrozumieli propozycję, ale uznali ją za głupią i odrobinę żenującą.

– Wymiana – nie – powtarza starszy lekkim tonem. – *Utterpok*.

Bez lęku, a nawet z rozbawieniem wpatrują się jeszcze przez chwilę w Cavendisha, aż wreszcie odwracają się i kierują ku saniom. Gdy zbliżają się do uwiązanych psów, te wyłaniają się ze śniegowych jam i zaczynają ujadać i skomleć. Cavendish sięga do kieszeni po nabój.

– Uważacie, że zmienię zdanie, jak ich zabijecie? – pyta Sumner. – Nie macie lepszego pomysłu?

– Na razie nie zamierzam nikogo zabijać. Po prostu chcę, żeby poświęcili nam więcej uwagi.

– Zaczekajcie no – odpowiada lekarz. – Opuśćcie broń.

Yakowie już zabrali się do ładowania sań, rolują posłania i mocują je pasami ze skóry morsa do drewnianego stelażu. Gdy Sumner do nich podchodzi, nie fatygują się nawet, żeby unieść głowy.

– Mam coś dla was – oświadcza. – Popatrzcie.

Wyciąga urękawiczoną dłoń, na której leży zdobyczny złoty pierścień, ten sam, który od czasu pojmania Draxa nosił w zapiętej kieszeni kamizelki.

Starszy podnosi wzrok, przerywa swoje zajęcie i dotyka ramienia młodszego.

– A na co takim jak oni złoto i drogie kamienie? – powątpiewa Cavendish. – Jak dla mnie coś, czego nie mogą zeżreć, podpalić albo wyruchać, nie zda im się na wiele.

– Mogą go przeznaczyć na wymianę z innymi wielorybnikami – zauważa Sumner. – Nie są głupi.

Mężczyźni podchodzą bliżej. Starszy podnosi pierścień z ciemnej wełnianej rękawicy z jednym palcem i uważnie go ogląda. Sumner nie spuszcza z niego oka.

– Jeśli tu zostaniesz – mówi młodszemu, pokazując palcem – będziecie mogli zatrzymać ten pierścień.

Yakowie rozmawiają. Młodszy zabiera kosztowność, wacha ją i dwukrotnie liże. Cavendish parska śmiechem.

– Durny sukinkot myśli, że to z marcepanu – komentuje.

Starszy przykładą dłoń do piersi i wskazuje na zachód. Sumner kiwa głową.

– Ty możesz jechać – przyzwala – ale on zostaje z nami.

Jeszcze przez chwilę przyglądają się pierścieniowi, kilkakrotnie go obracając i skrobiąc jasne klejnoty poczeriałymi paznokciami. W matowym arktycznym świetle, słabym i odbarwionym, w krainie spowitej śniegiem i lodem wydaje się on czymś niezwykłym, bardziej owocem fantasmagorii bądź sennego marzenia niż czymś obrobionym i ukształtowanym przez ludzkie dłonie.

– Jeśli kiedyś handlowali na pokładzie wielorybnika, może nawet widzieli monety i zegarki – mruczy Cavendish – ale na pewno nie podobne cudętko.

– Wart jest pięć strzelb albo i więcej – mówi Sumner, unosząc palce i demonstrując.

– Dziesięć albo i więcej – koryguje Cavendish.

Starszy na nich spogląda i kiwa głową. Podaje kosztowność młodszemu, który uśmiecha się i chowa ją we włochatych głębiach spodni. Odwracają się i zaczynają rozpakowywać sanie. Idąc do namiotu, Sumner odczuwa dezorientującą lekkość, niespodziewaną wolną przestrzeń, jakby pierścień, którego już nie ma, wypełniał dotychczas kawernę lub ropień.

Później, gdy obóz otoczyła już ciemność, po wieczerzy, składającej się jak zwykle z na wpół zwęglonego foczego mięsa i posmarowanych tłuszczem biskwitów, Drax macha ręką, by zwrócić uwagę Cavendisha, po czym przywołuje go gestem. Siedzi w odosobnieniu w ciemnym i zimnym kącie namiotu, daleko od paleniska. Otulony grubym kocem, zabija czas, rzeźbiąc w kawałku morsiego kła wizerunek triumfującej Brytanii. Ponieważ nie wolno mu używać noża, korzysta z zaostrzonego żelaznego gwoźdźca.

Cavendish wzdycha i osuwa się na okryte derką podłoże.

– Co tym razem? – pyta.

Drax skrobie jeszcze przez chwilę, ale wkrótce przekręca się i na niego spogląda.

– Pamiętasz ten czas, o którym żeśmy wcześniej rozmawiali? – zaczyna. – Ten, który, jak myśleliśmy, może nigdy nie nadejść? Pamiętasz go?

Cavendish niechętnie kiwa głową.

– Dostyc dobrze – przyznaje.

– To pewnie już mniej więcej się orientujesz, co takiego usłyszysz.

– Ten czas jeszcze nie nadszedł – oznajmia Cavendish. – Nie mógł. Nie na tym jebanym lodowym ugorze w samym środku niczego.

– Jednak nadszedł, Michaelu.

– A ja na to: pierdoły.

– Jak ten Eskimos będzie rano wyjeżdżał, zabierze mnie na sanie. Wszystkośmy ustalili.

Od ciebie trza mi tylko pilnika do przecięcia łańcuchów i chwilowego odwrócenia wzroku.

Cavendish prychnął.

– Wolisz zostać yakiem i żyć, niż zawisnąć jako uczciwy Anglik? Tak to teraz wygląda?

– Przezimuję z nimi, jak mi pozwolą, a z nadejściem wiosny rozejrzę się za statkiem.

– Płynącym dokąd?

– Do New Bedford, do Sewastopola. Nigdy więcej nie zobaczysz mnie na oczy.

Przynajmniej to mogę ci przyrzec.

– Wszyscy jesteśmy tu uwięzieni. Dlaczego tobie jednemu miałbym pomóc w ucieczce?

– Utrzymujesz mnie przy życiu tylko po to, żeby w przyszłości mnie powiesili. Gdzie w tym sens, gdzie rozsądek? Pozwól mi zaryzykować z yakami. Sukinsyńskie dzikusy mogą

przebić mnie włócznią, ale jeśli nawet, nie ma tu nikogo, kto by jakoś specjalnie po mnie płakał.

– Jestem wielorybnikiem, a nie, kurwa, strażnikiem więziennym – mówi Cavendish. – To chyba się zgadza?

Drax kiwa głową.

– Sam się zastanów – przekonuje. – Jedna gęba mniej do wykarmienia, a za chuj nie da się powiedzieć, żeby okolica obfitowała w jedzenie. Jak wrócisz do Anglii, nikt cię nie obwini i będziecie sobie mogli kręcić z Baxterem te swoje interesy, ja wam kłopotów nie sprawię.

Cavendish na niego spogląda.

– Jesteś, Henry, zepsutym do szpiku kości, plugawym i wyrachowanym draniem – oznajmia – i podejrzewam, że zawsze już nim będziesz.

Drax wzrusza ramionami.

– Może i tak – mówi – ale skoro jestem tym, kim mnie nazwałeś, dlaczego chcesz, żeby taki niczemnik żył między wami, gdy Bóg zsyła ci szansę, żeby się go pozbyć?

Cavendish raptownie wstaje i odchodzi. Drax wraca do swojej dłubaniny. Na zewnątrz jest ciemno, a lampa tranowa daje blask wątki i nieregularny. Harpunnik ledwie widzi efekty swej twórczości, ale jak ślepiec wyczuwa pod palcami płytkie kreski rytów i wyobraża sobie chlubny patriotyczny obraz, w jaki się ułożą, gdy dzieło będzie gotowe. Cavendish wkrótce wraca i kuca obok niego, jakby chciał sprawdzić postępy w pracy.

– Tylko nie używaj go w namiocie – ostrzega, pokazując mu pilnik, który zaraz wpycha pod fałdy Draxowego koca. – Ktoś na pewno usłyszy.

Drax potwierdza ruchem głowy.

– To focze mięso mi nie służy, wcale a wcale – powiada z uśmiechem. – Pewnie przez całą noc co i raz będę wychodził na sranie.

Cavendish kiwa głową. Pozostaje w przysiadzie, dla zachowania równowagi opierając się jedną ręką o podłozę.

– Tak żem się zastanawiał... – zaczyna.

– Och, *aye*.

– A co, jakbym poszedł z tobą?

Drax pociąga nosem, kręci głową.

– Tu bezpieczniej.

– Nie dotrwamy wszyscy do końca zimy. Dziesięciu chłopów? Niemożliwość.

– Jeden czy dwóch pewnie umrze, ale nie sądzę, żebyś się wśród nich znalazł.

– Wolę postawić na yaków, tak jak ty.

Drax znowu kręci głową.

– Nie taką zawarłem z nimi umowę. Ja i tylko ja.

– To zawrę własną, rozumiesz, osobną. Co stoi na przeszkodzie?

Drax obraca w dłoni kość słoniową, wyczuwa kciukiem płytkie nacięcia na jej powierzchni.

– Najlepiej będzie ci zostać – powtarza.

– Neeee, ruszam z tobą – pada odpowiedź. – A ten pilnik jest moją przepustką.

Drax rozważa to przez chwilę, a następnie wsuwa rękę pod koc i muska bezlitosnie krawędzie narzędzia, wyczuwa gęsto skupione wyżłobienia, jakby dotykał chłodnej powierzchni metalicznego języka.

– Zawsze był z ciebie, Michaelu, bezczelny i zadufany w sobie chuj – mówi.

Cavendish uśmiecha się krzywo i energicznie pociera brodę.

– Pewnieś myślał, że wystrychniesz mnie na dudka – odpowiada – ale to ci się nie uda. Nie zostaną tu, żeby zdechnąć z nimi wszystkimi. Mam bardziej dalekosiężne plany.

Poza namiotem jest tak zimno, że Drax daje radę pracować nad kajdanami nie dłużej niż dwadzieścia minut naraz, gdyż potem zaczyna tracić czucie w dłoniach i stopach. Uwolnienie się wymaga czterech rozłożonych na długość nocy wypraw. Opuszczając namiot, za każdym razem starannie obiera drogę przez niski, pagórkowaty krajobraz pogrążonych we śnie ciał. Gdy wraca z ubraniem sztywnym od lodu, oszroniony i dygoczący, za każdym razem jest tak samo ostrożny. Potrącani mężczyźni stękają i klną, ale żaden nie otwiera oczu, pomijając Cavendisha, który uważnie go obserwuje.

Oswobodzony z łańcuchów Drax czuje się nagle potężniejszy i młodszy niż przedtem. Jakby w tym samym momencie, w którym zabił Brownleego, zapadł w sen i dopiero teraz nareszcie się obudził. Nie ma w nim ani lęku przed przyszłością, ani poczucia mocy bądź sensu, który ze sobą niesie. Każda kolejna chwila jest zaledwie furtką, przez którą przechodzi, otworem, który samym sobą przekłuwają. Szepcze Cavendishowi, żeby się przygotował i nasłuchiwał jego gwizdnięcia. Wiąże sznurkiem ubrania, powstały tobolek wciska pod ramię, wrzuca pilnik do kieszeni płaszcza i kieruje się do domku ze śniegu. Ubywa wysoko stojącego księżyc. Jego blada poświata nadaje rozległemu białemu pejzażowi barwę kaszy na mleku. Otaczające harpunnika ostre powietrze jest rzeźwe i odsączone z zapachów. Psy śpią, sanie są załadowane. Drax opada na czworaki, by wpełznąć do domku. Ciemno w nim choć oko wykol, ale wyczuwa ich po zapachu – młodszego po lewej, starszego po prawej – i słyszy ich spokojne oddechy. Dziwi go, że się nie budzą, że nie zaalarmował ich samą swoją obecnością. Odczekuje chwilę, ustalając położenie ich głów, pozycję ich ciał. Zauważa, że jest tu cieplej niż w namiocie. Atmosfera jest parna i oleista. Ostrożnie, powoli wyciąga rękę i opuszką palca dotyka wierzchu śpiwora. Gdy leciuteńko naciska, w odpowiedzi słyszy jęk. Wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuje pilnik, który jest długi na stopę, szeroki na cal i ma spiczasty czubek. Może nie cechuje się szczególną ostrością, ale do jego celów długość ma wystarczającą. Drax zakłada, że da sobie radę. Teraz już słabo widzi sylwetki mężczyzn – gęstszą, ciemniejszą czerń na tle ścian śniegowego domku. W ramach przygotowań pociąga nosem, potem sięga i budzi starszego potrząsaniem. Mężczyzna coś mamrocze i rozchyła powieki. Wsparłszy się na łokciu, otwiera usta, jakby zamierzał przemówić.

Trzymając pilnik oburącz, Drax wbija zaostrzony koniec w szyję starego, tuż poniżej ucha. Tryska gorąca krew i rozlega się ni to gulgot, ni nagłe zaczerpnięcie tchu. Harpunnik wyciąga szpikuliec i szybko uderza nim ponownie, tym razem trochę niżej. Gdy porusza się zaniepokojony hałasem młodszy mężczyzna, Drax dwukrotnym ciosem pięści go uciska, a następnie zaczyna dławić. Kościsty z natury i obleczony w wąski, przylegający do ciała śpiwór jak jest marnym przeciwnikiem i zostaje uduszony, zanim starszy wydaje ostatnie tchnienie. Drax wywleka ich obu ze śpiworów, odziera starszego z anoraka, rozrywa skafander z boku i wciąga go przez głowę. Maca w poszukiwaniu strzelby i noży wielorybnych, a potem wypełza na zewnątrz.

Żadnego dźwięku ani ruchu, niczego, co wskazywałoby, że ktoś w namiocie usłyszał hałas. Drax podchodzi do sań i zdejmując z nich uprzęż z jeleniej skóry. Budzi i zaprzęga psy, jednego po drugim. Po raz drugi wczołguje się do domku, ściąga trupom buty, spodnie i jednopalczaste rękawice, które następnie wpycha do śpiwora. Gdy ponownie się wynurza, widzi stojącego przy saniach Cavendisha. Kapitan zbliża się ku niemu z uniesioną prawą ręką.

– Jeszczem na ciebie nie gwizdał – mówi mu Drax.

– A ja, kurwa, na żadne gwizdanie żem nie czekał.

Drax mu się przygląda i kiwa głową.

– Okoliczności się zmieniły. Muszę ci coś pokazać.

– Co takiego?

Drax układa śpiwór na śniegu, otwiera go szarpnięciem i wskazuje wewnątrz.

– Zajrzyj no tam – poleca – i powiedz mi, co widzisz.

Cavendish przez chwilę tkwi w miejscu, ale w końcu kręci głową, idzie przed siebie i pochyla się, by zajrzeć do środka. Drax przesuwa się na bok, chwyta go za pukiel włosów nad czołem, podrywa jego podbródek i jednym cięciem wielorybniczego noża przerywa mu tchawicę. Cavendish, nagle pozbawiony możliwości wydania głosu, łapie się obiema dłońmi za ziejącą dziurę w szyi, jakby miał nadzieję ponownie ją uszczelnić, i opada kolanami na śnieg. Przez kilka chwil szura na nich przed siebie niczym okaleczony pokutnik, rzucając się, rżąc i chlustając krwią ze swej niewyobrażalnej rany, potem dostaje drgawek jak tonąca w powietrzu ryba na haczyku, aż wreszcie zupełnie przestaje się ruszać. Drax go odwraca i zaczyna przetrząsać kieszenie wojskowego płaszcza Brownleego.

– To nie mój pomysł, Michaelu – mówi przy tym. – Był tylko i wyłącznie twój.



Jest jeszcze ciemno, gdy znajdują rozpostarte na śniegu w pozycji orła zwłoki mata – zamrożone na kamień, z rozciętym gardłem, ze szkarłatnym śliniakiem, zaplute krwią. Przypuszczają, że morderstwa dopuścili się yakowie, ale wkrótce zdają sobie sprawę, że oni także nie żyją, i dopiero wtedy zauważają zniknięcie Draxa. Gdy pojmują, co zaszło, stoją w miejscu oniemiały, niezdolni objąć myślą obrazu świata wyłaniającego się z takich wydarzeń. Patrzą na Cavendisha, martwego i pokrytego szronem, jakby spodziewali się, że do nich przemówi, że wypowie jeszcze ostatni, nieprawdopodobny komentarz na temat własnego zgonu.

Przed upływem następnej godziny grzebią go w płytkiej bruździe, wyżłobionej na szczycie cypla, i okrywają ciało kawałami skały i kamieniami wyważonymi z czoła klifu. Ponieważ yakowie byli poganami, przez co ich obrzędy pogrzebowe są raczej niejasne, zostawiają ich ciała, jak je zastali – blokują tylko wejście do śnieżnego domku i burzą dach wraz z górną częścią ścian, tworząc prymitywne, tymczasowe mauzoleum. Gdy dzieło jest skończone, Otto gromadzi ludzi w namiocie i proponuje, by w tym ciężkim położeniu pomodlili się wspólnie o łaskę Pańską oraz za dusze tych, którzy niedawno odeszli. Niektórzy klękają i pochylają głowy, inni wyciągają się na całą długość bądź przysiadają ze skrzyżowanymi nogami, ziewając i skubiąc się jak małpy. Otto zamyka oczy i unosi podbródek.

– Najmiłociwszy Panie – intonuje – dopomóż nam zrozumieć Twój cel i łaskę Twoją. Uchron nas przed śmiertelnym grzechem rozpacz.

Przemawia, a pośrodku namiotu wciąż pali się lampa tranowa. Unosi się z niej zakrętas czarnego dymu; z płótna, z miejsc, do których dotarło ciepło i napotkało półcalową warstwę zgromadzonego wewnątrz lodu, skapuje woda.

– Nie wiedź nas ku złu – kontynuuje Otto – lecz daj nam wiarę w działanie Twej opatrności nawet w tym czasie niepewności i cierpienia. Nie daj nam zapomnieć, że świat ten powstał z Twej miłości i na niej się wspiera w każdej upływającej chwili.

Webster, kowal, głośno kaszle, wystawia głowę z namiotu i spluwa na śnieg. Drżący na kolanach McKendrick zaczyna cicho łkać, a wraz z nim kuk i jeden z Szetlandczyków. Sumner, w którym połączenie strachu z głodem wywołuje zawroty głowy i mdłości, usiłuje skoncentrować się na sprawie kajdan. Zakłada, że ponieważ Drax nie mógł popełnić trzech morderstw z przegubami skutymi z kostkami, musiał się jakoś wcześniej uwolnić. Ale jak tego dokonał? Przy pomocy yaków? A może Cavendisha? Tylko dlaczego ktoś miałby chcieć pomóc w ucieczce człowiekowi pokroju Draxa? A jeśli już mu pomogli, to dlaczego wszyscy trzej skończyli martwi?

– Czuwaj nad duszami tych, którzy dzisiaj pomarli, i wskazuj im drogę – przemawia Otto.

– Chron ich w czasie podróży przez odmienne dziedziny czasu i przestrzeni. A nam dopomóż, byśmy ani na chwilę nie zapomnieli, że jesteśmy częścią Twej wielkiej tajemnicy, żeś zawsze obecny, i nawet jeśli próba ujrzenia Cię zakończy się dla nas porażką, jeśli pomylimy Cię z jakimś pomniejszym bytem, Ty zawsze będziesz z nami. Dziękujemy Ci, Panie. Amen.

„Amen” powraca do niego chórem nieharmonijnych pomruków. Otto otwiera oczy i rozgląda się wokół, jak gdyby zaskoczony, gdzie też nagle się znalazł. Proponuje, żeby zaśpiewali hymn, ale zanim ma szansę zacząć, przerywa mu Webster. Kowal sprawia wrażenie rozgniewanego. Jego ciemne oczy pełne są gorzkiej zaciekłości.

– Żył pośród nas Szatan we własnej osobie! – wykrzykuje. – Szatan we własnej osobie! Zaledwie przed chwilą widziałem ślady jego stóp na śniegu. Rozszczepione kopyto, znak diabła.

Wyraźne jak słońce na niebie!

– I jam to widział – dorzucą McKendrick. – Niczym ślady wieprza lub kozła, tyle że w tej zapomnianej przez Boga dziurze ni wieprzków, ni kozłów nie uświadczysz.

– Żadnych takich śladów nie było – mówi Otto. – Nie było w ogóle żadnych śladów, nie licząc tych, które pozostawiły psy. Nie masz innego diabła niżli ten w nas. Zło nie jest niczym innym jak stroniem od dobra.

Webster kręci głową.

– Drax to Szatan, któren przybrał ludzką postać – oświadcza. – Nie jest człowiekiem jak wy czy ja, tylko tak wygląda, jeśli akurat zechce.

– Henry Drax nie jest diabłem – klaruje Otto cierpliwie, jakby wyprowadzał kogoś z podstawowego błędu. – Jest udręczoną duszą. Widywałem go w snach, niejednokrotnie też w nich z nim rozmawiałem.

– Mam trzy trupy na zewnątrz przeciwko waszym jebanym snom – odparowuje Webster.

– Kimkolwiek jest, już stąd odszedł – przypomina Otto.

– Aye, odszedł. Ale dokąd? I kto może powiedzieć, że rychło nie powróci?

Otto wzrusza ramionami.

– Tutaj nie wróci. Dlaczego miałby to robić?

– Diabeł chadza własnymi drogami – brzmi odpowiedź Webstera. – Po mojemu robi to, co mu sprawia przy-jemność.

Perspektywa powrotu Draxa wywołuje między ludźmi rozgwar. Otto próbuje ich uciszyć, ale nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Musimy się wynosić – zwraca się Webster do wszystkich. – Znajdziemy obóz yaków, a oni doprowadzą nas do placówki jankeskich wielorybników na wyspie Black-lead. Tam będziemy bezpieczni.

– Nie wiecie, gdzie ani jak daleko znajduje się obóz yaków – zauważa Otto.

– Gdzieś na zachodzie. Jak będziemy podążać wzdłuż wybrzeża, wkrótce na niego trafimy.

– Wcześniej pomrzecie. Jak nic pozamarzacie na śmierć.

– Zaczynam mieć po uszy wysłuchiwanie cudzych zapatrywań – odpowiada Webster. – Wykonywaliśmy rozkazy, odkąd wypłynęliśmy z Hull, i właśnie, kurwa, to wpędziło nas w tę żalną sytuację.

Otto zerka na Sumnera, który przez chwilę się zastanawia.

– Zostaniecie bez namiotu – uzmysławia im wreszcie – a także bez futer i skór, które moglibyście włożyć. Nie ma tu żadnych dróg ani ścieżek, żadnych punktów orientacyjnych, które bylibyśmy w stanie rozpoznać, więc jeśli nawet obóz jest blisko, możecie go nigdy nie odszukać. Jedną noc na otwartej przestrzeni może i przetrwacie, ale drugiej już na pewno nie.

– Kto chce zostać w tym przeklętym miejscu, niech sobie zostaje – mówi Webster – ale ja nie spędzę tu ani godziny dłużej.

Podnosi się i zaczyna zgarniać dobytek. Twarz ma zawziętą i pobladłą, ruchy – rwane i wściekłe. Pozostali siedzą, wpatrują się w niego, aż w końcu McKendrick, kuk i Szetlandczyk także wstają. Zapadłe policzki McKendricka wciąż są mokre od łez. Czas spędzony w ładowni pozostawił na jego twarzy i szyi otwarte wrzody. Kuk trzęsie się niczym osaczone zwierzę. Otto doradza im zwłokę, niech jeszcze dziś wieszerzają w namiocie, a skoro już muszą, mogą wyruszyć o pierwszym brzasku, ale go nie słuchają. Gdy nalega, grożą mu uniesionymi pięściami, a Webster poprzysięga, że obije każdego, kto spróbuje stanąć im na drodze.

Niedługo później czterej mężczyźni bez ceremonii i długich pożegnań udają się w podróż. Od Sumnera otrzymują należne im racje zamrożonego foczego mięsa, a Otto wręcza Websterowi strzelbę i garść naboji. Wymieniają szybkie uściski dłoni, ale nikt po żadnej ze stron nie próbuje przemówić tudzież złagodzić napawających lękiem konsekwencji ich odejścia. Gdy obserwują oddalające się ciemne sylwetki, których zarysy kurczą się w ogólnej bezwyrazistości, Sumner zwraca się do Ottona:

– Jeśli Henry Drax nie jest Szatanem, to doprawdy nie wiem, czym może być. Jeśli ukuto słowo na określenie kogoś takiego jak on, to jeszcze go nie poznał.

– I nie poznacie – odpowiada Otto. – A przynajmniej nie z żadnej człowieczej księgi. Takiego człowieka nie zamknie się w klatce słów ani się go nimi nie spęta.

– Jak nie słowami, to czym?

– Wiarą i tylko wiarą.

Sumner kręci głową i śmieje się bezradośnie.

– Śniliście o naszej śmierci i oto spełnia się wasz sen – mówi. – Z dnia na dzień robi się coraz zimniej, jedzenia zostało nam góra na trzy tygodnie, znikąd pomocy czy ratunku. Ci czterej nieszczęśnicy, którzy właśnie wybyli, są już w zasadzie martwi.

– Cuda się zdarzają. Skoro istnieje bezgraniczne zło, czemu nie miałyby istnieć także dobro?

– Znaki, kurwa, i cuda – podsumowuje Sumner. – Tylko tyle macie do zaoferowania?

– Ależ ja wam niczego nie oferuję – odpowiada Otto spokojnie. – Nie leży to w mojej mocy.

Sumner ponownie kręci głową. Trzej pozostali członkowie załogi wycofali się do namiotu, by się ogrzać. Jest za zimno, by przeciągać pobyt na zewnątrz, ale ponieważ nie potrafi znieść myśli o powrocie do ich ponurej, wypranej z nadziei kompanii, rusza na wschód, za świeżo wykopany grób Cavendisha, aż do zamarznętej zatoki. Lód morski popękał na wietrze, powyginał się i zamarzał ponownie w gruzowy krajobraz potrzaskanych, nachylonych bloków, porozszczepianych i nieruchomych. Czarne, potężne i pełne przepychu góry wznoszą się w dali. Zwisające niebo ma barwę mlecznego kwarcu. Sumner wędruje, aż zaczyna brakować mu tchu, a twarz i stopy drętwieją. Wtedy zawraca. W drodze powrotnej idzie pod wiatr, który przeszywa warstwy ubrania, szarpie i mrozi pierś, krocze oraz uda. Myśli o Websterze, który wraz ze swymi towarzyszami podąża na zachód, i aż do głębi jestestwa przenikają go obrzydzenie i poczucie nieszczęścia. Zatrzymuje się, jęczy, pochyla i wymiotuje na zamrznięty śnieg grudami w połowie strawionego foczego mięsa. Czuje ostry ból, jakby wbijano mu w żołądek włócznię, i mimowolnie popuszcza w spodnie strużkę gówna. Przez chwilę w ogóle nie może oddychać. Zamyka oczy, czeka – wrażenie przemija. Na brwiach zamarzał mu pot, a broda stwardniała od śliny, żółci i rozdrobnionego mięsa. Podnosi wzrok na brzemienne śniegiem niebo, szeroko otwiera usta, ale nie dobywa się z nich ani dźwięk, ani słowo, więc po niedługiej chwili zamyka je i w milczeniu idzie dalej.

Równo dzielą racje, które im pozostały, i uzgadniają, że każdy przyrządzi je i zje wedle woli. Wyznaczają dyżury do pilnowania tranowej lampy i uzupełniania w niej paliwa. Ostatnia strzelba leży przy wejściu do namiotu, dostępna dla każdego, kto chciałby udać się z nią na polowanie, ale chociaż mijają ją, gdy wychodzą się wysrać, odlać lub przynieść śnieg do stopienia na wodę, nikt po nią nie sięga. Już nikt nimi nie dowodzi – rozwiął się autorytet Ottona, a Sumner jako lekarz okrętowy nic bez medykamentów nie znaczy. Mężczyźni siedzą i czekają. Śpią i grają w karty. Powtarzają sobie, że Webster i inni przyślą pomoc albo że jak amen

w pacierzu przybędą sami yakowie, szukając tamtych dwóch zabitych. Ale nikt się nie pojawia i nic się nie zmienia. Jedyna książka, jaką mają, to Biblia Ottona, lecz Sumner jej nie tyka. Nie może ścierpieć jej nieomylności sądów, napuszoneści, szermowania nazbyt łatwą nadzieją. Zamiast lektury recytuje w duchu *Iliadę*. Nocami powracają do niego całe pasaże, same z siebie, prawie kompletne, a rano je sobie wers po wersie przepowiada. Gdy pozostali widzą go mamroczącego pod nosem, zakładają, że pogrążył się w modlitwie, on zaś nie próbuje wyprowadzić ich z błędu, ponieważ bardziej szczerzej modlitwy niż ta zapewne nigdy nie zmówi.

Tydzień po odejściu Webstera i jego towarzyszy w zatoce rozpętuje się straszliwy sztorm, który zrywa namiot z zamocowań i rozdziera wzdłuż jednego szwu. Spędzają żałośliwą, mrozącą do szpiku kości noc zbici w ciasną gromadkę, ściskając zwisające i łopoczące szczątki, a rankiem, gdy się przejaśnia, zabierają się posępnie do naprawiania tego, co da się naprawić. Otto nożem marynarskim wystruguje z fiszbinu prymitywne igły, przekłuwając je i wręcza ludziom, a następnie zaczyna wyciągać z jednego z koców pasma nici. Sumner, z braku snu zeszywniały i półprzytomny, oddał się w poszukiwaniu kamieni nadających się do ponownego zakotwiczenia rogów namiotu. Idzie w porywistym, przenikliwym wietrze, a miejscami musi brnąć przez sięgające uda zasy. Gdy mijają szczyt cypla, a przed nim rozciąga się pagórkowaty lód, z którego nachylonych wierzchołków wiatr wzbija krystaliczny śniegowy pył, zauważa, że miejsce spoczynku Cavendisha popadło w stan upiornego nieładu. Kamienie osłaniające są porozrzucane, a same zwłoki – w połowie pożarte przez zwierzęta. Pozostał z nich tylko groteskowy galimatias kości, ścięgien i wnętrzności. Kawałki podartej bielizny walają się byle gdzie. Prawa stopa, odgryziona nad kostką, ale z nietkniętymi palcami, leży z boku. Głowy nie ma w ogóle. Sumner podchodzi bliżej i powoli kuca. Sięga do kieszeni po nóż i z zamrożonej masy wyważa żebro. Przez chwilę postukuje w nie i badawczo je ogląda, dotyka opuszką palca odłamanej końcówki, a potem kieruje wzrok w białą dal.

Wróciwszy do namiotu, zabiera Ottona na stronę i objaśnia mu, co widział. Przez jakiś czas rozmawiają, Sumner pokazuje palcem, Otto robi znak krzyża, a potem udają się do tego czegoś, co kiedyś było domkiem ze śniegu, i zaczynają gołymi rękami rozkopywać zlodowaciałe ruiny. Gdy docierają do sztywnych, zamrożonych ciał yaków, oswabadzają je i obdzierają z resztek bielizny z foczej skóry. Unoszą ciała za stopy, jakby to były taczki, i odciągają dalej od namiotu. Gdy oceniają, że odległość i położenie są właściwe, kładą trupy na śniegu. Dyszą z wysiłku, jakiego wymagał transport, a z ich głów i twarzy unosi się para. Rozmawiają jeszcze przez chwilę, po czym wracają do zrujnowanego namiotu. Sumner ładuje strzelbę i wyjaśnia pozostałym, że gdzieś po lodzie wałęsa się wygłodniały niedźwiedź, a martwi yakowie mają go przywabić.

– Z takiej bestii będziemy mieć tyle porządnego mięsa, że starczy nam na pięć miesięcy albo i na dłużej – mówi. – A skórę możemy przeznaczyć na dodatkowe odzienie.

Mężczyźni odpowiadają mu pustym wzrokiem, zubożeni, wyczerpani nad ludzkie pojęcie. Gdy proponuje im wspólny wysiłek – czyli żeby każdy przejmował strzelbę na dwie godziny i wyglądał niedźwiedzia, a inni mogliby wówczas odpocząć lub zająć się naprawianiem namiotu – odmownie kręcą głowami.

– Kiepska to przynęta na niedźwiedzia martwi yakowie – oznajmiamy mu z przekonaniem sugerującym, że już czegoś takiego próbowali i wynik ich rozczarował. – Ten plan nie zadziała.

– Mimo to pomóżcie mi – nalega Sumner. – W czym to może zaszkodzić?

Ale oni się odwracają i zaczynają rozdawać karty: raz, raz, raz – dwa, dwa, dwa – trzy, trzy, trzy.

– Taki niedorzeczny plan nie zadziała – powtarzają, a ich posępna pewność siebie niesie im pociechę. – Ani teraz, ani nigdy.

Sumner siada pod ścianą namiotu, naładowaną strzelbę kładzie sobie u stóp i wygląda przez wyciętego w szarym płótnie judasza. Gdy tak tkwi w tym swoim punkcie obserwacyjnym, z góry opada gawron, sadowi się na czole starszego yaka, dziobie kilkakrotnie zbitą płataninę zamarzniętych włosów, po czym rozpościera skrzydła, podrywa się do lotu i oddala. Sumner zastanawia się, czy do niego nie wypalić, ale woli oszczędzić proch. Jest cierpliwy, nabrał nadziei. Nie ma wątpliwości, że niedźwiedź znajduje się w pobliżu. Po niedawnej uczcie mógł wprawdzie zasnąć, ale jak się obudzi, znowu będzie głodny. Powęszy w powietrzu i przypomni sobie pobliskie skarby. Gdy robi się ciemniej, Sumner przekazuje strzelbę Ottonowi i zagląda do swojego składziku z prowiantem. Wycina dwucalową kostkę foczego mięsa, nabija ją na czubek noża i podpieka nad lampą tranową. Pozostała trójka, nie przerywając niekończącej się gry w eukera, uważnie go obserwuje. Po jedzeniu Sumner kładzie się i okrywa.

Wydaje mu się, że minęła zaledwie chwila, gdy Otto budzi go poszturchiwaniem. Na wierzchu koca, gdzie wilgoć oddechu wsiąkła w wątek, zgromadził się lód. Otto informuje, że niedźwiedzia nadal ani śladu. Sumner wlecze się do judasza i ponownie przezeń wygląda. Dwa martwe ciała są tam, gdzie je zostawili, odsłonięte i ułożone niczym upiorne gisanty członków jakiejś z dawna zapomnianej dynastii. Sumner opiera się o strzelbę i przywołuje niedźwiedzia siłą woli. Usiłuje przedstawić sobie jego nadejście, chwilę, w której wynurza się z mroczności na wolno kroczących łapach. Wyobraża sobie jego zaciekawienie i czujność. Przyciąga go zapach mięsa niezwykłych ciał, odpycha wrażenie dziwności i obcości.

Siedząc tak, przysypia. Śniąc mu się łowy na pstrąga w jeziorze Bilberry. Jest lato, on ma na sobie koszulkę z krótkim rękawem i kanotier, nad nim i pod nim rozpościera się błękitna przestrzeń nieba i wody, a jezioro wszędzie dookoła okalają wiązy i dęby. Ma pstro w głowie, jest szczęśliwy. Kiedy się budzi, zauważa w oddali jakiś ruch. Zastanawia się, czy to nie śnieg zamiatany wiatrem albo lód przemieszczający się w zatoce, ale wówczas spostrzega niedźwiedzia, całkiem białego na tle spopieliałych ciemności. Obserwuje, jak zwierzę podchodzi do trupów z opuszczonym łbem, miarowo, bez jakiegokolwiek skwapliwości czy pośpiechu. Wolniutko odsuwa na bok połę namiotu, sprawdza piston, odciąga kurek i unosi strzelbę w pół drogi do ramienia. Niedźwiedź jest wysoki i zwalisty, ale ma patykowate nogi i wychudł wokół żeber. Obwąchawszy jedno i drugie zwłoki, unosi łapę i kładzie ją na piersi starszego yaka. Wszyscy w namiocie śpią. Otto cicho pochrapuje. Sumner klęka. Opiera łokieć na kolanie i przyciska kolbę do miękkości prawego ramienia. Unosi muszkę i spogląda wzdłuż lufy. Niedźwiedź jest skrawkiem bieli wśród rozleglejszej ciemności. Sumner nabiera powietrza, robi wydech i wypala. Kula chybia łba, ale trafia wysoko w łopatkę. Sumner chwyta woreczek z nabojami i wypada z namiotu. Potyka się dwukrotnie, gdyż śnieg jest głęboki i nierówny, ale się prostuje. Gdy dociera do ciał, spostrzega rozległą łąkę krwi, a za nią usiany z kropli szlak wiodący do przodu. Niedźwiedź jest już niemal ćwierć mili dalej, biegnie nierówno, preferując prawą przednią łapę, jak gdyby lewa była okaleczona bądź zdrętwiała. Sumner rzuca się w pogoń. Jest pewien, że zwierzę nie ucieknie. Że wkrótce albo upadnie i zdechnie, albo odwróci się, by podjąć walkę.

Daleko na wschodzie niebo słabo bieleje. W mrocznych szeregach ściśniętych chmur otwierają się wąskie opalowe szczeliny. Naciągnięty, pozbawiony wyrazu horyzont szarzeje, następnie brązowieje, aż wreszcie staje się błękitny. Gdy Sumner dociera na szczyt cypla, płuca i gardło bołą go z zimna. Dyszy, a w uszach dudni mu krew. Nie zatrzymując się, niedźwiedź mija zbezczeszczone miejsce pochówku, a potem skręca na północ, na pole lodowe. Sumner na krótko traci go z oczu, ale dostrzega ponownie, gdy ranne zwierzę wyłania się zza kopiastego rumowiska grzbietu ciśnieniowego. Lekarz pnie się za nim w górę i przed siebie, ślizgając się i gramoląc, upuszcza strzelbę, ale jakoś ją podnosi. Prowadzą go głębokie ślady i plamy krwi.

Bolą go nogi, serce mu wali, ale powtarza sobie, że to tylko kwestia czasu, że z każdą upływającą minutą zwierzę coraz bardziej słabnie. Dalej brnie poprzez śnieg. Po obu stronach niczym spadziste dachy na pół zatopionej wioski wznoszą się wysokie, twarde jak skała lodowe odłamki. Pod ich osłoną tworzą się i rozlewają na boki ziarniste cienie.

Niedźwiedź, mimo że raniony, przemieszcza się jednostajnie i pewnie, jakby obrał dawno temu wykreślony kurs. Niebo zapełniają wąskie zwoje chmur, na szczytach szare i brązowe, od dołu ozłocone blaskiem przebijającego się słońca. Prą przed siebie człowiek i zwierzę w prymitywnym pochodzie, przemierzając krajobraz tak potrzaskany, tak nierówny, że mógł go ze zdruzgotanych fragmentów jakiejś zaprzęsłej nietkniętości uformować prostaczek. Po godzinie lód wygładza się w szeroką na milę równinę, a jego łagodnie żebrowana powierzchnia przypomina ogarze podniebienie. W jej połowie, jakby nagle zdał sobie sprawę ze zmiany otoczenia, niedźwiedź najpierw zwalnia, a potem zatrzymuje się i odwraca. Sumner widzi wymalowaną na jego boku smugę czerwieni i unoszące się nad pyskiem słupy pary. Po chwili bezruchu wyjmuje z kieszeni patron z woskowanego papieru, odgryza końcówkę i wsypuje czarny proch w otwór lufy. Wpycha też do niej kulistą końcówkę ładunku, odrywa nadmiar papieru i dociska zawartość lufy stemplem. Trzęsą mu się przy tym ręce. Czuje, jak płuca świszczą i huczą mu w piersi niczym miechy w kuźni. Przetrząsa kieszeń w poszukiwaniu pistonu, a znalazłszy, umieszcza go pod iglicą. Wolno kroczy przed siebie. Gdy odległość między nim a zwierzęciem wynosi nie więcej niż trzysta stóp, kładzie się na połałdowanym lodzie. Czuje na brzuchu i udach jego chłód. Głowę spowija mu para. Niedźwiedź nic nie robi, chociaż uważnie się przygląda. Jego boki unoszą się w ciężkim oddechu. Z pyska ściekają strużki śliny. Sumner unosi muszkę, koryguje jej położenie, odciąga kurek i – pomny poprzedniego podejścia – celuje o stopę w lewo. Mruganiem przepędza pot z oczu, mruży je i pociąga za spust. Słyszy ostry trzask eksplodującego pistonu, ale nie czuje odrzutu. Niedźwiedź reaguje parsknięciem na ten niespodziewany odgłos, okręca się i znów zaczyna biec. Pienia się pod nim obłoczki śniegu. Przeklinając niewypał, Sumner gramoli się na nogi, wyrzuca stary piston i zakłada nowy. Staje pewniej, celuje raz jeszcze, wypala, ale niedźwiedź jest już za daleko i pocisk go nie sięga. Sumner obserwuje przez chwilę uciekiniera, a potem zarzuca strzelbę na ramię i rusza jego śladem.

Za skrajem lodowej równiny wypiętrza się kolejny grzbiet ciśnieniowy, brązowokrawędzisty i wąty u szczytu. Tarasy i basztopodobne występy na jego spadzistych zboczach nadają mu wygląd pradawnego fortu oblężniczego. Niedźwiedź biegnie na zachód, póki nie znajduje luki, a wtedy wskakuje w nią i mozolnie brnie na przełaj. Wzeszłe słońce zasmużone chmurami nie daje żadnego odczuwalnego ciepła. Pot skapuje na brwi i brodę Sumnera, gdzie zamarza w twarde pajetki. Niedźwiedź zwolnił i teraz już idzie, ale Sumner również. Gdy przemierzają grzbiet, a potem kolejne faliste śnieżne pole, odległość między nimi prawie się nie zmienia. Lekarz zyskuje dwadzieścia jardów, lecz znowu je traci. Ból w nogach i piersi jest ostry i palący, ale również stały. Zastanawia się, czy nie zawrócić, lecz tego nie robi. Pogoń nabrała już własnego rytmu, ma wzór, który nie tak łatwo zakłócić. Gdy Sumner odczuwa pragnienie, sięga w dół i je śnieg, gdy głód – pozwala mu narastać, osiągnąć kulminację i ustąpić. Oddycha, idzie, niedźwiedź stale go wyprzedza, wysoko na grzbiecie oznaczony krwią, okolony parą, a ślady zostawia szerokie i okrągłe jak miski zupy.

Sumner stale oczekuje, że stworzenie nie da rady, że osłabnie i zacznie zdychać, ale wciąż do tego nie dochodzi. Ono trwa. Czasami Sumner czuje do niego wściekłą, niepohamowaną nienawiść, kiedy indziej znów – chorą odmianę miłości. Mięśnie zadu marszczą luźne niedźwiedzie futro. Wielkie łapy unoszą się i opadają jak kafary. Najpierw jeden, potem drugi mijają uwięzłą w krze górę lodową, wysoką na dwieście stóp, szeroką na milę, ascetycznie pionową i płaskoszczytą niczym romboidalny czop wygasłego wulkanu. Jej strome, znaczone wrębami boki są pożyłkowane błękitem, a ich podstawę osłaniają cholewy naniesionego śniegu. Sumner nie ma zegarka, ale podejrzewa, że już minęło południe. Zdaje sobie sprawę, że zapuścił się zbyt daleko, że jeśli nawet ubije niedźwiedzia, to mięsa i tak do obozu nie doniesie. Prawda ta kłopotczy go przez chwilę, ale zaraz jej moc rozrzedza się i blaknie, a on, wciąż idąc przed siebie, świadom jest tylko unoszenia się i opadania swych stóp na śniegu, a także głuchego szumu własnego przyspieszonego oddechu.

Mniej więcej godzinę później docierają do długiego szeregu wysokich czarnych klifów o bezglebowych stokach, pokreślonych zakosami bladoszarych pasm lodu. Niedźwiedź miarowo człapie wzdłuż nich, aż wreszcie natrafia na ciasny, spowity cieniem wyłom w skalnej ścianie. RzUCA za siebie spojrzenie, po czym ostro skręca i znika z widoku. Sumner podąża za nim. Dotarłszy do przesmyku, skręca, jak skręcił niedźwiedź, a wtedy objawia mu się długi, wąski, zaczipowany lodem fiord o stromych zboczach i bez widocznego ujścia. Z lewa i z prawa poznaczone żlebami wysokie szare skały szukają drogi ku odbarwionemu niebu. Sumner, który przystanął u progu, by się porozglądać, odnosi wrażenie, że już tu kiedyś był, że to miejsce jest mu w jakiś sposób znane. Może zwiastował mu je sen, rozważa, albo jakiś zrodzony z opium kaprys fantazji. Przekracza próg i rusza w dalszą drogę.

Po białym jak kość dnie kotliny, między strzelistymi ścianami z gnejsu i granitu człowiek i zwierz – odrębni, mimo to upiornie ze sobą zrośnięci – podążają w rozciągniętym tandemie, jak gdyby szli korytarzem lub przedsionkiem wyłożonym śniegiem, zadaszonym niebem. Sumner czuje wagę strzelby obciążającej ramię i uporczywy ból w źle zrośniętej nodze. Z głodu miewa zawroty głowy, jest też poważnie osłabiony. W dodatku zaczyna prószyć śnieg – z początku lekko, potem gęściej i gęściej, i coraz zacieklej.

Gdy wiatr i mróz zyskują na sile, a śnieg sypie zwartymi skośnymi uderzeniami, Sumner traci niedźwiedzia z oczu. Zwierz pojawia się przed nim i znika w postaci urywanych,

rozdygotanych mgnień niczym obraz w zootropie. Jego kontur się zamazuje, gmatwa i koniec końców rozplywa. Niedługo później znikają też niebo i klify i lekarz widzi już tylko popielne iteracje zamieci – czyste wirowanie i nieustanny ruch – ale niczego dookreślonego, odrębnego, wyrazistego. Zawikłany w okach tej dezorientującej sieci traci wszelkie poczucie czasu i kierunku. Ogłupiały i bliski wyczerpania zatacza się w tył i w przód, co zdaje się trwać godzinami, chociaż mogą to być najwyżej minuty, może nawet sekundy. W końcu przypadkiem potyka się o rozciągnięty piarg i znajduje schronienie za moregowatym głazem. Gdy kuli się pod jego osłoną, gromadzą się w nim i łamią fale trwogi i paniki. Trzęsie się z zimna, czuje też, że jego przesiąknięte potem ubranie twardnieje na podobieństwo zbroi kolczej. Stracił już czucie zarówno w stopach, jak i w dłoniach. Doskonale wie, że zaszedł o wiele za daleko; zbłądził z drogi do swego rzeczywistego celu, jest zagubiony i oszołomiony, a jego klęska się dopełniła.

Kieruje wzrok w górę, w nieprzejrzysty opad, i widzi stojącego naprzeciwko martwego chłopca, brudnego i bosego, przyodzianego w *dhoti* oraz mokry od krwi tabard. Dzieciak w jednej ręce trzyma przywędły liść kapusty, a w drugiej – blaszany kubek z wodą. Bulgocząca w jego piersi rana po kuli ma teraz wylot na plecach. Tam, gdzie zgodnie z naturą powinno być jego serce, żółcieje plama światła wielkości monety. Przypomina wąski otwór strzelniczy w grubym zamkowym murze. Sumner unosi prawą rękę, ale chłopiec nie odwzajemnia tego niezręcznego pozdrowienia. Może jest na mnie zły, myśli Sumner. Nie, jednak nie, mały płacze, a zobaczywszy to, lekarz sam zaczyna łkać ze współczucia i wstydu. Gorące łzy spływają mu po policzkach, by zestalić się i zamarznąć w splątanych krańcach brody. Gdy tak siedzi i szlocha, odnosi wrażenie, że zaczyna się skraplać, że gubi własny kształt, osuwając się w zamęt smutków i żalów. Telepie się pod wpływem przenikliwych dreszczy. Oddech mu zwalnia, a serce bije ospale i niechętnie. Sumner wyczuwa śmierć, rejestruje jej mogilną obecność, węższy w batożącym wietrze jej fekalną woń. Chłopiec wyciąga do niego rękę, a Sumner poprzez judasza w jego piersi widzi miniaturę innego świata: idealnego, zupełnego, niemożliwego. Wpatruje się przez chwilę, zauroczony genialnością jego stworzenia, ale w końcu się odwraca. Otula się ściśle ramionami, wciąga powietrze i popatruje wokół. Dziecko gdzieś przepadło i na byt znów składają się rozszałały sztorm i ukryty w nim niedźwiedź, którego Sumner musi zabić, jeśli zamierza przeżyć. Podciąga kolana pod brodę, obejmuje je przez chwilę. Podnosi się z trudem i ładuje strzelbę odrętwiałymi, drżącymi palcami. Skończywszy, wychodzi zza głazu i krzyczy w lodowate powietrze:

– Wyłaż mi tu! Wyłaż mi tu, feralne bydlę ty! Niechże cię wreszcie ustrzele!

Nie ma żadnej reakcji, niczego poza śniegiem niesionym przez wiatr i milczącymi płytami lodu i skał. Ślepo spogląda przed siebie i woła jeszcze raz. Sztorm nie słabnie ani odrobinę, słychać zawroźnienie porywistego wiatru. Sumner równie dobrze mógłby stać samotnie na powierzchni odległego mroźnego księżycy – oblodzonego, bezsłonecznego i wyludnionego. Krzyczy po raz trzeci, a wtedy, jak niespodziewany duch wywołany wbrew jego woli, niecałe trzydzieści jardów przed nim, częściowo przesłonięty niosącym się śniegiem, ale wyraźnie widoczny, pojawia się niedźwiedź. Widać poszarpane brzegi rany na łopatce, białe śniegowe siodło na grzbiecie. Patrzy na człowieka obojętnie, z jego nozdrzy niczym dym z dogasającego ogniska uchodzi para. Sumner unosi strzelbę i chwiejnie celuje w jego ogromną pierś. Umysł ma czysty. Nie zostało już nic, o czym można by decydować, na co można by mieć nadzieję. Istnieje wyłącznie ta konkretna chwila, to wydarzenie. Sumner robi wdech, następnie wydech, jego serce wypełnia się krwią, a potem opróżnia. Ściąga spust, słyszy zapalający się proch, słyszy huk i czuje kopnięcie.

Niedźwiedź opada na kolana i przewraca się na bok. Pogłos niesie się echem wśród wysokich skał – głośnym, potem cichszym i jeszcze cichszym. Sumner opuszcza broń i biegnie



do cielska. Kuca, kładzie obie ręce na wciąż jeszcze ciepłym boku, po czym wciska twarz i palce głęboko w futro. Dobywa zza pasa wielorybiczny nóż, wecuje krawędź oselką i sprawdza ostrość kciukiem. Pierwsze nacięcie wykonuje przy pachwinie; płata stamtąd miękkie mięso brzucha, aż natrafia na mostek. Zaczyna piłować kość i w końcu dociera do gardła. Przerzyna tchawicę, zapiera się obcasem o jedną stronę rozpołowionej klatki piersiowej, drugą chwyta obiema rękami i rozłamuje żebra. Czuje nagłe kuchenne ciepło niedźwiedzich narządów wewnętrznych oraz posmak unoszącego się z nich upojnego fetoru. Upuszcza nóż na śnieg i wciska nagie dłonie w parujące trzewia zabitego stworzenia. Ma wrażenie, że jego zmarnięte palce zaraz rozlecą się pod wpływem ciepła. Zgrzyta zębami i wpycha ręce głębiej. Gdy ból się zmniejsza, wyciąga je ociekające czerwienią, wciera w twarz i brodę gorącą krew, po czym znowu sięga po nóż i zaczyna rozcinać i usuwać wnętrzności niedźwiedzia. Wrywa serce, płuca, jelita i żołądek. Pozostaje głęboka jama w połowie wypełniona parującą sadzawką czarnej cieczy – krwi, moczu, żółci. Sumner pochyla się i zaczyna pić, złożonymi dłońmi niczym chochlą szybko unosząc płyn do ust. Gdy tak pije i gdy niedźwiedzie ciepło wnika w niego bezpośrednio jak eliksir – gardłem do pustego żołądka i dalej – zaczyna się trząść, a potem dostaje drgawek. Minutę później targają nim niekontrolowane spazmy, jego oczy wywracają się w głąb czaszki i ogarnia go ciemność.

Gdy atak mija, Sumner leży na brzuchu, do połowy zasypany naniesionym śniegiem. Brodę ma sztywną od zakrzepłej niedźwiedziej posoki, dłonie zabarwione na ciemnoczerwono, a rękawy bosmanki przemoczone po łokcie. Usta, zęby i gardło oblepia mu krew, zarówno zwierzęca, jak i ludzka. Brakuje mu czubka języka. Sumner podnosi się na nogi i rozgląda. Wiatr skowycze, a mroźne powietrze jest gęste od ciągnących jedna za drugą fal zacinającego lodu. Sumner nie widzi już ani klifów, ani zbocza piargu, ani nawet głazu, który niedawno dał mu osłonę. Opuszcza wzrok na wypatroszone niedźwiedzie truchło, na rozszczepioną i otwartą klatkę piersiową ziejącą jak pusty grobowiec.

Stoi przez chwilę nieruchomo, namyśla się, po czym, jakby wchodził do wanny, pochyla się i zanurza w poźłobionej szkarłatnej jamie. Rozdzielone kości zamykają się nad nim niczym zęby. Czuje, jak zeszywniałe mięśnie prasują się i rozprężają pod jego ciężarem, czuje świeży, mokry zapach jatki i nikłą, ale przecudną pozostałość zwierzęcego ciepła. Wtłacza marynarskie buty w opróżnioną jamę brzuszną i jak płaszczem zimowym ciasno otula się pozbawionym życia mięsem. Wciąż słyszy zawodzący wiatr, ale go nie odczuwa. Ciasna i unaczyniona ciemność odgradza go jak trumna. Gdy tak leży, okaleczony język zaczyna puchnąć mu w ustach, krew i ślina bąbelkują, wyciekają mu z ust i skapują na brodę. Pragnie się pomodlić, przemówić, w jakiś sposób dać znać o sobie. Wspomina Homera – zwłoki bohatera, igrzyska pogrzebowe, zbroję pogiętą i popękaną – ale gdy usiłuje wymamrotać początkowe daktyle, z jego odczłowieczonych ust zamiast słów dobywa się godny dzikusa bełkot złożony z prymitywnych pochrząkiwań i dyszenia.

Obcy pokryty jest krwią – przesiąkł nią od stóp do głów, jakby się w niej kąpał. Przypomina oskórowaną fokę albo martwo urodzone dziecko, dopiero co wypchnięte z łona matki. Oddycha – ledwie, ledwie – ale zaklejone krwią oczy ma zamknięte i jest na pół zamrożony. Odciągają ciało na bok i zostawiają je tam na czas potrzebny, by oprawić niedźwiedzia i wyciąć mięso, które następnie pakują na sanie. Jeden z myśliwych zabiera strzelbę obcego, inny – jego nóż. Debatują, czy zabić go tam, gdzie leży, czy zabrać do obozu. Po krótkiej sprzeczce uzgadniają, że jednak wezmą go ze sobą. Kimkolwiek jest, rozumują, los draniowi sprzyja, a ktoś, komu aż tak sprzyja los, zasługuje na drugą szansę. Podnoszą go i układają na saniach. On z lekka postępuje. Szturchają go i potrząsają nim, ale się nie budzi. Wpychają mu śnieg do ust, który jednak topi się tylko na zmasakrowanym języku i wycieka na policzki różowawymi strużkami.

W obozie zimowym żony dają mu wodę i podgrzaną foczą krew do picia. Obmywają mu twarz, ręce i ściągają z niego sztywne od krwi szaty. Gdy wieść się rozchodzi, zjawiają się dzieci spragnione widowiska. Przypatrują się, trącają, chichoczą. Kiedy otwiera oczy, uciekają z piskiem. Wkrótce zaczynają rozchodzić się plotki. Zdaniem jednych to *angakoq*, duchowy przewodnik zesłany przez samą Sednę, by pomóc im w polowaniach. Inni z kolei uważają, że jest złym duchem, nikczemnym *tupilaq*, którego dotyk zabija i który samą swoją obecnością wywołuje choroby. Łowcy konsultują się z szamanem, który uprzedza ich, że obcy nie wydobrzeje, dopóki nie wróci do swoich. Powinni go zabrać na południe, mówi im, do nowej misji nad Coutts Inlet. Pytają go, czy nieznamy jest rzeczywiście takim szczęściarzem, za jakiego go uznali, i czy jakaś część jego szczęścia im się udzieli. Szaman odpowiada, że w rzeczy samej, jest takim szczęściarzem, za jakiego go uznali, ale chodzi tu o szczególną, obcą odmianę szczęścia.

Przenoszą go na sanie, okutanego w skóry, niemrawo dygoczącego, i wiozą przez skute lodem jezioro i letnie tereny łowieckie na południe, do misji. Pomalowana na czerwono chata stoi na niewielkim wzniesieniu. Pod nią rozciąga się zamrożone morze, za nią wznoszą się wysokie góry. Sąsiaduje z nią obszerne igloo, z którego przez otwór w dachu unosi się kreska czarnego dymu, a przed wejściem śpią spętane psy zaprzęgowe. Przybyłych łowców wita ksiądz, jasnooki żyłasty Anglik o siwiejących włosach i brodzie, z którego twarzy bije szczerłość, ale też zajadły sceptycyzm. Wskazują na Sumnera i wyjaśniają, gdzie i w jaki sposób go znaleźli. Gdy na obliczu duchownego maluje się powątpiewanie, rysują palcami na śniegu mapę linii brzegowej i wskazują konkretne miejsce. Ksiądz kręci głową.

– Człowiek nie może, ot tak, pojawić się znikąd – stwierdza.

Tłumaczy, że przypadek jest szczególny, że człowiek ten to najpewniej *angakoq*, a skoro tak, to mieszkał dotychczas w domu na dnie morza z Sedną, jednooką boginią, i jej ojcem Angutem. Tym księdza irytują. Zaczyna im raz jeszcze opowiadać (co zresztą zawsze robi) o Jezusie, a potem wraca do chaty i wynosi z niej zieloną księgę. Stoją przy saniach i słuchają, jak czyta im w łamanym *inuktitut*. Słowa mają jakiś tam sens, ale opowieści wydają im się naciągane i dziecinne. Gdy kończy, uśmiechają się i kiwają głowami.

– To może jest aniołem – mówią.

Ksiądz spogląda na Sumnera i zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, nie jest – odpowiada. – Możecie być tego pewni.

Wnoszą Sumnera do środka i kładą na łóżku polowym nieopodal paleniska. Duchowny

okrywa go kocami, a następnie kuca i próbuje obudzić potrząsaniem.

– Kim jesteście? – pyta. – Na jakim statku zeście przyплыли?

Sumner otwiera do połowy jedno oko, ale nawet nie próbuje zareagować. Kapłan marszczy brwi, nachyla się i uważnie bada jego poczerńiałą od odmrożeń fizjonomię.

– *Deutsch?* – docieka. – *Dansk? Russkij?* Szkot? Co będzie tym razem?

Sumner przez chwilę odpowiada mu spojrzeniem, w którym brak zarówno zainteresowania, jak i zrozumienia, po czym na powrót zamyka oko. Ksiądz jeszcze przez jakiś czas przy nim kuca, ale wreszcie kiwa głową i się prostuje.

– Kimkolwiek jesteście – mówi – poleżcie sobie trochę i wypocznijcie. Porozmawiamy później.

Następnie parzy myśliwym kawę i zadaje im kolejne pytania. Po ich odejściu poi Sumnera brandy za pomocą łyżeczki do herbaty i naciera jego odmrożenia sadłem. Skończywszy doglądanie chorego, siada za stołem przy oknie i pisze coś w zielonej księdze. Przy łokciu ma jeszcze trzy grube, oprawne w skórę tomiszczą, które co i raz otwiera, a zajrzawszy do nich, kiwa głową. Jakiś czas później zjawia się Eskimoska z garnkiem gulaszu. Ubrana jest w dłuższy z tyłu anorak z jeleniej skóry i czarną wełnianą czapkę. Na jej czole i grzbietach obu dłoni widnieją równoległe linie niebieskich tatuaży. Ksiądz zdejmując z półki nad drzwiami dwie ciężkie białe miski, a papiery i książki odsuwa na bok. Połowę gulaszu przelewa chochlą do jednej miski, pozostałą część – do drugiej. Kobieta wskazuje Sumnera i mówi coś w swoim narzeczu. Ksiądz kiwa głową, a jego odpowiedź wywołuje uśmiech na jej twarzy.

Leżący nieruchomo Sumner czuje zapach gorącego posiłku. Łagodna woń dociera do niego poprzez nieunerwioną mgiełkę wycieńczenia i marazmu. Nie jest głodny, ale zaczyna sobie przypominać, czym może być głód, jaki jest konkretny, obiecujący charakter tego łaknienia. Czy stał się gotów, by do tego wszystkiego powrócić? Czy chce? Czy może? Otwiera oczy i rozgląda się – drewno, metal, wełna, tłuszcz, zieleń, czerń, szarość, brąz. Obraca głowę. Przy drewnianym stole siedzi siwowłosy mężczyzna, a na blacie stoją dwie miski z jedzeniem. Mężczyzna zamyka książkę, którą czytał, mamrocze modlitwę, wstaje i podchodzi do Sumnera z jedną z misek.

– A teraz coś zjecie? – pyta. – Dajcie, pomogę wam.

Duchowny kłęka, wsuwa rękę pod głowę Sumnera i unosi ją. Nabiera na łyżkę kawałek mięsa i przysuwa ją Sumnerowi do ust. Sumner mruga. W jego ciele rozlewa się doznanie, gęste i nieokreślone.

– Łatwiej by mi się was karmiło, gdybyście odrobinę otworzyli usta – mówi ksiądz.

Sumner nie reaguje. Pojmuje, czego się od niego chce, ale nie wykonuje najmniejszego wysiłku, żeby spełnić prośbę.

– No już – nalega ksiądz.

Umieszcza sam czubek metalowej łyżki na dolnej wardze lekarza i delikatnie naciska. Usta Sumnera lekko się rozchylają. Duchowny szybko unosi łyżkę i mięso zsuwa się na okaleczony język chorego. Zostaje tam przez chwilę.

– Żujcie – podpowiada ksiądz, samemu naśladowując żucie i pokazując na swoją szczękę, żeby Sumner na pewno zrozumiał. – Nic wam z niego nie przyjdzie, jeśli nie przeżujecie jak należy.

Sumner zamyka usta. Czuje, jak wsącza się w niego smak mięsa. Przeżuwa raz, drugi, połyka. Uderza go ostry ból, po którym następuje bardziej tępe ćmienie.

– Dobrze – chwali ksiądz.

Nabiera kolejny kawałek mięsa i powtarza czynność. Sumner zjada jeszcze trzy takie kawałki, ale czwarty wypada na podłogę nieprzeżuty. Ksiądz ze zrozumieniem opuszcza głowę Sumnera na koc.

– Później spróbujemy z kubkiem herbaty – oświadczają. – Zobaczymy, jak sobie z nim poradzicie.

Po upływie dwóch dni Sumner jest w stanie usiąść i zjeść samodzielnie. Ksiądz podprowadza go do krzesła, okrywa jego ramiona kocem i zasiadają razem po dwóch przystających bokach małego stołu.

– Ci, którzy was znaleźli, uważają was za kogoś, kogo zwą *angakoq* – objaśnia duchowny. – W języku eskimoskim oznacza to czarownika. Wierzą, że niedźwiedzie mają wielką moc i że jakaś jej część spływa na konkretnych, wybranych ludzi. Dotyczy to oczywiście także innych zwierząt – jeleni i morsów, fok, a nawet, jak sądzę, niektórych ptaków morskich – ale w ich mitologii najpotężniejszy jest niedźwiedź. Ci, których jest duchem, zdolni są do czynienia największej magii: potrafią uzdrawiać, przepowiadać przyszłość i tak dalej.

Zerka na nieznanego, wypatrując jakichś oznak, że został zrozumiany, ale Sumner beznamiętnie wbija wzrok w swój posiłek.

– Widziałem kilku *angakoq* przy pracy i nie są oczywiście nikim innym niż kuglarzami i szarlatanami. Stroją się w przerażające maski i inne zuchwałe ozdoby, odprawiają w igloo wspaniałe pieśni i tańce, ale nie ma w tym absolutnie nic więcej. Ohydne to pogańskie rytuały, najprymitywniejsze z przesądów, ale nic innego nie znają, bo i skąd mieliby znać. Większość z nich nie widziała Biblii, zanim tu dotarłem, ni razu nie słyszała żarliwie głoszonej ewangelii.

Sumner przelotnie podnosi na niego wzrok, ale nie przerywa żucia. Ksiądz uśmiecha się blado z zachęcającym skinieniem głową, Sumner jednak nie rewanżuje się uśmiechem.

– Powolna to praca – kontynuuje duchowny – i żmudna. Jestem tu sam od wczesnej wiosny. Miesiące trwało, nim zdobyłem ich zaufanie, najpierw podarkami, czyli nożami, paciorkami, igłami i tym podobnymi, potem zaś aktami życzliwości, udzielaniem pomocy, gdy była im potrzebna, dodatkowymi ubraniami lub lekami. Dobrotliwy to ludek, ale nader prymitywny i dziecinny, niemalże niezdolny do abstrakcyjnego myślenia czy jakichś wyższych uczuć. Mężczyźni polują, kobiety szyją i karmią dzieci piersią i to w zasadzie określa granice ich zainteresowań i wiedzy. Mają coś w rodzaju metafizyki, to prawda, ale siermiężnej i interesownej, zresztą z tego, co wiem, wielu z nich nawet w nią nie wierzy. Moim zadaniem, rzecz można, jest pomóc im dorosnąć, nauczyć ich własnej duszy, wykształcić w nich samoświadomość. Dlatego właśnie tłumaczę tę oto Biblię. – Wskazuje ruchem głowy stos książek i kartek. – Jeśli zrobię to, jak należy, jeśli znajdę w ich języku właściwe słowa, nie wątpię, że wówczas zaczną pojmować. Koniec końców są przecież stworzeniami bożymi nie mniej niż wy czy ja.

Ksiądz nabiera na łyżkę kawałek mięsa i niespiesznie przeżuwa. Sumner sięga po kubek z herbatą, podnosi go, pije małymi łykami, z powrotem odstawia naczynie na blat. Po raz pierwszy od wielu dni czuje, jak gromadzą się w nim słowa, jak się dzielą, kumulują, nabierają mocy, przyjmują kształt. Wie, że wkrótce zaczną podchodzić do gardła, wyleją się na zmaltretowany, owrzodzony język, aż wreszcie, czy będzie mu się to podobało, czy nie, przemówi.

Ksiądz spogląda na niego.

– Chorzyście? – pyta.

Sumner kręci głową. Na krótko unosi prawą dłoń, a potem otwiera usta. Wszystko na moment ustaje.

– Jakie leki? – odzywa się.

Wydaje z siebie niewyraźny bełkot. Ksiądz, choć wygląda na zbitego z tropu, uśmiecha się i skwapliwie nachyla.

– Powtórzcie – prosi. – Nie do końca zrozumiałem...

– Medykamenty – powtarza Sumner. – Me-dy-ka-men-ty. Jakie macie?

– Ach, me-dy-ka-men-ty – pojmuje ksiądz. – Oczywiście, oczywiście.

Wstaje, udaje się do składziku na tyłach chaty i powraca z niewielką apteczką. Kładzie ją na stole przed Sumnerem.

– To wszystko, co mam – powiada. – Naturalnie bardzo często używałem soli, kalomelu też, gdy tubylcze dzieci dostawały biegunki.

Sumner otwiera pudełko i zaczyna wyjmować butelki i słoiczki, zerkając na zawartość i czytając etykiety. Ksiądz przygląda się jego poczynaniom.

– Jesteście lekarzem? – pyta. – Tym się paracie?

Sumner zbywa pytanie milczeniem. Opróżnia apteczkę i odwraca ją do góry dnem, by się upewnić, że na pewno nic w niej nie zostało. Patrzy na rozstawioną na blacie kolekcję i kręci głową.

– Gdzie laudanum? – chce wiedzieć.

Ksiądz marszczy brwi, ale nie odpowiada.

– Laudanum – powtarza Sumner głośnie. – Gdzie się, kurwa, podziało laudanum?!

– Nic nie zostało – odpowiada duchowny. – Miałem buteleczkę, ale ją zużyłem.

Sumner na chwilę zamyka oczy. Gdy ponownie je otwiera, ksiądz starannie układa lekarstwa w apteczce.

– Dowiedziałem się przynajmniej, że posługujecie się zrozumiałym angielskim – mówi. – A bałem się przez chwilę, że jesteście Polaczkiem, Serbem lub nosicie jakieś inne dziwne miano.

Sumner sięga po miskę i łyżkę i jakby nic się nie wydarzyło, wraca do posiłku.

– Skąd pochodzicie? – pyta go ksiądz.

– To, skąd pochodzę, nie ma większego znaczenia.

– Dla was może i nie, ale ktoś, kto zdany w tym miejscu tylko na siebie z pewnością by umarł, a jest karmiony i trzymany w ciepłe, mógłby uznać, że jego dobroczyńcy należy się trochę uprzejmości.

– Zwrócę ojcu za jedzenie i opał.

– A kiedyż to, jestem ciekaw?

– Wiosną, gdy wrócą wielorybniki.

Ksiądz kiwa głową i siada na krześle. Przeczesuje palcami czubek siwej brody, drapie się paznokciem kciuka po podbródku. Policzki ma zaczerwienione, ale stara się zachować miłosierdzie w obliczu Sumnerowych zniewag.

– To, co was spotkało, niektórzy mogliby nazwać cudem – mówi po chwili milczenia. – Znalaziono was na lodzie zachowanego przy życiu w brzuchu martwego niedźwiedzia.

– Ja bym tak tego nie nazwał.

– Zatem jak?

– Może powinien ojciec zapytać niedźwiedzia.

Ksiądz wpatruje się w niego przez chwilę, po czym wybucha szczekliwym śmiechem.

– Och, rzuca się w oczy, że należycie do tych inteligentnych – stwierdza. – Trzy dni leżeliście cisi jak mogiła, nawet słowo nie padło z waszych ust, a teraz, jak już wstaliście, dworujecie sobie ze mnie.

– Zwrócę ojcu za jedzenie i opał – powtarza Sumner beznamiętnie. – Niech tylko załapię się na kolejną koję.

– Zostaliście tu przysłani z jakiegoś powodu – oznajmia mu ksiądz. – Człowiek nie pojawia się ot tak, znikąd. Nie wiem jeszcze, jaki to powód, ale wiem, że dobry Bóg musiał w tym mieć jakiś cel.

– Nie – odpowiada Sumner po chwili. – Byle nie ja. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi

bajędami.

Pół tygodnia później nadciągają sanie z dwoma myśliwymi, których ksiądz dotychczas nie widział. Wkłada anorak, jednopalczaste rękawice i wychodzi na zewnątrz. Kobieta, której chrześcijańskie imię brzmi Anna, opuszcza igloo w tym samym momencie, wita się z mężczyznami i proponuje im jedzenie. Rozmawiają z nią przez kilka minut, a potem, mówiąc wolniej, żeby mógł ich zrozumieć, zwracają się do księdza. Tłumaczą, że o dzień drogi stąd natrafili na zniszczony namiot, w którym leżało czterech zamarzniętych na śmierć białych mężczyzn. Na dowód pokazują mu przedmioty, które stamtąd zabrali – noże, liny, młotek, zatłuszczony egzemplarz Biblii. Zapytani, czy wrócą tam, by przywieźć ciała, którym należałoby zapewnić odpowiedni pochówek, kręcą głowami i oznajmiają, że nie mogą przerwać łowów. Karmią psy mięsem morsa, posilają się i trochę odpoczywają w igloo, ale nie zostają na noc. Przed odjazdem usiłują sprzedać mu Biblię, a gdy nie zgadza się na wymianę, obdarowują nią kobietę o imieniu Anna. Gdy są już daleko, Anna przychodzi do chaty i wyjaśnia, że w obozie białych ludzi myśliwi znaleźli także zwłoki dwóch Eskimosów. Obaj byli rozebrani do naga, sprawozdaje, a jednego zabito nożem. Celuje palcem we własną szyję, by wskazać rozmieszczenie ran.

– Jedna tutaj – mówi – a druga tu.

Później, gdy obaj mężczyźni zostają sami, przemyślawszy sprawę raz jeszcze, ksiądz relacjonuje Sumnerowi opowieść myśliwych. Wygląda jego reakcji.

– Jak rozumiem, zostaliście znaleźieni w miejscu nieodległym od tego, w którym napotkali zwłoki – mówi. – Domyślam się, że znaliście zmarłych. Sądzę nawet, że byli waszymi towarzyszami rejsu.

Sumner, który siedzi przy palenisku i struga kawałek drewna dryftowego, drapie się po nosie i potakuje ruchem głowy.

– Byli martwi, gdyście ich opuszczali? – pyta ksiądz.

– Tylko yakowie.

– Nie myśleliście, żeby tam wrócić?

– Wiedziałem, że zamieć ich zabije.

– Was nie zabiła.

– Powiedziałbym, że dała z siebie wszystko.

– Kto zamordował Eskimosów?

– Niejaki Henry Drax, harpunnik.

– Dlaczego miałby popełnić taki czyn?

– Bo zależało mu na ich saniach. Potrzebne mu były do ucieczki.

Ze zmarszczonymi brwiami, kręcąc głową na te niesłychane wieści, duchowny sięga po fajkę i nabija ją tytoniem. Robi to drżącymi rękami. Sumner mu się przygląda. W palenisku za nimi ogień cyka i potrzaskuje.

– Musiał się udać na północ – stwierdza ksiądz po krótkiej ciszy. – Północne plemiona Ziemi Baffina stanowią własne prawa. Jeśli do nich trafił, nigdy, żadnym sposobem nie dowiemy się, gdzie jest ani kim się stał. Możliwe, że jest martwy, ale najpewniej przehandlował sanie za schronienie i wyczekuje wiosny.

Sumner kiwa głową. Obserwuje rozmigotane, wiszące w pociemniałej szybie okiennej odbicie płomienia świecy. Za nim widzi biały obrys igloo, a jeszcze dalej – sięgającą wysoko intensywną czarność gór. Na myśl, że Henry Drax gdzieś tam ciągle żyje, przechodzi go dreszcz.

Ksiądz wstaje. Wyjmuje z szafki przy drzwiach butelkę brandy i nalewa im obu po

szklance.

– A was jak zwa?

Sumner gwałtownie podnosi na niego wzrok, ale zaraz wraca do strugania swojego drewnianka.

– Na pewno nie Henry Drax – odpowiada.

– Więc jak?

– Sumner. Patrick Sumner z Castlebar.

– Człowiek z Mayo – rzuca ksiądz lekko.

– Aye – potwierdza Sumner. – Kiedyś tam.

– I jakież to są twoje dzieje, Patricku?

– Takie, o których nie warto opowiadać.

– Daj spokój – słyszy od księdza. – Przecież każdy człowiek ma swoją historię.

Sumner kręci głową.

– Ja nie.

Każdej niedzieli w największym pomieszczeniu chaty ksiądz udziela komunii. Przepycha stół pod ścianę, sprząta książki i papiery, okrywa blat lnianym obrusem, stawia na nim krucyfiks, a w mosiężnych lichtarzach umieszcza dwie świece. Przygotowuje cynowy dzban i puchar na wino, a także wyszczerbiony porcelanowy półmisek na hostie. Anna i jej brat zawsze uczestniczą w ceremonii, czasami z pobliskiego obozu schodzi też czworo lub pięcioro innych. Sumner robi za ministranta. Zapala świece, potem je zdmuchuje. Przeciera gałgankiem krawędź pucharu, by pozostała czysta. Gdy jest to konieczne, czyta nawet na głos z Pisma Świętego. Uważa to wszystko za absurd, prymitywny człowieczy cyrk z księdzem w roli konferansjera i tresera lwów zarazem, ale wychodzi z założenia, że łatwiej z tym żyć raz w tygodniu, niż toczyć skazane na niepowodzenie spory przy każdej okazji. Ale co o tym myślą Eskimosi, nie potrafi sobie przedstawić. Stoją lub klęczą w zależności od tego, co akurat jest wymagane, a nawet, na miarę swoich możliwości, śpiewają psalmy. Podejrzewa, że w duchu są rozbawieni, że traktują to jako odmianę egzotycznej rozrywki w monotonnym poza tym bezmiarze zimy. Wyobraża sobie, jak po powrocie do igloo robią sobie żarty z księżowskiej solenności i wesoło naśladują jego bezcelowe niespieszne gesty.

Którejś niedzieli, gdy po zakończeniu obrzędu skromne stadko parafian pali fajki bądź sączy z kubków słodzoną herbatę, Anna informuje księdza, że pewna Eskimoska z obozu ma niedomagające dziecko i poprosiła ją o leki. Ksiądz słucha, kiwa głową, udaje się do składziku i odszukuje w apteczce butelkę tabletek kalomelu. Wręcza kobiecie dwie białe pigułki, każe jej rozłupać je na pół i co rano dawać jedną połówkę dziecku, które, jak zaznacza, powinno być ciasno opatulone. Sumner, siedzący na swoim stałym miejscu przy palenisku, obserwuje, ale się nie odzywa. Gdy ksiądz się oddala, wstaje i podchodzi do Eskimoski. Gestami daje do zrozumienia, że chciałby obejrzeć jej dziecko. Ta mówi coś do Anny, a usłyszawszy odpowiedź, wyjmuje dziecko z kaptura anoraka i podaje je Sumnerowi. Oczy maleństwa są ciemne i zapadnięte, a dłonie i stopy – zimne. Uszczyknięte w policzek, nie skarży się ani nie płacze. Sumner zwraca dziecko matce, po czym sięga za palenisko i wyciąga z ocynkowanego wiadra małą bryłkę węgla. Obraca ją pod obcasem, liże palec wskazujący i macza go w czarnym proszku. Otwiera niemowlęciu usta, rozsmarowuje węglowy pył na jego języku, a następnie splukuje miał wodą zaczerpniętą łyżeczką od herbaty. Niemowlę czerwienieje, kaszle, ale w końcu przeryka. Sumner wyjmuje z kubła większą bryłkę węgla i wręcza ją Annie.

– Każ jej robić to, co właśnie widziała – zaleca. – Najlepiej cztery razy dziennie,

a pomiędzy niech do oporu poi dziecko wodą.

– Białe tabletki też? – pyta Anna.

– Nie, ma je wyrzucić – odpowiada Sumner. – Tylko pogorszą sprawę.

Anna marszczy brwi i opuszcza wzrok na swoje stopy.

– Powiedz jej, że jestem *angakoq* – nakazuje. – Ksiądz nigdy nie posiadzie wiedzy, jaką mam ja.

Oczy Anny się rozszerzają. Kręci głową.

– Tego nie mogę jej powiedzieć – protestuje.

– Więc przekaz jej, że sama musi dokonać wyboru. Tabletki albo węgiel. Decyzja należy do niej.

Odwraca się, otwiera scyzoryk i powraca do strugania. Gdy Anna usiłuje ponownie do niego przemówić, opęda się od niej machnięciem ręki.

Dwaj eskimoscy myśliwi, którzy uratowali Sumnerowi życie, powracają do misji tydzień później. Ich imiona to Urgan i Merok. Obaj mają skołtunionie włosy, są obszarpani, radośni i chłopięcy. Ich prastare anoraki są poprute i powycierane, a baniaste spodnie z niedźwiedziej skóry pociemniały od płam z foczego tłuszczu i soku tytoniowego. Po przybyciu, spętaniu psów i wymianie grzeczności z Anną i jej bratem odciągają księdza na bok i wyjaśniają, że chcieliby zabrać Sumnera na następne polowanie.

– Nie potrzebują cię, żebyś polował – uprzedza ksiądz niedługo później. – Chcą tylko, żebyś z nimi był. Podejrzewają, że masz czarodziejskie moce i że zwierzęta będą do ciebie ciągnąć.

– Jak długo by mnie nie było?

Ksiądz wychodzi na zewnątrz dopytać.

– Mówią, że tydzień – przekazuje. – Proponują ci komplet nowych futer do odzienia i godziwą część zdobyczy.

– Powiedzcie im, że się zgadzam – decyduje Sumner.

Duchowny kiwa głową.

– Dobrze mają serca ludziska, ale są prości, zacofani i nie znają ani słowa po angielsku – mówi. – Przebywając wśród nich, będziesz miał okazję stać się przykładem wartości cywilizacyjnych.

Sumner patrzy na niego i wybucha śmiechem.

– Niczym podobnym się, kurwa, nie stanę.

Ksiądz wzrusza ramionami.

– Jesteś lepszym człowiekiem, niż ci się wydaje – odpowiada mu. – Owszem, masz swoje tajemnice, ale w końcu już od jakiegoś czasu cię obserwuję.

Sumner oblizuje wargi i spluwa do paleniska. Kleks flegmy koloru khaki przez chwilę się pieni, a potem znika.

– Wobec tego będę wdzięczny, jak przestaniecie obserwować. Kim jestem albo nie jestem, to chyba tylko moja sprawa.

– Prawda, to sprawa między tobą a Panem – zgadza się ksiądz – ale z przykrością patrzę, jak porządny człowiek błędnie się ocenia.

Sumner wygląda przez okno na dwóch Eskimosów, którzy sprawiają wrażenie flejtuchów, i na ich łacie stado psów.

– Winniście zachować swoje dobre rady dla tych, którzy najbardziej ich potrzebują – odpowiada.



– Chrystusowych porad udzielam, nie własnych. A jeśli żyje na świecie człowiek, któremu nie są potrzebne, to jeszcze go nie spotkałem.

O poranku Sumner wkłada nowo otrzymane szaty i sadowi się na szczycie sań. Myśliwi wiozą go do swojego zimowego obozu, niskiego zespołu połączonych igloo, gdzie na udeptanym i zasikany śniegu rozsiane są sanie, tyczki namiotowe, ramy do suszenia oraz kawałki drewna i kości. Przybyłych wita podekscytowana gromadka kobiet i dzieci, a także rejwach rozszczękanych psów. Sumner zostaje zaprowadzony do jednego z większych igloo, gdzie wskazuje mu się miejsce do siedzenia. Igloo, od góry do dołu wyściełane skórami reniferów, oświetla i ogrzewa umieszczona na środku steatytowa lampa tranowa. W jego mrocznym, podszytym wilgocią wnętrzu cuchnie zastarzałym dymem i rybim olejem. Pozostali wchodzą do środka za Sumnerem. Niosą się śmiechy i rozmowy. Sumner nabija główkę fajki, a Urgang zapala mu ją świecą ze skóry wieloryba. Ciemnonokie dzieci ogryzają opuszki palców i przyglądają się w milczeniu. Sumner do nikogo się nie odzywa, nie próbuje się też porozumieć spojrzeniem bądź gestem. Skoro wierzą, że jest obdarzony magią, to niech i tak będzie. Nic go nie zobowiązuje do wyprowadzania ich z błędu, do uczenia ich czegokolwiek.

Obserwuje, jak jedna z kobiet podgrzewa nad lampą metalowy rondel pełen foczej krwi. Gdy gorący płyn zaczyna parować, zdejmuje naczynie z niskiego płomienia i podaje obecnym. Wszyscy kolejno piją i przekazują je dalej. Sumner pojmuję, że nie jest to ryt ani ceremonia – oni w ten sposób się posilają. Kręci głową, gdy rondel do niego dociera, a gdy mu go wciskają, przyjmuje, wacha i wręcza mężczyźnie po prawej. Oferują mu zatem kawał surowej foczej wątroby, ale jej także odmawia. Zdaje sobie sprawę, że ich tym obraża, spostrzega w ich oczach przebłyśki smutku i pomieszania i zastanawia się, czy nie lepiej, nie prościej będzie ustąpić. Gdy rondel zatacza koło, przyjmuje go i pije. Smak nie jest nieprzyjemny, Sumner żywił się gorszymi rzeczami. Przypomina mu tłustą i nieposoloną zupę ogonową. Upija jeszcze trochę, by okazać dobre chęci, po czym przekazuje rondel dalej. Wyczuwa ich ulgę, ich przyjemność, że przyjął ofiarowany mu dar, że w jakiś sposób do nich dołączył. Nie ma im za złe tego przekonania, choć wie, że to nieprawda. Nie dołączył do nich – nie bardziej jest Eskimosem niż chrześcijaninem, Irlandczykiem czy lekarzem. Jest nikim, a tego przywileju, tej radości nie ma najmniejszej ochoty oddawać. Gdy posiłek jest skończony, zaczynają się zabawy i muzyka. Sumner obserwuje tubylców, a nawet do nich dołącza, gdy go o to proszą. Wyrzuca w górę piłkę z kości morsa i usiłuje ją złapać do drewnianego kubka, nieudolnie naśladuje ich śpiew. Śmieją się i walą go w ramię, rozbawieni pokazują go palcami. On zaś sobie mówi, że robi to dla kompletu nowych futer, dla obiecanego przydziału foczego mięsa, choć wszystko, co otrzyma, odda księdzu. Tak na siebie zarabia.

Śpią wszyscy razem na wybudowanym ze śniegu podwyższeniu pokrytym gałęziami i skórami. Nie ma między nimi rozgraniczeń, nie ma barier, żadnych prób znalezienia intymności, stworzenia hierarchii, żadnego odgradzania się od reszty. Są, duma Sumner, jak bydło leżące obok siebie w oborze. Czasami budzi się w środku nocy i słyszy pieprzącą się parę. Wydawane przez nią odgłosy przywodzą na myśl nie rozkosz czy upust napięcia, ale coś w rodzaju narzuconej guturalnej potrzeby. Wczesnym rankiem budzi go i podaje mu wodę Punnie, jedna z dwóch żon Urganga – szeroka w ramionach przysadzista kobieta o płaskiej twarzy i zaciętej minie. Urgang i Merok przygotowują już na zewnątrz sanie do polowania. Gdy wychodzi, by do nich dołączyć, spostrzega, że są spokojniejsi i mniej hałaśliwi niż wcześniej. Domyśla się, że przyczyną jest podenerwowanie. Prawdopodobnie bez opamiętania chełpili się magicznymi mocami białego człowieka i obawiają się, że mogli powiedzieć za dużo.

Gdy wszystko jest już gotowe, Sumner wsiada na sanie i wyjeżdżają na lód. Pokonują kilka mil wzdłuż linii brzegowej, a zatrzymują się w miejscu, które zdaniem Sumnera niczym się

nie różni od dziesiątków innych miniętych bez przystawania. Zdejmują harpuny, przewracają sanie i mocno klinują je w śniegu, by psy ich nie odwlokły. Wyprzęgają jednego z czworonogów i puszczają luzem, żeby węszył w poszukiwaniu otworu wentylacyjnego. Sumner się przygląda, rusza za nimi, ale oni nie zwracają na niego uwagi, więc w końcu zaczyna się zastanawiać, czy nie położyli na nim kreski, czy coś, co powiedział lub zrobił, nie kazało im zwątpić w jego nadprzyrodzone moce. Gdy pies, poszczekując, zaczyna biegać w kółko, Merok chwyta go za sierść na karku i odciąga. Urgan gestem nakazuje Sumnerowi pozostać na miejscu, a następnie, trzymając harpun pionowo w jednej ręce niczym pielgrzymi kostur, wolno podchodzi do przerębla. Zbliżywszy się wystarczająco, zdrapuje nożem pokrywę śnieżną. Zagląda do otworu, nasłuchuje z przekrzywioną głową, po czym nagarnia śnieg na szczyt, zakrywając dziurę, którą przed chwilą zrobił. Wyciąga spod anoraka kawałek foczej skóry, kładzie go na śniegu i staje na nim. Ugina nogi w kolanach i pochyla się w kierunku otworu. Długi harpun o ostrym żelaznym grocie trzyma oburącz poziomo przy udach, a sam wygięty jest w przód.

Sumner zapala fajkę. Urgan przez długi czas stoi nieruchomo, aż nagle, jakby poderwany do działania cichym zawołaniem jakiegoś mistycznego kwakerskiego wewnętrznego głosu, jednym gwałtownym, niepodzielnym mgnieniem ruchu unosi harpun i poprzez luźną pokrywę śnieżną wraza go w ciało foki, która wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza. Żelazny grot z zadziarami, przez który przewleczona została lina, oddziela się od drzewca. Urgan łapie ją obiema rękami, wbija obcas w śnieg i szarpie, walcząc z niewidoczną, rzucającą się w dole raną foką. Podczas tych zmagañ z lodowej wyrwy rytmicznie wzbija się spieniona woda. Na początku jest czysta, następnie staje się różowa, a potem jasnoczerwona. Gdy foka wreszcie zdycha, dziura wypływa duży bąbel ciemnej i gęstej krwi, która rozlewa się na lodzie u stóp Urganga. Eskimos klęka, jedną ręką chwyta nóż, w drugiej nadal trzymając linę, i rąbie krawędzie otworu. Podbiega do niego Merok i pomaga mu wywlec martwą fokę na powierzchnię. Wyciągnąwszy ją, przepychają żelazny grot harpuna przez dolną część foczego ciała, ponownie mocują go do drzewca, a otwarte rany zatykają czopami z kłów morsa, by zapobiec dalszemu upływowi cennej krwi. Foka jest ogromna, istny olbrzym, niemal dwukrotnie większa niż zwykle. Ruchy zajmujących się nią myśliwych są pilne i radosne. Sumner czuje ich uniesienie, ale też pragnienie jego stłumienia, by nie zakłócili czystości tego momentu osobistą przyjemnością. Gdy wszyscy trzej wracają po karbowanej powierzchni lodu do sań, ciągnąc za sobą martwą fokę jak worek kruszcu, głęboko w jego piersi, niby odpowiedź na niezadane pytanie, wzbiera migotliwe ciepło niezasłużonego zwycięstwa.

Później, gdy obaj myśliwi oprawiają fokę i rozdają porcje mięsa i tłuszczu innym rodzinom z obozu, dzieci gromadzą się wokół stojącego Sumnera, ciągną go za pantalone z niedźwiedziej skóry, dotykają jego ud i ocierają się o nie, jak gdyby miały nadzieję, że udzieli im się trochę szczęścia, które ze sobą przywiózł. Usiłuje się od nich opędzić, ale nie zwracają na to uwagi. Rozprasza się, dopiero gdy ze swoich igloo wychodzą kobiety. Wygląda na to, że rozmiary foki potwierdziły jego status. Eskimosi uwierzyli, że ma magiczne moce, że potrafi przywołać zwierzęta z głębin i wystawić je na harpuny łowców. Sumner podejrzewa, że nie jest pełnoprawnym bogiem, ale został co najmniej kimś w rodzaju pomniejszego świętego, takiego od pomagania i wstawiania się. Wspomina chromolitografię świętej Gertrudy, wiszącą w salonie Williama Harpera w Castlebar – złota aureola, gęsie pióro, najświętsze serce leżące na jej wyciągniętej dłoni niby błogosławiony burak ćwikłowy. Czy to jest bardziej absurdalne lub nieprawdopodobne, zastanawia się, czy choćby bardziej grzeszne? Ksiądz z pewnością miałby to i owo do powiedzenia na ten temat, ale Sumner niespecjalnie się tym przejmuje. Ksiądz przebywa w całkiem innym świecie.

Później pod jelenimi skórą przyciska się do niego Punnie – jej zadek przy jego kroczu.

Sumner w pierwszej chwili sądzi, że po prostu zmieniła pozycję, że śpi jak wszyscy inni, ale gdy robi to ponownie, jej intencje stają się jasne. Ma grube kończyny, jest niska, szeroka w biodrach i już niemłoda. Jej płasko zakończona głowa sięga mu tylko do piersi, a włosy pachną brudem i foczym tłuszczem. Gdy Sumner wyciąga rękę, by dotknąć jej płaskich piersi, nie odzywa się ani nie odwraca. Teraz, gdy już jest pewna, że się obudził, czeka na niego tak, jak jej mąż wyczekiwał wcześniej fokę na lodzie, w gotowości, ale bez roszczeń, zarówno pożądliva, jak i wyprana z wszelkiego pożądanego, niczym wszystko i nic pozostające w cichej równowadze. Sumner słyszy jej oddech, czuje słabe ciepło, jakim emanuje jej ciało. Kobieta drga jednokrotnie, po czym znów nieruchomieje. Myśli, co by mógł powiedzieć, ale zdaje sobie sprawę, że niczego takiego nie ma. Są dwoma parzącymi się stworzeniami. Zdarzenie bez większego znaczenia i bez późniejszych konsekwencji. Gdy się w nią wpycha, jego umysł pustoszeje, on zaś czuje wewnętrzną falę oczyszczającej pustki. Jest mięśniami i kością, krwią, potem i nasieniem, i – gdy szarpanie się i podrygiwanie przybliży go do nagłego i nieeleganckiego zakończenia – nie potrzebuje ani nie chce być niczym innym.

Myśliwi każdego dnia wyprawiają się i wracają z kolejną foką, a każdej nocy, pod jelenimi skórami, gdy inni są pogrążeni we śnie, on kopuluje z Punnie. Zawsze jest zwrócona do niego plecami, nie opiera się ani nie zachęca, nigdy się nie odzywa. Odsuwa się, gdy Sumner kończy. Przynosząc mu rano śniadanie – ciepłą wodę i surową wątrobę fokę – traktuje go chłodno i w żaden sposób nie okazuje, że pamięta, co między nimi zaszło. Sumner wyobraża sobie, że kieruje nią pogański model gościnności, że to sam Urgan ję do tego namówił bądź wydał jej polecenie. Przyjmuje dar takim, jakim jest, ni mniej, ni więcej. Po upływie tygodnia, gdy nadchodzi czas powrotu do misji, uświadamia sobie, że będzie mu brakowało pustki lodowej przestrzeni i niezrozumiałej paplaniny w igloo. Od przybycia do wioski nie mówił po angielsku i sama myśl o księdzu siedzącym w chacie, czekającym ze swoimi książkami i papierami, o jego poglądach, planach i doktrynach budzi w nim irytację i przygnębienie.

Ostatniej nocy, gdy kończą, Punnie, zamiast się odsunąć, odwraca się do niego. Poprzez rozcieńczony blaskiem lampy mrok Sumner widzi jej prostolinijną, dziobatą twarz, jej ciemne oczy i mały zadarty nos, zarys jej warg. Uśmiecha się do niego, a minę ma podekscytowaną i zaciekawioną. Gdy otwiera usta, by przemówić, do Sumnera z początku nie dociera, co się dzieje. Słowa brzmią jak zwykłe dźwięki, jak gardłowe gdaknięcia wydawane przez myśliwych, gdy nocą uspokajają psy, ale później z dreszczem niedowierzania pojmuję, że kobieta zwraca się do niego prymitywną, lecz zrozumiałą odmianą angielskiego, że usiłuje powiedzieć „do widzenia”.

– Do fidzenja – mówi, wciąż uśmiechnięta. – Do fidzenja.

Spogląda na nią ostro, po czym kręci głową. Czuje się obnażony i zbrukany jej staraniami. Zawstydzony. Jak gdyby nad obojgiem rozbłysło jasno płonące światło i objawiło światu ich żalostną nagość. Pragnie, żeby na powrót umilkła, żeby znów ignorowała go tak, jak robiła do tej pory.

– Nie! – odszeptuje jej z wściekłością. – Dość tego. Nigdy więcej.

Następnego dnia, gdy dociera do misji, jest zimno i ciemno, a zorza rozwija się na nocnym niebie perystaltycznymi smugami zieleni i purpury na podobieństwo luźno skręconych trzewi niemożliwej mitycznej bestii. Księdza napotyka w chacie; zaszył się w niej, leży na łóżku i narzeka na ból żołądka. Anna, zgodnie z jego wskazówkami, położyła mu na brzuchu kataplazm, a z apteczki przyniosła olej rycynowy i wilec czyszczący. Ksiądz wyjaśnia, że jest fatalnie zczopowany i jeśli nic się wkrótce nie ruszy, może potrzebować lewatywy. Sumner

parzy sobie herbatę i podgrzewa blaszankę bulionu. Je, a duchowny mu się przygląda. Zapytany o wyprawę myśliwską, Sumner opowiada o fokach i ucztowaniu.

- Jak widzę, utwierdzasz ich jedynie w przesądach – komentuje ksiądz.
- Pozwalam im wierzyć, w co tylko chcą. Kim jestem, żeby się wtrącać?
- Utrzymywanie ich w ignorancji to żadna dla nich przysługa. Wiodą życie

barbarzyńców.

- Nie mam lepszych prawd, które mógłbym im przekazać.

Ksiądz wykrzywia usta w grymasie.

- Zatem kim dokładnie jesteś – pyta – skoro tak się sprawy mają?

Sumner wzrusza ramionami.

- Człkiem zmęczonym i głodnym – odpowiada – który zaraz zje kolację i pójdzie spać.

Nocą księdza dopada ostry atak biegunki. Sumnera budzą donośne postękiwania i chłapięcia. Powietrze w chacie jest gęste od aksamitnego odoru płynnych fekaliiów. Anna, która spała na podłodze zwinięta w kłębek, wstaje, żeby pomóc. Wręcza księdzu czystą szmatkę do podarcia i opróżnia nocnik na zewnątrz. Po powrocie opatula go kocami i poi odrobiną wody. Sumner tylko się przypatruje – nie porusza się ani nie odzywa. Ksiądz wydaje mu się krzepki i zdrowy jak na swój wiek, lekarz więc zakłada, że zaparcie zostało wywołane zwykłymi niedostatkami arktycznej diety, która jest, jaka jest, czyli nie zawiera zbóż, warzyw ani żadnych owoców. Ale teraz zadziałały środki przeczyszczające. Sumner jest pewien, że duchowny już niedługo znów będzie dawnym sobą.

O poranku ksiądz oświadcza, że znacznie mu się polepszyło. Śniada w łóżku, wyprostowany, i prosi Annę, by przyniosła mu książki i papiery, bo chciałby kontynuować swą pracę naukową. Sumner wychodzi na dwór, by już na zawsze pożegnać się z Urgangiem i Merokiem, którzy spędzili noc w igloo. Obejmują się we trzech jak starzy przyjaciele. Zgodnie z umową dają mu jedną fokę, ale otrzymuje też od nich na pamiątkę stary harpun. Wskazują na broń, potem na Sumnera, a potem w przestrzeń, na lód. Lekarz pojmuje, o co im chodzi: ma polować na własną rękę, gdy oni już odjadą. Wybuchają śmiechem, a Sumner kiwa głową i uśmiecha się do nich. Przyjmuje harpun i odgrywa przebijanie foki przez lód. Wiwatują i śmieją się, a kiedy powtarza pantomimę, aplaudują jeszcze głośniejsze. Sumner miarkuje, że troszkę sobie z niego podrwiwają. Przypominają mu, że wprawdzie ma magiczne moce, ale wciąż pozostaje białym człowiekiem, a sam concept, że biały człowiek może sprawnie posługiwać się harpunem, jest w istocie komiczny. Patrzy, jak ich sanie znikają za granitowym cyplem, a potem wraca do chaty. Ksiądz notuje coś w dzienniku. Anna zamiata. Sumner pokazuje im harpun. Duchowny uważnie go ogląda, a następnie przekazuje Annie, która oświadcza, że broń jest wprawdzie solidna, ale za stara, by nadawała się do użytku.

Na lunch spożywają rozkruszone suchary z bulionem. Ksiądz pochłania wszystko, co przed nim postawiono, ale chwilę później, niemal tuż po ostatniej łyżce, wymiotuje tym na podłogę. Jeszcze przez chwilę zostaje na krześle, pochylony, kaszlący i plujący, a potem wpełza do łóżka i woła, żeby dać mu brandy. Sumner udaje się do składziku, przynosi stamtąd buteleczkę proszku Dovera, rozpuszcza łyżeczkę w wodzie i każe księdzu wypić. Wykonawszy polecenie, duchowny zapada w drzemkę. Gdy się budzi, wygląda na blejszego i skarży się na silniejsze bóle w dolnej części brzucha. Sumner sprawdza mu tętno i ogląda język, który okazuje się obłożony. Uciska palcami księżowski brzuch. Skóra jest napięta, ale nie ma żadnych oznak ruptury. Gdy uciska tuż nad linią kulszy, duszpasterz krzyczy i składa się wpół. Sumner cofa rękę i wygląda przez okno – na zewnątrz prószy śnieg, a na szybach osiadł gęsty szron.

- Brandy powinna odrobinę pomóc, jeśli ojciec utrzyma ją w żołądku – mówi.
- Modlę się do Boga, żeby móc się odlać – odpowiada ksiądz – ale udaje mi się wycisnąć

najwyżej kropelkę.

Anna siedzi przy łóżku i swoją cichą, kulawą angielszczyzną czyta listy świętego Pawła do Koryntian. Gdy popołudnie przechodzi w wieczór, bóle księdza się nasilają; duchowny zaczyna jęczeć i dyszeć. Sumner przygotowuje gorący kataplazm i znajduje w apteczce coś łagodzącego ból. Każe Annie podawać choremu brandy i proszek Dovera, a gdy ksiądz będzie bardziej cierpiał, także środek przeciwbólowy.

Nocą ksiądz budzi się co godzinę z wybałuszonymi oczami i wyje z bólu. Sumner, który śpi przy stole z głową złożoną na splecionych ramionach, za każdym razem się podrywa; serce mu łomocze, a kiszki skręcają się w akcie współczucia. Podchodzi do łóżka, klęka i poi chorego kolejnymi porcjami brandy. Sącząc ze szklanki, ksiądz chwyta go za ramię, jakby się bał, że Sumner nagle odejdzie. Jego zielone oczy są dzikie i kaprawe, usta – spękane, a jego gorący oddech cuchnie.

Rankiem, gdy znajdują się poza zasięgiem słuchu, Anna pyta, czy ksiądz umrze.

– Tu, w środku, zrobił mu się wrzód – wyjaśnia Sumner, wskazując prawą stronę swego brzucha, tuż nad kroczeniem. – Niektóre narządy wewnętrzne popękały i jego brzuch wypełnia się trucizną.

– Ale wy go ocalicie – stwierdza Anna.

– To niewykonalne. Nic nie mogę zrobić.

– Mówiliście, że jesteście *angakoq*.

– Jesteśmy tysiąc mil, a może i więcej, od najbliższego szpitala, a ja nie mam wartych wzmianki lekarstw.

Kobieta obrzuca go niedowierzającym spojrzeniem. Sumner zastanawia się, ile może mieć lat. Osiemnaście? Trzydzieści? Trudno ocenić. Wszystkie Eskimoski mają taką samą szorstką brązową skórę, takie same małe ciemne oczy i lekko zdziwiony wyraz twarzy. Inny mężczyzna zaciągnąłby ją do łóżka, myśli Sumner, ale ksiądz przyuczył ją do czytania Biblii i odszczekiwania się.

– Po coście tutaj, skoro nie potraficie go ocalić? – pyta Anna. – W jakim celu się tu pojawiliście?

– Przez przypadek się tu pojawiłem. Moje przybycie nic nie znaczy.

– Wszyscy poza wami umarli. Dlaczego wy żyjecie?

– Nie ma żadnego dlaczego – odpowiada Sumner.

Anna mierzy go gniewnym spojrzeniem, kręci głową i wraca do wezgłowia księżowskiego łóżka. Klęka i zaczyna się modlić.

Po następnych kilku godzinach ksiądz doznaje gwałtownych ataków dreszczy, a jego skóra robi się chłodna i lepka. Puls ma słaby i nieregularny, na środku języka występuje mu rozległa smuga brązu. Gdy Anna usiłuje napoić go brandy, wymiotuje alkoholem. Sumner przez chwilę się przygląda, a następnie odziewa się w nowe futra i wychodzi z chaty. Choć panuje siarczasty mróz i jest tylko półjasno, cieszy się, że uciekł od gnilnego fetoru śmiertelnej choroby i nieustannych chrapliwych wrzasków skarżącego się księdza. Minąwszy igloo, kieruje spojrzenie na wschód, ku słabej białej paraboli horyzontu za bezkresną pustynią lodu morskiego. Jest południe, ale w górze widać gwiazdy. Nigdzie znaku życia, nigdzie najmniejszego ruchu – wszystko nieruchome, ciemne i zimne. Jak gdyby już nastąpił koniec świata, myśli, jak gdyby to on pozostał jedynym żywym człowiekiem na zlodowaciałej ziemi. Przez chwilę stoi w miejscu, zasłuchany w słaby świst własnego oddechu, czując, jak czerwony mięsień serca łagodnie dudni w piersi, po czym, opamiętawszy się wreszcie, wolno się odwraca i z powrotem idzie do chatki.

Anna okłada brzuch księdza kolejnym kataplazmem. Posyła Sumnerowi złe spojrzenie, ale on nie zwraca na nie uwagi. Otwiera apteczkę, wyjmując z niej dużą butlę eteru, zwitek szarpi

i lancet. Przez kilka minut ostrzy lancet osełką, a następnie usuwa zalegające na stole książki i przeciera blat do czysta zwilżoną szmatą. Podchodzi do łóżka i przygląda się duchownemu. Starszy mężczyzna skórę ma woskową i wilgotną, a oczy pełne bólu. Sumner kładzie dłoń na jego czole, a potem przez chwilę zagląda mu do wnętrza ust.

– Ropieje wam jelito ślepe – oznajmia. – A może owrzodziało, różnica jest nieistotna. Pomogłoby, gdybyśmy mieli w apteczce choć trochę opium, ale ponieważ nic nie zostało, najlepiej będzie rozciąć brzuch, o tutaj, żeby wylała się z was chora substancja.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Bo jestem lekarzem wojskowym.

Ksiądz zanadto cierpi, żeby skomentować lub okazać zaskoczenie, więc tylko kiwa głową. Myśli przez chwilę z zamkniętymi oczami. Wreszcie je otwiera.

– Czyli robiliście już takie rzeczy? – pyta.

Sumner kręci głową.

– Ani nie robiłem, ani nie widziałem, jak ktoś robi. Czytałem, że kilka lat temu taką operację przeprowadził niejaki Hancock w londyńskim szpitalu Charing Cross. Wtedy pacjent przeżył.

– Jesteśmy daleko od Londynu – zauważa ksiądz.

Sumner potakuje.

– Zrobię, co da się zrobić w tych warunkach, ale bez łutu szczęścia się nie obejdzie.

– Dajcie z siebie wszystko – odpowiada ksiądz – a o resztę zadba Pan, mam nadzieję.

Sumner prosi Annę, żeby poszła do igloo po brata, a gdy ten się zjawia, lekarz zwilża eterem kłębek szarpi i przykładą go do nosa i ust duszpasterza. Zdejmują z chorego szaty, podnoszą jego nagie, leżące przez ręce ciało z łóżka i układają je na stole. Sumner zapala dodatkową świeczkę, którą stawia na podokienniku, by mieć jaśniej podczas pracy. Anna się modli i szybkimi ruchami żegna znakiem krzyża, ale Sumner przerywa te pobożne zapędy, każe jej stanąć u drugiego końca stołu i aplikować eter, gdy tylko ksiądz zacznie odzyskiwać świadomość. Brat, który jest wysoki i sprawia wrażenie dobrotliwego głuptasa, otrzymuje wiadro, ręcznik i polecenie, żeby stał u boku Sumnera i czekał w gotowości.

Sumner ponownie maca brzuch, wyczuwając granice, gdzie twardość zaczyna ustępować. Zastanawia się przez chwilę, czy nie popełnia błędu, może to jednak ruptura albo guz, ale zaraz sobie przypomina, dlaczego to niemożliwe. Testuje kciukiem ostrość lancetu, przyciska narzędzie do księżowskiego brzucha i wykonuje poprzeczne cięcie, zaczynające się u szczytu kości biodrowej, a kończące w pół drogi do pępka. Przedarcie się przez warstwy osłonki, mięśni i tłuszczu i dotarcie do właściwej jamy brzusznej wymaga od niego kilku podejść. Gdy coraz mocniej naciska, gromadzi się krew, którą wyciera ściereczką, a potem dalej tnie. Kiedy tylko przebija ściankę jamy ciała, ze świeżo dokonanego wylomu tryska co najmniej pół kwarty cuchnącej kłaczkowatej ropy, mętnej i różowoszarej, która rozpryskuje się na blacie i pokrywa dłonie i przedramiona Sumnera. Pomieszczenie w mgnieniu oka wypełnia potworny fetor ekskrementów i rozkładu. Anna wydaje okrzyk przerażenia, a jej brat upuszcza wiadro. Sumner łapie powietrze i szarpie się do tyłu. Wydzielina jest fibrynowa, krwawa i gęsta jak kornwalijska śmietana; rytmicznie wypływa z wąskiego otworu niczym w ostatnich podrygach kolosalnej ejakulacji. Sumner klnie, mrużąc oczy od smrodu, spluwa na podłogę, a potem, oddychając przez usta, oczyszcza ręce z mazi i każe bratu wytrzeć stół, a brudne szmaty wrzucić do paleniska. Żeby przyspieszyć wyciek, wszyscy troje wspólnymi siłami odwracają chorego na bok, a on, poruszany, cicho jęczy. Anna drżącymi rękami przykładą do jego twarzy nasączone eterem szarpie i trzyma je tak, póki ksiądz się nie uspokaja. Sumner opuszkami palców uciska skórę i mięśnie otaczające krawędzie rany, wypychając tyle pozostałego zanieczyszczenia, ile tylko

może. Trudno uwierzyć, że ciało księdza pomieściło taką obfitość ropy. Nie jest wysoki, a rozdzielony do naga, jak teraz, wydaje się drobny, kościsty, niemal chłopięcej postury. Mimo to płyn uchodzi z niego z bulgotem jak woda spod skały. Gdy Sumner naciska, brat ściera wypływ. Naciskają, ścierają, naciskają, ścierają, aż wreszcie cuchnący wyciek powolnieje, a potem zupełnie ustaje.

Odnoszą księdza do łóżka i okrywają prześcieradłem oraz kocami. Oczyszczywszy i opatrzywszy ranę, Sumner myje ręce mydłem oliwnym i otwiera okno. We wpadającym do środka powietrzu, pozbawionym zapachu i siarczystym zimnym, wirują śniegowe cętki. Na dworze jest ciemno, a pod okapem zawodzi wiatr. Sumner wątpi, by ksiądz pożył dłużej niż dzień. Tak poważny ropień, myśli, niemal na pewno doprowadził do jakiejś perforacji jelita, a jeśli zacznie przeciekać gównem, tu już w zasadzie będzie koniec. Gromadzi kilka medykamentów, które mogą uśmierzyć lub złagodzić ból, i instruuje Annę, kiedy i jak należy je stosować. Zapala fajkę i wychodzi na zewnątrz.

Nocą, śpiąc we własnym łóżku, śni o tym, że znów znajduje się na morzu, na wolnym od lodu obszarze Wód Północy. Jest sam, dryfuje w currachu swojego kumpla Tommy'ego Gallaghera, starej i przeciekającej łódce o połatanym kadłubie i ławkach wygładzonych do połysku od częstego używania. Sumner nigdzie nie widzi wiosł, wokół nie ma też żadnego śladu jakiejś innej jednostki, ale on nie czuje strachu. Na bakburcie spostrzega górę lodową, a na jednym z jej występów, wysoko, stoi odziany w zielony garnitur z tweedu i kapelusz filcowy od Dam z Temple Bar doktor William Harper, człowiek, który go odnalazł i przygarnął. Uśmiecha się i macha. Gdy Sumner woła, żeby do niego zszedł, wybucha śmiechem, jakby sama myśl o zamianie majestatycznej góry lodowej na żalony currach zakrawała na absurd. Sumner zauważa, że oblicze Williama Harpera prezentuje się raczej normalnie, a jego prawe ramię porusza się w miarę swobodnie. Żadnych śladów paraliżu ani obrażeń, żadnego świadectwa wypadku na polowaniu, po którym mężczyzna się rozpił. Wydaje się, że został w pełni odtworzony, że znów jest idealny, kompletny. Sumner najbardziej na świecie pragnie go zapytać, jak dokonał tego nadzwyczajnego wyczynu, jakie zastosował metody, ale zdaje sobie sprawę, że currach już za bardzo się oddalił, a jego głos jest zbyt słaby, by poniósł się po wodzie.

Rano ku jego zdumieniu ksiądz wciąż oddycha i wcale nie wygląda gorzej.

– Twardy z was skurwysyn, nie powiem – mruczy pod nosem Sumner, zdejmując opatrunek i badając ranę. – Jak na kogoś, kto wierzy w życie wieczne, zdajecie się nader kurczowo trzymać znojów i waśni tego padołu.

Przeciera gałgankiem okolice nacięcia, obwąchuje wysięk, po czym wyrzuca stary opatrunek do wiadra, by później go umyć, i zakłada nowy. Gdy się tym zajmuje, ksiądz odrobinę uchyla powieki i posyła mu spojrzenie.

– Co we mnie znalazłeś? – pyta.

Głos ma chropawy i słaby. Sumner musi się nachylić, by wychwycić słowa.

– Nic dobrego – odpowiada.

– To chyba najlepiej się tego pozbyć.

Sumner potakuje.

– Spróbujcie teraz odpocząć – ordynuje. – Jeśli będziecie potrzebowali pomocy, po prostu zawołajcie albo unieś-cie rękę. Będę siedział przy stole.

– I będziesz nade mną czuwał, czy tak?

Sumner wzrusza ramionami.

– Doprawdy niewiele jest tu do roboty przed nadejściem wiosny.

– Sądziłem, że zapolujesz na foki, skoro dostałeś harpun i anorak.

– Nie jestem łowcą fok. Brakuje mi do tego cierpliwości.

Duszpasterz uśmiecha się, kiwa głową i zamyka oczy. Wygląda, jakby z powrotem odpłynął w sen, ale minutę później znowu unosi powieki, jakby przypomniał sobie coś jeszcze.

– Czemu mnie przedtem okłamałeś? – pyta.

– Nigdy was nie okłamałem. Ani razu.

– Ale osobliwy z ciebie typ, czyż nie? Niezglębiona tajemnica dla każdego, kto cię zna.

– Jestem lekarzem – odpowiada Sumner cicho. – Teraz jestem lekarzem i to wyczerpuje temat.

Ksiądz chwilę się namyśla.

– Wiem, że się nacierpiałeś, Patricku, ale nie ty jeden – odzywa się wreszcie.

Sumner kręci głową.

– Powiedziałbym, że sam sprowadziłem na siebie cierpienie. Popeliłem błędów a błędów.

– Pokaż mi człowieka, który ich nie popełniał, a ja nazwę go świętym albo wielkim kłamcą. A niewielu świętych spotkałem w tym moim długim życiu.

Ksiądz z uśmiechem wpatruje się przez chwilę w Sumnera. W kącikach ust ma zielonoszare grudki zaschniętego śluzu, a mętne oczy wyglądają, jakby spuchły w orbitach. Wyciąga rękę, którą Sumner ujmuje. Jest chłodna i prawie nieważka. Skóra nad stawami się pomarszczyła, a na opuszkach palców nabrała mdławego poblasku przetartego wyrobu garbarskiego.

– Powinniście odpoczywać – przypomina mu Sumner.

– Będę odpoczywał – zgadza się ksiądz. – Właśnie na tym się skupię.



Człowiek Baxtera czeka w kei. Nazywa się Stevens i twierdzi, że jest kancelistą, choć niespecjalnie na takiego wygląda. Ma prawie sześć stóp wzrostu, szeroką pierś i brzuch, ciemne punkciki oczu, bokobrody i braki w uzębieniu. Sumner pakuje to, co zostało z jego mizernego dobytku, do worka, żegna się z kapitanem Crawfordem i załogą „Najmilejszego”, po czym udaje się ze Stevensem na południe, ku kancelarii Baxtera na Bowlalley Lane. Skręcają w Lowgate, mijają Mansion House i gospodę Golden Galleon, mijają George Yard i Chapel Lane. Po długich tygodniach na morzu prostota i stałość łądu wydają się Sumnerowi aberracją, kuglarską sztuczką. Usiłuje przekonać samego siebie, że to wszystko – kocie łby, wozy, składy, sklepy i banki – jest rzeczywiste, choć sprawia wrażenie pieczołowicie przygotowanego przedstawienia, pozor. Gdzie podziała się woda? – zastanawia się oszołomiony. Gdzie ten cały lód?

Gdy docierają na Bowlalley Lane, Stevens mocno stuka w podwójne drzwi. Baxter otwiera jedno skrzydło. Ubrany jest w granatowy surdut lamowany koronką, kamizelkę z zielonego filcu i spodnie w prążki. Zęby ma zażółcone i koślawe, a jego siwe, przydługie włosy opadają na uszy w gładkim i upchnionym uczesaniu na pazia. Mężczyźni podają sobie ręce. Uśmiechnięty Baxter z przejęciem przygląda się Sumnerowi.

– Nie wierzyłem własnym oczom, czytając list, któryście przysłali z Lerwick – mówi, kręcąc głową. – Ale to wy, pan Patrick Sumner, cały, kurwa, i zdrowy. Myśleliśmy, że już po was, żeście utonęli lub zamrzli razem z resztą tych nieszczęśników, a jednak to wy. – Wybuchając śmiechem i klepie Sumnera w ramię. – Może byście co zjedli? – pyta. – Skusicie się na plater ostryg? Albo kiełbasę wieprzową? Albo przynajmniej na dorodny kawałek cielęcego ozora?

Sumner kręci głową. Pod gorliwą jowialnością Baxtera wyczuwa napiętą rezerwę, nawet strach. Wyobraża sobie, że jego obecność tutaj jest co najmniej zatrważająca, a może i nienaturalna. Oto człowiek, który powinien być martwy, a nie jest.

– Przybyłem tylko po wynagrodzenie – oznajmia – a potem ruszam w swoją stronę.

– Wynagrodzenie? W swoją stronę? O nie, kurwa, nic z tego. – Twarz Baxtera skręca się w udawanym oburzeniu. – Nigdzie nie pójdziecie, dopóki nie usiądziecie i nie napijecie się ze mną. Nie pozwolę na to.

Wiedzie Sumnera po schodach do gabinetu na pierwszym piętrze. Po obu stronach kominka, w którym dogasa niski ogień, stoją dwa fotele.

– Posadźcie no dupsko – poleca mu Baxter.

Po krótkim wahaniu Sumner robi, co mu kazano. Gospodarz napełnia dwie szklanki brandy i jedną podaje Sumnerowi. Lekarz ją przyjmuje. Przez chwilę milczą, po czym Baxter odzywa się ponownie.

– Oba statki zatopione przez lód, a was cudownie ocalają przechodzący jakowie – mówi.

– Niczego sobie historii macie do opowiedzenia wyczekującemu światu.

– Może i tak, ale w najbliższym czasie opowiadać jej nie zamierzam.

Baxter unosi brwi i szybko pociąga ze szklanki.

– Czemuż to? – pyta.

– Nie uśmiecha mi się sława, że jako jedyny ocalałem z „Ochotnika”. W ogóle nie powinienem trafić na ten statek. Nie powinienem widzieć tego, co tam zobaczyłem.

– Mnóstwo wdów i sierot w tym mieście najbardziej pragnie usłyszeć z pierwszej ręki prawdę o tym, co się wydarzyło. Oddalibyście im ogromną przysługę, rzekłbym.

Sumner kręci głową.

– Prawda w niczym im nie pomoże. Nie teraz.

Baxter oblizuje wargi i zakłada pasmo siwych włosów za porośnięte czarną szczecinią ucho. Uśmiecha się przelotnie, jakby rozbawił go ten koncept.

– Może i macie rację – powiada. – Zachowanie milczenia może być jeszcze większą przysługą, jak sądzę. Ludzie od dawna są martwi, więc szczegóły ich zgonów mają małe znaczenie. Po co mącić? W jakim celu? Niech nieszczęśnicy odpoczywają w pokoju, tak to widzę. Potworny był to wypadek, ale takie rzeczy trzeba przecierpieć.

Sumner wierci się w fotelu. Pociera usta i zęby nieunerwionym czubkiem zaleczonego języka.

– Trochę wypadek, a trochę nie – zauważa. – Czytaliś-cie mój list. Wiecie o morderstwach.

Baxter wzdycha, kieruje spojrzenie w bok. Upija brandy i na chwilę opuszcza wzrok na lśniące noski swoich pantofli z lakierowanej skóry.

– Przerażające – szepcze. – Po prostu przerażające. Nie mogłem uwierzyć w to, co czytam. Cavendish? Brownlee? Kurwa, chłopiec okrętowy?

– Nie macie pojęcia, kiedy zamustrował?

– Znaczy Drax? Najmniejszego, kurwa mać. Za kogo mnie bierzecie? Barbarzyńca był z niego pełną gębą, ale nie był gorszy od przeciętnego grenlandzkiego harpunnika, a od wielu, których znałem, nawet o wiele lepszy.

Sumner kiwa głową, patrząc na Baxtera. Wspomina Josepha Hannah i czuje nagły ucisk w piersi.

– Ktoś powinien go poszukać – stwierdza. – Może nawet ja. Istnieje szansa, że przeżył.

Baxter marszczy brwi i kręci głową.

– Henry Drax albo nie żyje, albo jest w Kanadzie, co, gdyby ktoś mnie pytał, wychodzi prawie na jedno. A z was lekarz, nie detektyw. Jaki macie interes w ściganiu morderców? – Czeka na odpowiedź, ale Sumner milczy. – Najwyższy czas, żebyś zostawił Draxa za sobą, Patricku – ciągnie. – Daleko za sobą, jak uczyniłeś z całą resztą. To najmądrzejsze, co możesz zrobić. W swoim czasie w taki czy inny sposób zostanie osądzony.

– Zakładam, że jeśli jeszcze kiedyś go zobaczę, będę wiedział, co robić.

– Aye. Z tym że już go nie zobaczysz – odpowiada Baxter. – Wyniósł się na dobre i obaj powinniśmy być w chuj wdzięczni za tę łaskę.

Sumner kiwa głową i sięga do kieszeni po glinianą fajkę oraz kapciuch z tytoniem. Widząc to, Baxter podchodzi do swojego biurka i wraca z pudełkiem cygar. Biorą po jednym i zapalają je.

– Trzeba mi zatrudnienia – oznajmia Sumner. – Mam przy sobie list.

– Pokaż.

Lekarz wyjmuje z kieszeni napisany przez księdza list i podaje go Baxterowi. Baxter czyta.

– To ten misjonarz, u którego przezimowałeś?

Sumner potwierdza.

– Pisze tu, że uratowałeś mu życie.

– Zrobiłem, co mogłem, ale był to przede wszystkim łut szczęścia.

Baxter składa i oddaje list.

– Znam człowieka w Londynie – mówi. – Lekarz nazwiskiem Gregory, James Gregory. Słyszałeś o nim?

Sumner zaprzecza ruchem głowy.

– Chłop dobry z kośćcami. Znajdzie ci jakieś źródło zarobku – kontynuuje Baxter. –

Jeszcze dziś do niego napiszę. Na noc zorganizujemy ci izbę w Pilgrim's Arms, a gdy nadejdzie odpowiedź od Gregory'ego, wpakujemy cię do pociągu. Ktoś taki jak ty chuja ma tutaj do roboty. Branża wielorybnicza zdycha na kolanach. Zbyt młodyś i bystry jak na Hull. Dla ludzi twojego pokroju odpowiednim miejscem jest Londyn.

– Trzeba mi mojej zapłaty – przypomina Sumner.

– *Aye, aye*, oczywiście, że ją dostaniesz. Zaraz ją przyniosę, a jak już rozgościsz się w Pilgrim's, każę Stevensowi posłać ci okrągłe pół kwarty wybornej brandy i ładną pulchniutką dziwkę, żeby łatwiej było ci wrócić do zwyczajów cywilizowanego życia.

Po wyjściu Sumnera Baxter siedzi za biurkiem i duma. Jego język, różowy na brzegach i żółty bliżej środka, drga mu w ustach, jakby każdy koncept miał swój charakterystyczny smak, jakby kolejno ich próbował. Wreszcie, po blisko półgodzinie rozmyślań wstaje, przebiega szybko wzrokiem po gabinecie, jak gdyby chciał sprawdzić, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu, po czym podchodzi do drzwi i je otwiera. Na cienistym półpiętrze, zamiast, jak to zwykle czyni, skierować się do przyziemia, wąskimi schodami o niczym niewyłożonych stopniach wspina się na poddasze. Na samej górze jednokrotnie puka i wchodzi do izby. Jest mała i stromo nachylona. Na ścianie szczytowej widnieje koliste okno, a w jednym spadzie dachu wycięto świetlik, obecnie zakurzony. Deski podłogowe są nieobrobione i nieoszlifowane, ściany – nieoszpachlowane. Umebłowanie składa się z drewnianego krzesła i metalowego łóżka polowego, na podłodze walają się puste butelki po brandy, jest też nocnik, po brzegi wypełniony ciemnym moczem, w którym pływają skręcone kawałki gówna. Baxter, zgarbiony i z osłoniętym nosem, zbliża się do łóżka i potrząsa leżącym mężczyzną. Obudzony zrzędzi, stęka, pierdzi przeciągle, po czym odwraca się i pokazuje gałkę oczną.

– No mów – odzywa się.

– Nic z tego nie będzie, Henry – odpowiada Baxter. – Za dużo wie, a to, czego nie wie, z łatwością poskłada se do kupy. Tylko tyle mogłem zrobić, żeby nie pogalopował do jebanego sędziego pokoju.

Drax opuszcza stopy na gołą podłogę i podciąga się do pozycji siedzącej. Ziewa. Drapie się.

– Nie ma pojęcia o zatopieniu – mówi. – O tym nie może wiedzieć.

– Wiedzieć może i nie wie, ale podejrzewa. Orientuje się, że coś było nie tak. Po chuj płynąć na północ, kiedy wszyscy inni żeglują na południe?

– Tak powiedział?

– Właśnie tak.

Drax sięga pod łóżko, wymacuje prawie pustą butelkę brandy i osusza ją.

– A o mnie co mówił?

– Zaklina się, że nie spocznie, dopóki cię nie znajdzie. Twierdzi, że jeśli będzie trzeba, zatrudni do tego człowieka.

– Jakiego człowieka?

– Z Kanady. Żeby wywęszył, kim się stałeś, wysledził twoje ruchy od tamtego czasu.

Drax oblizuje usta i kręci głową.

– Nie znajdzie mnie.

– Ale szukać nie przestanie. Poprzysiął to na matczynej grób. Mówiłem mu, że pewnikiem już nie żyjesz, ale nie uwierzył. „Tacy jak Henry Drax nie umierają ot, po prostu”, powiedział. „Trzeba ich zabić”.

– Zabić? Toż to, kurwa, lekarz!

– Ale służył w wojsku, nie zapominaj o tym. Oblężenie Delhi. Jakies tam jajca ma, jakby mnie kto pytał.

Drax zagląda do pustej butelki i pociąga nosem. Twarz ma spurpurowiałą, a oczy zapadłe. Baxter przeciera krzesło chusteczką i ostrożnie siada.

– Gdzie jest teraz? – pyta Drax.

– Załatwiłem mu pokój w Pilgrim's Arms. Podeślę mu dziwkę, żeby go zajęła, ale musimy to zrobić tej nocy, Henry. Nie stać nas na zwłokę. Nie sposób przewidzieć, jakie kłopoty na nas sprowadzi, jeśli rano pójdzie do sędziego pokoju.

– Chlałem cały dzień – pada odpowiedź. – Niech zrobi to dla ciebie ten leniwy chuj Stevens.

– Henry, nie mogę powierzyć Stevensowi takiego delikatnego zadania. Nie widzisz, że od tego zależy cały nasz majątek? Jeśli Sumner zacznie gadać, żaden z nas nie zobaczy pieniędzy. Ty zawiśniesz, a ja skończę w ciupie.

– To za co mu, kurwa, płacisz?

– Stevens jest w porządku, ale nie ma twojego doświadczenia ani twojego opanowania pod presją. To, że wypileś kropelkę czy dwie brandy, nie robi żadnej różnicy. Jeśli załatwisz sprawę jak należy, nawet nie dojdzie do walki.

– Ale nie można tego zrobić w Pilgrim's – zauważa Drax. – Za dużo ludzi.

– No to go wywabimy. Żaden problem. Poślę Stevensa z wiadomością, a ty zaczekasz na nich gdzieś indziej. Gdziekolwiek zechcesz się tym zająć.

– Nad rzeką. W dawnym składzie drewna na Trippet Street, za odlewnią.

Baxter kiwa głową i się uśmiecha.

– Niewielu jest na świecie takich jak ty, Henry – mówi. – Większość będzie tylko gadać, ale mało kto w razie konieczności pociągnie za spust.

Drax dwukrotnie mruga. Dolna szczęka mu opada, a gruby język pęcznieje i rozciąga się niczym jakiś bezoki, nowo zrodzony stwór.

– Trzeba będzie zwiększyć mój udział – stwierdza.

Baxter pociąga nosem i zdejmując wiszący na udzie prążkowanych spodni fragment pajęczyny.

– Ugadaliśmy się na pięćset gwinei – odpowiada. – Dobrze wiesz, że to więcej, niż zaproponowałem Cavendishowi.

– Ale to robota ekstra, no nie? – argumentuje Drax. – Coś dodatkowego.

Baxter rozważa to przez chwilę, po czym, skinąwszy głową, podnosi się z krzesła.

– W takim razie pięć i pół – oferuje.

– Szóstka jest o wiele ładniejsza, Jacobie.

Baxter zamierza coś powiedzieć, ale rezygnuje. Patrzy na Draxa, następnie sprawdza godzinę na zegarku kieszonkowym.

– Niech będzie sześć – mówi. – Ale na tym, kurwa, koniec.

Drax z ukontentowaniem kiwa głową, unosi stopy i wyciąga się na poplamionym tłuszczem, cuchnącym łóżku polowym.

– Na tym koniec – powtarza jak echo. – A gdybyś zechciał podesłać tu tę pizdę Stevensa z kolejną butelką brandy i gdyby przy okazji opróżnił nocnik, byłbym ci bezgranicznie, kurwa, wdzięczny, uwierz mi.

Baxter schodzi na podest pierwszego piętra. Odczeka tam chwilę, po czym woła Stevensa, który siedzi w holu z melonikiem na kolanach, czytając wydawanego w Hull i East Riding „Intelligencera”. Udają się do gabinetu, gdzie Baxter gestem nakazuje zamknięcie drzwi.

– Masz ten rewolwer, który ci dałem? – pyta Baxter. – I naboje do niego?

Stevens przytakuje. Baxter chce zobaczyć broń, więc Stevens wyjmując ją z kieszeni i kładzie między nimi na biurku. Dokonawszy oględzin, Baxter zwraca rewolwer.

– Mam dla ciebie robotę na dzisiejszą noc – informuje. – Słuchaj uważnie.

Stevens znów przytakuje. Baxter z przyjemnością odnotowuje jego posłuszeństwo, psią gorliwość, by go zadowolić. Gdyby tylko oni wszyscy tacy byli, myśli.

– O północy udasz się do izby Patricka Sumnera w Pilgrim's Arms i przekażesz mu, że muszę się z nim pilnie spotkać u mnie w domu. Powiesz, że dotarły do mnie ważne wieści o „Ochotniku”, które nie mogą czekać do rana. Nie zna miasta, nie wie też, gdzie mieszkam, podąży więc za tobą, dokądkolwiek go poprowadzisz. Pójdziecie Trippet, miniecie odlewnię i dotrzecie do dawnego składu drewna. Jeśli zaczniesz pytać, dokąd go wiesz, wyjaśnij, że to skrót. Nie ma znaczenia, czy ci uwierzy, czy nie, po prostu masz go jakoś zwabić do środka. W składzie będzie czekał Henry Drax. Zastrzeli Sumnera, a jak już to zrobi, ty zastrzelisz Draxa. Wszystko jasne?

– Obejdzie się bez Draxa – brzmi odpowiedź. – Sam mogę doktorka załatwić.

– Nie taki jest plan. Drax ma zastrzelić Sumnera, a ty Draxa. Kiedy będzie po wszystkim, włożysz ten rewolwer Sumnerowi w rękę, opróżnisz im obu kieszenie, a potem, kurwa, jak najszybciej się ulotnisz.

– Konstabl w doku na pewno coś usłyszy – zauważa Stevens.

– Słusznie. I bez wątpienia przybiegnie, z całych sił dmuchając w gwizdek. Na miejscu zastanie dwóch martwych mężczyzn, a każdy będzie trzymał w ręce broń, z której zginął drugi. Żadnych świadków, żadnych śladów czy wskazówek. Stójkowi się pokręca, podrapia po głowie, a potem zabiorą ciało do kostnicy i będą czekać, aż ktoś się po nie zgłosi. Oczywiście nie zgłosi się nikt. I co się wtedy stanie? – Wpatruje się w Stevensa, który wzrusza ramionami. – Otóż nie stanie się nic! – oznajmia Baxter. – Nic a nic. W tym całe piękno tego planu. Dwaj nieznajomi mężczyźni pozabijali się nawzajem. Dwóch morderców, dwie ofiary. Sprawa rozwiąże się sama, a ja nareszcie uwolnię się od Henry'ego Draxa, jego pogrózek, kanciarskiej natury i od jego smrodu, przez który można oszaleć.

– Czyli on strzela do Sumnera, a potem ja do niego – upewnia się Stevens.

– I to w pierś, nie w plecy, bo inaczej pojawią się pytania. A broń włóż mu do prawej ręki, nie do lewej. Wszystko już rozumiesz?

Stevens kiwa głową.

– To dobrze. A teraz zanieś mu na poddasze tę butelkę brandy. Jak już tam będziesz, opróżnij jego nocnik, a jeśli się do ciebie odezwie, nie odpowiadaj.

– Nadchodzi czas tego parszywego bydlęcia, panie Baxter – mówi Stevens.

– W rzeczy, kurwa, samej.

Samotny Drax kryje się w rogu pogrążonego w cieniu składu drewna. Po jednej stronie ciągnie się wiata magazynowa, a w odległym końcu stoi waląca się chata z zapadniętym dachem. Grunt pomiędzy usiany jest potłuczonymi butelkami, połamanymi skrzynkami i deskami. Drax ma w kieszeni butelkę brandy. Od czasu do czasu wyjmuje ją, oblizuje wargi i z niej pociąga. Gdy dręczy go takie pragnienie jak teraz, a on akurat ma pełną kieszeń, potrafi pić przez tydzień bez chwili wytchnienia. Dwie, trzy butelki dziennie. Nawet więcej. Nie jest to kwestia zaspokojenia jakiegoś braku bądź przyjemności, nie ma nic wspólnego z chęcią lub jej brakiem. Niesie go łaknienie, na oślep i z łatwością. Dzisiaj zabije, ale to nie morderstwo najbardziej zaprzęta jego myśli. Łaknienie jest o wiele głębiej zakorzenione niż szal. Szal jest prędko i gwałtowny, ono zaś – długotrwałe. Szal zawsze ma swój kres, przesiąknięty krwią finał, łaknienie natomiast jest bezdenne i nieograniczone.

Ostrożnie stawia butelkę u stóp i sprawdza rewolwer. Gdy przełamuje broń, naboje wypadają z bębena na ziemię, więc, przeklinając, opuszcza rękę, by je odszukać. Traci równowagę, zatacza się, wreszcie łapie pion. Gdy znów stoi prosto, skład drewna kołysze mu się przed oczami, a księżyc na niebie przechyla się i chybotce. Drax mruga. Spluwa. Do gardła podchodzą mu wymiociny, ale je przełyka, podnosi z ziemi butelkę i jeszcze trochę upija. Jeden nabój gdzieś przepadł, ale to nie zmienia sytuacji. Zostały mu cztery, a do zabicia irlandzkiego lekarza będzie potrzebował jednego. Przywaruje obok bramy, a gdy nadejdą, palnie mu w łeb. Właśnie tak. Żadnego ostrzeżenia, żadnych pogaduszek. Gdyby ta ciotowata pizda Baxter albo jego debilna posługaczka mieli w sobie to coś, sami załatwiliby sprawę, ale skoro jest, jak jest, Henry Drax musi to zrobić za nich. O tak, inni gadają, planują, zaklinają się i obiecują, ale mało który chuj rzeczywiście coś zrobi.

Księżyc zakryły chmury, a cienie w składzie zespoliły się i zgęstniały. Drax siedzi na becze i wpatruje się w mętną niejednorodną czarność. Wciąż potrafi rozróżnić krawędzie wierzei i szczyt biegnącego przy nich muru. Gdy słyszy męskie głosy, podnosi się, robi jeden powolny krok przed siebie, a po nim drugi. Głosy przybierają na sile i stają się wyraźniejsze. Odciąga kurek rewolweru i przyjmuje pozycję strzelecką. Wierzeje skrzypią i zaczynają się otwierać do wewnątrz. Drax obserwuje, jak mężczyźni ramię w ramię wchodzą na teren składu: dwie ciemne sylwetki, jednolite i bezwyrazowe jak cienie. Jedna głowa, dwie głowy. Słyszy pisk i ucieczkę spłoszonego szczura, czuje, jak budzi się w nim przeogromne pragnienie. Robi wdech, celuje i strzela. Ciemność rozszczepia się na ułamek sekundy, pochłania go i zaraz wypluwa. Postać po lewej zgina się i ze stłumionym łupnięciem wali na ziemię. Drax opuszcza rewolwer, upija kapkę brandy i rusza przed siebie sprawdzić, czy mężczyzna nie żyje, czy też dokończenie zadania będzie wymagało dodatkowej pracy nożem. Kuca nad ciałem i zaświeca zapalkę. Spogląda w dół, gdy żółty płomień wydłuża mu się w dłoni, po czym odchyła się na pięty i klnie.

To posługaczka Stevens leży trupem. Zastrzelił, kurwa, niewłaściwego człowieka, to wszystko. Dźwiga się na nogi i rozgląda. Sumner nie uciekł przez wrota – to wie na pewno – a otaczające mury nie dość, że są wysokie, to jeszcze zwieńczone tłuczonym szkłem.

– Jesteście tu gdzieś, panie doktor?! – woła. – Może byście się pokazali? Jeśli planujecie mnie schwytać, to macie idealną okazję! Lepsza wam się nie trafi. Patrzajcie, nawet broń mogę odłożyć. – Kładzie rewolwer na ziemi przed sobą i unosi ręce. – Proponuję wam uczciwą walkę! Żadnej broni, a ja nawet trochę w siebie wlałem, żeby było uczciwiej!

Milknie i ponownie się rozgląda, ale z ciemności nie nadchodzi odpowiedź, nie widać też

żadnego poruszenia.

– No już, wyłaście! – krzyczy. – Wiem, że tu jesteście! Nie bądźcież tacy wstydlivi! Baxter mówi, że planujecie na mnie zapolować, że wynajmiecie człowieka, by odszukał mnie w Kanadzie, a ja oto tu stoję przed wami. We własnej, kurwa, osobie. Czemu nie skorzystać z szansy, jak się wam ją daje?

Odczekawszy jeszcze kilka sekund, podnosi rewolwer i rusza w kierunku chaty na odległym krańcu dziedzińca. Gdy jest na tyle blisko, że może zajrzeć do środka, zatrzymuje się. Drzwi są półotwarte. Na frontowej ścianie znajduje się jedno okno, a drugie, mniejsze – na bocznej. Oba są strzaskane i nie mają okiennic. Drax jest pewien, że ktoś musiał usłyszeć pierwszy wystrzał. Jeśli nie upora się z lekarzem dostatecznie szybko, zrobi się za późno i tak się skończy jego pomyślny los. Ale gdzie ten szczywany lis się zaszył? Gdzie się czai?

W chacie Sumner ściska oburącz zardzewiały brzeszczot piły. Uniósł go na wysokość ramienia i czeka. Gdy Drax przekracza próg, uderza silnym, płytkim łukiem. Ząbkowana krawędź wbija się tuż nad obojczykiem. Tryska gorąca tętnicza krew, słychać długi obrzydliwy bulgot. Drax przez chwilę stoi, nie zmieniając czujnej postawy, wyprostowany, jak gdyby czekał, aż spotka coś innego – lepszego – po czym leci na nadproże. Głowę na karku ma przekrzywioną. Poszarpana rana zieleje niczym drugie usta. Sumner bez zastanowienia czy skrupułów, jakby poruszał się we śnie, wrywa brzeszczot, po czym wbija go głębiej. Na pół zdekapitowany Drax wali się twarzą w dół w czarny pył na zewnątrz. Jego rewolwer klekocze na podłodze chaty. Sumner zamiera na chwilę, przerażony charakterem swego dokonania, następnie chwytą broń i spieszenie wraca przez przysypany popiołem dziedziniec.

W cichym mroku wąskiej uliczki czuje się nagle ogromny, rozdęty, jakby jego rozdygotane ciało spuchło do rozmiarów dwukrotnie przekraczających zwykłe. Powraca do miasta, zachowując równe tempo, nie przyspieszając i ani razu nie oglądając się za siebie. Mija dwa pierwsze napotkane puby, ale do trzeciego już wchodzi. Wszystkie stoły i ławy są zajęte, znajduje więc sobie stołek przy szynkwasiu. Zamawia piwo w cenie czterech pensów za kwartę, czeka, aż przestaną mu się trząść ręce, wypija do dna i prosi o następne. Usiłując zapalić fajkę, marnuje zapałkę, a gdy próbuje ponownie, sytuacja się powtarza. Rezygnuje więc i odkłada fajkę do kieszeni, obok rewolweru Draxa. Barman się przygląda, ale nic nie mówi.

– Potrzebny mi rozkład jazdy kolei – zwraca się do niego Sumner. – Macie tu taki?

Barman kręci głową.

– A o jaki pociąg wam chodzi?

– O najbliższy.

Barman zerka na zegarek kieszonkowy.

– Ten pocztowy najpewniej już odszedł – oznajmia. – Więc to dopiero rano.

Sumner przyjmuje to do wiadomości skinieniem głowy. Kobieta zaczyna śpiewać *Latającego Holendra*, a mężczyźni grający w kację w domino dołączają do niej chórem. Barman kwituje ich hałaśliwe zachowanie uśmiechem.

– Znacie niejakiego Jacoba Baxtera? – pyta go Sumner.

– Wszyscy znają Baxtera. Bogaty drań, mieszka na Charlotte Street pod numerem dwadzieścia siedem. Robił ongiś w wielorybnictwie, ale przerzucił się pono na olej węglowy i naftę.

– Od kiedy?

– Od kiedy w zeszłym sezonie jego dwa okręty poszły na dno gdzieś na Morzu Baffina i dostał pieniądze z ubezpieczenia. Wielorybnictwo i tak już kona, a on rychło w czas z tego

wyszedł. Nie znajdziecie na Baxtera żadnych kwitów, powiadam wam. Możecie go lustrować, ile dusza zapagnie, a jeden jedniusięki się nie znajdzie.

– Ile dostał za zatonięcie?

Barman wzrusza ramionami.

– Powiadają, że niemało. Trochę rozdał żonom i dzieciakom potopionych, ale możecie być pewni, że dla siebie zachował pod dostatkiem.

– Czyli teraz nafta i olej węglowy?

– Nafta jest tania i o niebo czyściej się pali niż wielorybi tran. Sam jej używam.

Sumner opuszcza wzrok na swoje dłonie, bladoszare i cętkowane krwią na tle ciemnego drewna szynkwasu. Najchętniej by się wyniósł, uciekł od tego wszystkiego, ale w jego głowie i piersi potęguje się gorący zwierzęcy przymus, niczym jakiś stwór rozrastający się wewnątrz i drapiący, by go wypuścić.

– Daleko stąd do Charlotte Street?

– Do Charlotte Street? Nie, niedaleko. Dojdziecie do rogu, przy Methodist Hall skręćcie w lewo, a dalej to już prosto. Jesteście znajomym pana Baxtera?

Sumner kręci głową. Odszukuje w kieszeni szylinga, przesuwając go po blacie i macha ręką, rezygnując z reszty. Gdy wychodzi, kobieta śpiewa *Scarboro' Sands*, a mężczyźni już wrócili do gry.

Przed domem Baxtera ciągnie się ogrodzenie z prętami zakończonymi jak włócznie, a do drzwi wiedzie pięć kamiennych stopni. Okienne są zamknięte, ale przez szczeliny przedostaje się światło. Sumner pociąga za dzwonek, a gdy służąca reaguje, przedstawia się i mówi, że on do pana Baxtera w niecierpiącej zwłoki sprawie. Ona zaś, zmierzwiwszy go wzrokiem od stóp do głów, po chwili namysłu uchyla drzwi szerzej i instruuje go, by zaczekał w holu. Hol pachnie mydłem dziegciowym i środkiem do czyszczenia drewna. Sumner widzi fiszbinowy stojak na kapelusze, rokokowe zwierciadło i parę bliźniaczych chińskich waz. Zdejmuje nakrycie głowy i upewnia się, że wciąż ma w kieszeni rewolwer Draxa. W jednym z pokoi zegar wybija kwadrans. Rozchodzi się stukanie obcasów na wyłożonej płytkami podłodze.

– Pan Baxter przyjmie was w gabinecie – oznajmia służąca.

– Oczekiwał mnie?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć.

– Ani trochę się nie zaniepokoił, słysząc moje nazwisko?

Służąca marszczy brwi i wzrusza ramionami.

– Przekazałam mu, coście kazali przekazać, a on polecił zaprowadzić was prosto do gabinetu. Nic więcej nie wiem.

Skinąwszy głową, Sumner jej dziękuje. Służąca wiedzie go za okazałe mahoniowe schody do pokoju w tylnej części domu. Proponuje, że zapuka, ale on zabrania ruchem głowy i odprawia ją gestem. Czekając, aż kobieta zniknie na górze, po czym wyjmując rewolwer i sprawdza, czy w komorze jest nabój. Obraca mosiężną gałkę i otwiera drzwi. Baxter, ubrany w czarną aksamitną bonzurkę i wyszywane kapcie, siedzi w fotelu przy ogniu. Patrzy czujnie, ale bez niepokoju. Gdy zaczyna się podnosić, Sumner pokazuje mu rewolwer i każe pozostać na miejscu.

– Nie przyda ci się tutaj ta broń, Patricku – beszta go Baxter. – To doprawdy niepotrzebne.

Sumner zamyka za sobą drzwi i wychodzi na środek pomieszczenia. Pod ścianami stoją dwie biblioteczki, podłogę okrywa dywanik z niedźwiedziej skóry, a nad kominkiem wiszą marina i dwa skrzyżowane harpuny.

– O tym raczej ja zdecyduję, nie ty – odpowiada medyk.

– Może i tak. To była przyjacielska sugestia, nic ponadto. Cokolwiek się tej nocy



zdarzyło, możemy rozwiązać sytuację bez uciekania się do broni palnej. Jestem o tym przekonany.

– Jaki był twój plan? Co się miało zdarzyć w składzie drewna?

– Niby w jakim składzie drewna?

– Twój człowiek, Stevens, nie żyje. Nie zgrywaj, kurwa, idioty.

Baxterowi na chwilę opada szczęka. Mężczyzna spogląda w ogień, pokasłuje dwukrotnie, upija łyk porto. Usta ma cienkie i wilgotne, a twarz, poza bladym guzem nosa i gryzmołami spękanych żył na policzkach, odbarwioną.

– Pozwól, Patricku – przemawia – że zanim wyciąg-niesz pochopne wnioski, coś ci wyjaśnię. Stevens był dobrym człowiekiem: pełnym zapału, lojalnym, posłusznym. Ale niektórych po prostu nie da się kontrolować. Są zbyt narowisci i zbyt głupi. Nie przyjmą rozkazu, nie zaakceptują przywództwa. Ktoś taki jak Henry Drax na ten przykład stanowi śmiertelne zagrożenie dla każdego w swoim otoczeniu. Obce jest mu pojęcie wyższego dobra, nie usłucha żadnego pana poza sobą i swymi nikczemnymi popędami. Gdy ktoś taki jak ja, uczciwy, kierujący się zdrowym rozsądkiem człowiek interesu, odkrywa, że zatrudnił niebezpiecznego i krnąbrnego skurwysyna, pozostaje tylko jedno pytanie: jak najlepiej się go pozbyć, zanim zniszczy i mnie, i wszystko, na co pracowałem.

– Ale po co mnie w to wciągać?

– Przyznaję, Patricku, że źle postąpiłem, ale byłem w kropce. Gdy Drax miesiąc temu powrócił, postanowiłem włączyć go do moich planów. Wiedziałem, że niebezpieczny z niego drań, ale sądziłem, że mimo to będę mógł go wykorzystać. To był oczywiście błąd. Od początku miałem pewne wątpliwości, ale gdy dotarł twój list z Lerwick, nabrałem pewności, że związałem swój los z potworem. Musiałem się od niego odciąć, zanim jeszcze głębiej zatopi we mnie zęby. Tylko jak miałem to rozwiązać? Nieokrzesany z niego chuj, ale przecież niegłupi. Czujny, przebiegły, w dodatku zabił człowieka wyłącznie dla przyjemności. Takiemu prymitywowi nie da się przemówić do rozsądku, nie da się go przekonać. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Trzeba uciec się do siły, do przemocy, jeśli okaże się to konieczne. Zrozumiałem, że muszę zastawić na niego pułapkę, wywabić go gdzieś i wziąć z zaskoczenia. Przyszło mi do głowy, że nadasz się na przynętę. Tak to sobie ułożyłem. Teraz widzę, jak pochopnie i nieprzemyślane. Nie powinienem cię w ten sposób wykorzystywać, a teraz, skoro, jak mówisz, Stevens nie żyje... – unosi brwi i czeka.

– Stevens dostał kulkę w tył głowy.

– Drax go zastrzelił?

Sumner przytakuje.

– A gdzie jest teraz ten nikczemnik?

– Zabiłem go.

Baxter powoli kiwa głową i sznuruje usta. Zamyka oczy, ponownie je otwiera.

– Widać kuraż, widać – mówi. – Mam na myśli, że jak na lekarza.

– Albo on, albo ja. Tak to wyglądało.

– Wypijesz teraz w moim towarzystwie lampkę wina? – pyta Baxter. – A może byś wreszcie usiadł?

– Zostanę tu, gdzie jestem.

– Dobrze, że się zjawileś, Patricku. Mogę ci pomóc.

– Nie przyszedłem tu po twoją jebaną pomoc.

– Zatem w jakim celu? Mam nadzieję, że również nie po to, by mnie zabić. Co by ci z tego przyszło?

– Nie wierzę, że byłem tam jako wabik. Chciałeś mojej śmierci.

Baxter kręci głową.

– Czemuż miałbym czegoś takiego chcieć?

– Cavendish zatopił dla ciebie „Ochotnika”, a tylko Drax i ja mogliśmy o tym wiedzieć albo się tego domyślić. Drax zabija mnie, Stevens zabija Draxa i wszystko pozamiatane. Tyle że plan nie wypalił. Sprawy potoczyły się inaczej.

Baxter przekrzywia głowę i drapie się po nosie.

– Cwanieś to sobie wykombinował – przyznaje – ale to nie tak, zupełnie nie tak. Skup się teraz, Patricku, i uważnie wysłuchaj, co mam do powiedzenia. Prosty fakt: w tym składzie drewna leży dwóch martwych ludzi, a jeden zginął z twojej ręki. Jak dla mnie znalazłeś się w sytuacji, w której nie stać cię na odrzucenie mojej pomocy.

– Jeśli wyznam prawdę, prawo będzie po mojej stronie.

Baxter prycha.

– Dajże spokój, Patricku – mówi. – Nie jesteś ani taki niewinny, ani taki dziecinny, by uwierzyć w ten naciągany koncept. Wiem, że nie jesteś. Światowy z ciebie człowiek, taki sam jak ja. Oczywiście możesz podzielić się swoimi teoriami z sędzią pokoju, jak najbardziej, ale tak się składa, że znam sędziego od lat i poważnie wątpię, żeby dał im wiarę.

– Jestem jedynym ocalałym spośród całej załogi. Jedynym, który wie.

– *Aye*. Ale kim konkretnie jesteś? Ot, Irlandczyk o niejasnej proveniencji. Wdrożą śledztwo, Patricku, zaczną grzebać w twojej przeszłości, sprawdzać twój pobyt w Indiach. O tak, możesz mi nieco utrudnić życie, ale ja mogę zrewanżować ci się tym samym, a jeśli najdzie mnie ochota, to nawet czymś o wiele gorszym. Naprawdę chcesz tracić na to czas i siły? I w imię czego? Drax nie żyje, a statki leżą na dnie morza. Żadnego z tych drani nie przywrócisz do życia, zapewniam cię.

– Mogę cię zastrzelić tu i teraz.

– Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale co ci przyjdzie z dwóch morderstw na koncie? Najwyższa pora, żebyś ruszył głową, Patricku. Masz szansę zostawić to wszystko w tyle, zacząć na nowo. Ile razy w życiu trafia się taka okazja? Zabijając Henry’ego Draxa, jakkolwiek do tego doszło, oddałeś mi ogromną przysługę, a ja chętnie ci się za nią odwdzięczę. Zaraz dam ci do ręki pięćdziesiąt gwinei, a ty odłożysz broń, wyjdiesz z tego domu i już nigdy nie obejrzysz się za siebie.

Sumner stoi nieruchomo.

– Najbliższy pociąg odchodzi dopiero rano – oznajmia.

– No to weź konia z mojej stajni. Osobiście go dla ciebie osiodłam.

Baxter się uśmiecha, wstaje powoli i kieruje się do dużego żelaznego sejfu stojącego w kącie gabinetu. Otwiera drzwiczki, wyjmuje brązowy płócienny pugilares i wręcza go Sumnerowi.

– To dla ciebie – informuje. – Pięćdziesiąt złotych gwinei. Udaj się do Londynu. Zapomnij o pieprzonym „Ochotniku”, zapomnij o Henrym Draksie. Zostali wymazani z rzeczywistości. Teraz liczy się przyszłość, nie przeszłość. Składem drewna również się nie frasuj. Wymyślę jakąś bajeczkę, która skieruje władze na fałszywy trop.

Sumner przygląda się pugilaresowi, przez chwilę waży go w dłoni, ale nie odpowiada. Wydawało mu się, że poznał swoje granice, ale właśnie wszystko się zmieniło – świat zerwał się z cumy, unosi się w dryfie. Lekarz wie, że musi działać szybko, że c o s musi zrobić, zanim ów świat przekształci się na powrót, zanim okrzepnie wokół niego i go utrwali. Tylko co?

– To jak? Dogadane? – pyta Baxter.

Sumner odkłada pugilares na biurko i przenosi spojrzenie na otwarty sejf.

– Daj mi resztę – mówi – i zostawię cię w spokoju.

Baxter marszczy brwi.

– Jaką resztę?

– Wszystko, co jest w tym sejfie. Co do ostatniego jebanego pensa.

Baxter, jak gdyby wziął to za żart, lekko się uśmiecha.

– Pięćdziesiąt gwinei to niemała sumka, Patricku. Ale z radością dorzucę jeszcze dwadzieścia, jeśli uważasz, że naprawdę są ci potrzebne.

– Chcę całość. Ile tylko tam masz. Wszyściuteńko.

Baxter wpatruje się w niego uporczywie, a z jego ust znika uśmiech.

– Więc przyszedłeś tu, żeby mnie okraść? O to cho-dziło?

– Radziłeś, żebym ruszył głową, więc to robię. Masz rację, prawda w niczym mi już nie pomoże, ale ten majątek owszem.

Baxter patrzy spode łba. Nozdrza mu się rozszerzają, ale nie robi kroku w kierunku sejfu.

– Nie wierzę, że zamordujesz mnie w moim własnym domu – oświadczają spokojnie. – Nie wierzę, że masz do czegoś takiego jaja.

Sumner celuje mu w głowę i odciąga kurek. Niektórzy miękną w obliczu śmierci, mówi sobie, zaczynają silni, lecz potem miękną, ale ja nie mogę być jednym z nich. Nie teraz.

– Dopiero co zajebałem Henry’ego Draxa ułamanym brzeszczotem piły – syczą. – Naprawdę sądzisz, że wpakowanie ci kuli w czaszkę nadszarpię mi nerwy?

Szczęki Baxtera się zaciskają, a jego rozgorączkowane spojrzenie umyka w bok.

– Brzeszczotem piły, hę? – mamrocze.

– Bierz ten skórzany sakwojaż – rozkazuje Sumner, wskazując rewolwerem – i napełnij go.

Po chwili bezruchu Baxter właśnie to robi. Sumner sprawdza, czy sejf aby na pewno jest pusty. Odcina scyzorykiem satynowy sznur od ozdobnej zasłony, krępuje Baxterowi ręce za plecami, wpycha mu chusteczkę do ust i knebluje go krawatem.

– A teraz zabierzesz mnie do stajni – rzuca. – Idziesz przodem.

Idą korytarzem na tyłach domu, potem przechodzą przez kuchnię. Sumner odryglowuje drzwi, za którymi ciągnie się dekoracyjny ogród. Są w nim żwirowe ścieżki, zadbane klomby, staw rybny i fontanna z lanego żelaza. Mijają szopę na narzędzia i zdobioną ornamentami, okoloną bukszpanem altanę. Gdy docierają do budynku stajennego, Sumner otwiera boczne drzwi i zagląda do środka. Widzi trzy boksy i siodlarnię z szydłami, młotkami oraz stołem warsztatowym. Na półce nieopodal drzwi spoczywa lampa oliwna. Sumner wpycha Baxtera do kąta, zapala lampę i przynosi z siodlarni kawał sznura, na którego końcu robi pętlę. Zakłada ją Baxterowi na szyję, zaciska tak, że związanemu oczy wychodzą z orbit, po czym przerzuca drugi koniec przez belkę stropową. Mocno ciągnie w dół, aż giemzowe podeszwy wyszywanych kapci Baxtera ledwie dotykają brudnej drewnianej podłogi, a wtedy szybko przywiązuje linę do kołka w ścianie.

– Stój cicho i spokojnie, to znajdą cię rano żywego – mówi. – Ale jak będziesz się szarpał i rzucał, może się skończyć o wiele gorzej.

W stajni są trzy konie – dwa pełne energii karosze oraz starszy od nich siwek. To właśnie jego Sumner wyprowadza z boksu i siodła. Gdy koń prychnie i przestępuje z nogi na nogę, medyk głaszcze go po szyi i nuci jakąś melodię, póki zwierzę się nie uspokaja. Przykręca knot w lampie oliwnej, otwiera wierzeje i odczekuje minutę, uważnie nadstawiając ucha i obserwując. Słyszyc wiatr, szemrzący i pojękujący między drzewami, słyszy syczenie kota, ale niczego groźniejszego. Okolice stajni są puste, światło strażniczych lamp gazowych wsiąka w umbralne niebo. Sumner zarzuca sakwojaż na koński kłęb i wsuwa but w żelazo strzemienia.

Świt zastaje go dwadzieścia mil na północ. Przez Driffield przejeżdża bez przystanku. Robi postój w Gorton, by koń mógł się napić ze stawu, a następnie w półmroku, poprzez bukowe i sykomorowe lasy, suchymi dnami dolin podąża na północny zachód. Gdy niebo jaśnieje, po obu stronach wyłaniają się zaorane pola, których głębokie bruzdy pocętkowane są bielejącymi grudkami kredy. Splątane żywopłoty poszrafiowały uschłe pokrzywy, chabry i jeżyny. Niedługo przed południem dociera do północnego stoku bezleśnej wysoczyzny, skąd zstępuje na szachownicową równinę poniżej. Gdy wjeżdża do miasteczka Pickering, trwa już kolejna noc, ciemnognatowe niebo usiane jest gwiazdami, on zaś z braku snu oraz z głodu jest półprzytomny i ma mdłości. Znajduje stajnię dla konia, a dla siebie wynajmuje pokój w sąsiadującej z nią oberży. Zapytany, przedstawia się jako Peter Batchelor w drodze z Yorku do Whitby, gdzie zamierza spotkać się z wujkiem, który zachorzał i nie wiadomo, czy wyżyje.

Tej nocy śpi z rewolwerem Draxa mocno zaciśniętym w prawej dłoni i skórzanym sakwojażem wepchniętym pod żelazny stelaż łóżka. Wczesnym rankiem spożywa na śniadanie owsiankę i cynaderki, z myślą o wieczornym posiłku zabiera na drogę piętękę chleba omaszczoną tłuszczem z pieczeni i zawiniętą w rzeźniczy papier pakowy. Po sześciu czy siedmiu milach droga na północ zaczyna wznosić się miarowo nad sosnowe drzewostany i zmierzwiłone owcze pastwiska. Zająknawszy się raz i drugi, żywopłoty znikają, a trawa ustępuje miejsca kolcolistom i orlicom. Krajobraz utwardza się i upraszcza. Sumner dociera wkrótce wysoko na wrzosowiska. Wszędzie wokół niego nad bezdrzewną falistością purpury, brązu i zieleni unoszą się nawisłe kontynenty ciemnobrzeżnych chmur. Czuje szczypiący chłód wyżynnego powietrza. Jest prawie pewny, że jeśli Baxter posłał za nim ludzi, to tutaj nie będą go szukać, a przynajmniej nie od razu – może na zachodzie albo na południu, w Lincolnshire, ale nie tutaj, jeszcze nie. Zakłada, że został mu jeszcze jakiś dzień, zanim wieści z Hull dotrą do Pickering. Ma więc czas, by przedostać się na wybrzeże, gdzie znajdzie statek, który zabierze go na wschód, do Holandii, a może do Niemiec. Gdy znajdzie się w Europie, pieniądze Baxtera pomogą mu zniknąć i stać się kimś innym. Przybierze nowe nazwisko, wyuczy się nowego fachu. Wszystkie niegdysiejsze sprawy, mówi sobie, przepadną w niepamięci, to, co się za nim wlecze, zostanie wymazane do czysta.

Chmury zbijają się i ciemnieją, zaczyna padać miarowy deszcz. Sumner napotyka woźnicę podróżującego na południe z owcami na handel. Zatrzymuje się na pogawędkę. Gdy lekarz pyta, jak daleko do Whitby, wozak drapie się po siwo zarośniętym podbródku, jak gdyby pytanie należało do tych bardziej zagadkowych, po czym powiada, że Sumner będzie miał szczęście, jeśli dojedzie tam przed zmierzchaniem. Kilka mil dalej Sumner zjeżdża z drogi do Whitby i rusza na przełaj na północny zachód, ku Goathland i Beck Hole. Deszcz ustaje, a niebo nabiera barwy wyblakłego letniego błękitu. Purpurowe wrzosy rosną nieregularnie i zostały wypalone na stokach przy drodze; dalej, w podeszłych wilgocią nieckach, gromadzą się kępy drzew i krzaków. Sumner zjada chleb z tłuszczem z pieczeni wołowej i nabiera dłońmi brunatnej, torfowej wody ze strumyka. Przejeżdża przez Goathland i podąża dalej w kierunku Glaisdale. Wrzosowisko znów na krótko przechodzi w zielone pastwiska obrzeżone orlicami, ptasim zielem i hebdem, ale wnet powraca w całej swej skąpej, wystrzyżonej nieurodzajności. Tę noc Sumner, trzęsąc się z zimna, przesypia w na pół zawalonej stodole, a rankiem ponownie wsiada na koń i kontynuuje podróż na północ.

Gdy dociera na obrzeża Guisborough, zatrzymuje się przy stajni, sprzedaje konia i siodło za połowę wartości, zabiera sakwojaż i udaje się w głąb miasta. W kiosku przy stacji kolejowej kupuje egzemplarz „Newcastle Courant”. Gazetę czyta na peronie. Doniesienie o morderstwie i kradzieży w Hull zajmuje pół kolumny na drugiej stronie. Jako sprawcę wymienia się Patricka

Sumnera, Irlandczyka i byłego wojskowego, jest też opis skradzionego konia i wzmianka o wysokiej nagrodzie, którą Baxter wypłaci każdemu, kto dostarczy mu użytecznych informacji. Sumner zostawia złożoną gazetę na ławce i wsiada do najbliższego pociągu jadącego do Middlesbrough. W przedziale czuć kopciem i olejkiem do włosów, siedzą w nim dwie pogrążone w rozmowie kobiety, a w rogu śpi jakiś mężczyzna. Sumner uchyla przed paniami kapelusza, ale nie przyłącza się do konwersacji. Skórzany sakwojaż kładzie na kolanach; jego ciężar dodaje mu otuchy.

Nocą poszukuje cudzoziemskich głosów. Nadstawia na nie ucha – rosyjskie, niemieckie, duńskie, portu-galskie – wędrując nabrzeżem od jednej tawerny do drugiej. Myśli, że trzeba mu kogoś sprytnego, ale nie zanadto. Chciwego, ale bez przesady. W tawernie Baltic na Commercial Street spotyka Szweda, kapitana, którego bryg, załadowany węglem i żelazem, wypływa rano do Hamburga. Jest to mężczyzna o szerokiej twarzy, czerwonych oczach i włosach tak jasnych, że wydają się białe. Gdy Sumner oznajmia, że potrzebuje koi i że zapłaci za ten przywilej, ile się należy, Szwed mierzy go sceptycznym spojrzeniem, uśmiecha się i pyta, ilu ludzi zamordował.

– Tylko jednego – odpowiada Sumner.

– Tylko jednego? A zasłużył chociaż?

– Po mojemu aż nadto.

Szwed wybucha śmiechem, ale potem kręci głową.

– Statkiem pływam kupieckim. Przykro mi, nie mamy miejsca dla pasażerów.

– To dajcie mi jakąś pracę. Linę naciągnę, jeśli będzie trzeba.

Kapitan ponownie kręci głową i upija łyk whiskey.

– To niemożliwe – oświadcza.

Sumner zapala fajkę i się uśmiecha. Zakłada, że jest to stanowczość na pokaz, taka metoda podbicia ceny za przewóz. Rozważa przez chwilę, czy Szwed mógł czytać „Couranta”, ale uznaje, że to mało prawdopodobne.

– A tak w ogóle to kim jesteście? – pyta go Szwed. – Skąd się wzięliście?

– To nieistotne.

– Ale paszport, dokumenty macie? W Hamburgu o nie zapytają.

Sumner wyjmuje z kieszeni suwerena i przesuwa go po blacie.

– Mam to – odpowiada.

Szwed unosi jasne brwi i kiwa głową. Narasta rozgwar pijanych głosów, ale znów przycicha. Gdy z impetem otwierają się drzwi, nad głowami rozmawiających kłębi się pełne dymu powietrze.

– Co, bogatego zabiliście?

– Nikogom nie zabił – mówi Sumner. – Żarty sobie stroiłem.

Szwed spogląda na złotą monetę, ale nie wyciąga po nią ręki. Sumner odchyła się na krześle. Czeki. Wie, że przyszłość jest tuż-tuż. Czuje jej szarpnięcia, jej rozrost i rozmigotane nieustalenie. Stoi na samym jej rancie i, przybrawszy odpowiednią pozycję, gotów jest w nią wstąpić.

– Mniemam, że znajdziecie kogoś, kto was zabierze – przemawia w końcu Szwed. – Jeśli wystarczająco hojnie zapłacicie.

Sumner sięga do kieszeni po kolejnego suwerena i kładzie go obok pierwszego. Bliźniacze monety mrugają żółcią w pełgającym gazowym świetle. Na tym mokrym czarnym blacie lśnią niczym oczy. Sumner odpowiada Szwedowi spojrzeniem i się uśmiecha.

– Sądzę, że już kogoś takiego znalazłem.

Miesiąc później pewnego pogodnego poranka odwiedza berliński Zoologischer Garten. Obecnie jest gładko ogolony, ma nowe ubrania i nowe nazwisko. Spaceruje żwirowymi ścieżkami, pali fajkę, co jakiś czas przystaje i patrzy na ziewające, srające bądź czochrające się zwierzęta. Niebo jest bezchmurne, a wiszące nisko szerokie jesienne słońce grzeje. Sumner ogląda lwy, wielbłądy i małpy. Spostrzega chłopczyka w marynarskim ubranku, karmiącego słodką bułką samotną zebkę. Gdy zbliża się południe, a on zaczyna tracić zainteresowanie, zauważa niedźwiedzia. Klatka, w której go przetrzymują, nie jest szersza niż pokład statku. Na jednym jej krańcu znajduje się pełna wody, wyłożona ołowiem jama, a niskie łukowate przejście z cegły wiedzie do legowiska ze słomianym barłogiem. Niedźwiedź stoi w głębi, obojętnie gapiąc się przed siebie. Pysk ma dropiaty i wyszarzały, a liniejące żółtawe futro zbiło się w strąki. Gdy Sumner mu się przygląda, nadchodzi jakaś rodzina i staje obok niego przy barierce. Jedno z dzieci pyta po niemiecku, czy to lew, czy tygrys, a drugie się z niego śmieje. Kłóć się przez chwilę, aż wreszcie matka karci je i ucisza. Gdy rodzina się oddala, niedźwiedź czeka jeszcze przez chwilę, a potem zaczyna wlec się do przodu z łbem podrygującym jak różdżka, ciężkimi łapami skrobiąc lekko cementowe podłoże. Dociera do końca klatki i jak najdalej przeciska nos przez czarne pręty, aż jego wąski wilczy pysk znajduje się zaledwie trzy stopy od twarzy Sumnera. Węszy w powietrzu i wpatruje się w człowieka świdrującym spojrzeniem, a jego oczy są niczym wąska brama prowadząca ku rozleglejszej ciemności. Sumner pragnie odwrócić wzrok, ale nie może. Przykuwa go uporczywe niedźwiedzie zapatrzenie. Zwierzę prychnie. Jego przykry dech omiata człowieczą twarz i wargi. Sumner odczuwa przelotny strach, a potem, gdy doznanie przechodzi w kilwater, gdy lęk gaśnie i traci swą moc, nieoczekiwane ukłucie samotności i nienasycenia.